



Karolina
Wilczyńska

Performens

NIEPRZEWIDYWALNA,
ZASKAKUJĄCA I NIEBANALNA
OPOWIEŚĆ! Maria Ulatowska



Performens



Karolina
Wilczyńska

Performens

Copyright © Karolina Wilczyńska, 2018

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadząca: Sylwia Smoluch

Redakcja: Magdalena Owczarzak

Korekta: Kamila Markowska/panbook.pl

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Barbara Adamczyk

Projekt okładki: Magda Bloch

Fotografia na okładce: Agnes Kantaruk/shutterstock.com

Fotografia autorki: Studio Fot Molly Polly

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie elektroniczne 2018

eISBN 978-83-7976-825-7

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Performance [performens] – spełnienie, wykonanie (...), wywiązanie się (np. z obowiązku), uskutecznianie, dokonanie, odprawienie (np. nabożeństwa), czyn (bohaterski), wyczyn, osiągnięcie (...).

Za: J. Stanisławski, *Wielki słownik angielsko-polski*, Wiedza Powszechna 1994.

Ale miejcie nadzieję, bo nadzieja przejdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je; ale jeśli w was umrze, to przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych.

J. Słowacki, *Anielli*, r. II, w. 71-73.

I. Rozstaje



– To będzie cmentarz.

Rozluźnił krawat i starając się zachować spokój, udał, że szuka czegoś w komputerowej bazie danych. Patrzył w monitor, chcąc zyskać kilkanaście sekund, zebrać myśli i oswoić się z tym, co usłyszał. Jego umysł nie przyjmował usłyszanej przed chwilą informacji. Doświadczenie zawodowe, które nauczyło go nie dziwić się niczemu, zawiodło i zadał pierwsze pytanie, jakie przyszło mu do głowy.

– Jak to cmentarz? Nie rozumiem...

– Prosiłam pana o znalezienie dla mnie domu na krańcu jakiejś wsi. Domu otoczonego dość dużym kawałkiem ziemi. Pan przecież się tym zajmuje, prawda? Pośrednictwo w handlu nieruchomościami polega właśnie na tym, nie mylę się?

– Tak, ale...

– Jedyńm ale, które przeszkodziło nam w interesach, była pańska ciekawość. –

Z rozbawieniem patrzyła na coraz bardziej zdenerwowanego mężczyznę, który lekko drżącą ręką próbował wyciągnąć papierosa z leżącej na biurku paczki. Kiedy zorientował się, że kobieta na niego patrzy, odłożył paczkę i poruszył ustami, jakby chciał przeprosić.

– Ależ proszę się nie krępować. Ja także chętnie zapalę. Zechce mi pan podać ogień? – Zaciągając się dymem, poczuła triumf. Tak bardzo lubiła to uczucie, że do niedawna była wprost od niego uzależniona. Pracowała często przez kilka tygodni po kilkanaście godzin dziennie, zbierając wszystkie dostępne informacje tylko po to, żeby podczas decydującej rozmowy zyskać przewagę i czerpać przyjemność z psychicznego pogńębienia przeciwnika. Mniej ważne były nawet zyski z zawartych transakcji. Mimo iż nadal uczucie to było miłe, postanowiła pomóc trochę siedzącemu naprzeciw niej mężczyźnie w odzyskaniu równowagi. Przyszła tu przecież prywatnie i celem tym razem było możliwie szybkie i dyskretne załatwienie sprawy.

– Niechże się pan uspokoi. Chciał pan wiedzieć, co planuję zrobić na mojej ziemi, więc odpowiedziałam. To żadna tajemnica – będzie tam cmentarz. Sądzę jednak, że to moja prywatna sprawa i dla naszej współpracy nie ma znaczenia. Zgadza się pan ze mną?

Choć mężczyzna daleko był jeszcze od odzyskania równowagi, a niedowierzanie w jego oczach mieszało się z lękiem, zwyciężył, przynajmniej chwilowo, zdrowy rozsądek. Lekko drżącym głosem, starając się jednocześnie na powrót przybrać profesjonalną postawę w fotelu, powiedział:

– Tak, oczywiście. Nie jestem jednak pewien, czy pani... Sama pani rozumie, to dość, nazwijmy to, niekonwencjonalny pomysł...

– Cóż, ma pan prawo mieć wątpliwości. – Zgasiła papierosa, dziwiąc się w duchu, jak komuś mogło przyjść do głowy zaprojektować popielniczkę w formie kobiecego biustu. – Jednak ma pan je na własne życzenie.

Wstała i niedbałym, ale pełnym elegancji gestem wygładziła zakiet. Podeszła do biurka, zapisała na leżącej tam małej żółtej karteczce kilka cyfr i przesunęła ją w stronę mężczyzny.

– To mój numer telefonu. Proszę się zastanowić i skontaktować ze mną. Daję panu tydzień, a później poszukam innego pośrednika. Takiego, który potrafi poradzić sobie z wątpliwościami lub – uśmiechnęła się – nie zadaje pytań, na które wolałby nie znać odpowiedzi.

Zarzuciła na ramię torebkę i ruszyła w kierunku drzwi. W absolutnej ciszy, która zapadła w pomieszczeniu, słychać było jedynie stuk obcasów jej szpilek i pobrząkiwanie bransoletek na przegubie dłoni. Już trzymając rękę na klamce, rzuciła, jakby od niechcenia, w stronę biurka:

– Płacę gotówką. Cena nie gra roli, jeżeli miejsce spełni moje oczekiwania.

Wiedziała, że niewiele osób jest w stanie odrzucić taki argument. Delikatnie zamknęła za sobą drzwi i minawszy znużoną sekretarkę, bez słowa opuściła biuro.

Mężczyzna przez kilka minut nie mógł zapanować nad kłębiącymi się w jego głowie myślami. Patrzył na drzwi, za którymi przed chwilą znikła jego klientka, i zastanawiał się, czy to nie sen. Propozycja, jaką usłyszał, wydawała się nieprawdopodobna, ale jednocześnie niezwykle kusząca. Nie każdego dnia słyszy się formułę: cena nie gra roli. Prawdę mówiąc, do tej pory nie usłyszał jej nigdy, a prowadził biuro od prawie dziesięciu lat.

Wstał, zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu fotela. Podwijając rękawy koszuli, podszedł do okna, przysiadł na parapecie i z tej perspektywy spojrział na swój gabinet. Starał się zobaczyć go oczami klientki, ale już po kilku sekundach zrezygnował. Otworzył okno. Strasznie tu zakopcone, pomyślał. Machinalnie zaczął układać papiery na biurku, opróżnił popielniczkę, ustawił kilka drobiazgów. Wtedy zdał sobie sprawę, że wykonuje te czynności zupełnie bez potrzeby, jakby chciał cofnąć czas i zrobić lepsze wrażenie na tej, która już wyszła. Palant! – pomyślał o sobie samym i opadł na fotel. Zapalił kolejnego papierosa i odchylił głowę do tyłu,

wydmuchując dym w kierunku sufitu. Może to jakaś wariatka? Nie chciał nowych kłopotów, w zupełności wystarczały mu te, które już miał. Z drugiej strony taka transakcja ustawiłaby go na kilka miesięcy, a może nawet lat...

Pstryknął niedopałkiem w kierunku otwartego okna. Papieros odbił się od futryny i zamiast na zewnątrz, upadł na wykładzinę pod oknem, wypalając w niej kolejną dziurę. Mężczyzna wstał i z westchnieniem podniósł tłący się jeszcze niedopałek. Zdusił go w popielniczkę, westchnął ponownie i kilkoma szybkimi krokami przemierzył gabinet. Stanąwszy w drzwiach do drugiego pomieszczenia, zwanego szumnie sekretariatem, spojrzał na siedzącą przy biurku dziewczynę.

– Co o niej myślisz?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, nie przestając miarowo poruszać szczękami. Można było odnieść wrażenie, że żucie gumy pochłania całą jej energię. Obrzucił szybkim spojrzeniem pomieszczenie. Biuro to trochę przesadzona nazwa dla miejsca, w którym prowadził swoją działalność. Zaadaptowana kawalerka na pierwszym piętrze kamienicy położonej przy głównej ulicy miasta od dawna wymagała remontu. Biurko, przy którym siedziała dziewczyna, wciśnięte było między drzwi do łazienki a zlewozmywak, gdzie stało kilka nieumytych filiżanek i popielniczka z niedopałkami. To, milczący telefon i znudzona mina dziewczyny sprawiły, że po raz kolejny zdał sobie sprawę z dziwaczności sytuacji, która go spotkała. Nie oczekując żadnej pomocy, raczej z przyzwyczajenia, streścił dziewczynie przebieg spotkania.

– To musi być wariatka, serio! Gdyby dla mnie pieniądze nie miały znaczenia, to na pewno nie przyszedłbym tutaj. Jutro zadzwonię i powiem jej, żeby poszła do diabła. A ty mogłabyś umyć te filiżanki. I przestań wreszcie żuć tę gumę. Wyglądasz jak krowa! Sam twój widok wystarczy, żeby odstraszyć każdego klienta!

Dziewczyna wstała gwałtownie, z satysfakcją patrząc, jak stojący w drzwiach mężczyzna wzdrygnął się na dźwięk upadającego krzesła. Z całą siłą wypluła gumę do zlewozmywaka i odepchnęła biurko, aby umożliwić sobie wyjście. Od dawna tłumiony gniew znalazł wreszcie ujście, pokonując dotychczasowe zniechęcenie. Poczowała, że ma dość tych odrapanych ścian, papierosów i tego mężczyzny.

– Ty widziałeś, jaką bryką ona przyjechała?! Z szoferem! Widziałeś jej buty, ciuchy, torebkę?! Miała na sobie więcej kasy, niż ty zarabiasz przez miesiąc! A ty, idioto, chcesz ją spławić?! Czekamy tu tyle lat na taką okazję, a kiedy się trafia, to facet, z którym pracuję, jem i sypiam, okazuje się frajerem!

Kilcoma szybkimi ruchami zgarnęła do torebki to, co najbardziej ceniła w tym miejscu – swój lakier do paznokci i lusterko. Z odrazą i politowaniem zmierzyła wzrokiem stojącego przed nią mężczyznę.

– Odchodzę!

Kiedy to powiedziała, złość ustąpiła miejsca żalowi, a łzy same popłynęły po policzkach.

– Dlaczego ty jesteś taki głupi...? Nie mamy nic, same długi... – Czuła, że tusz do rzęs rozpląnął się, tworząc na twarzy czarne paski. – Może sobie być wariatką, ale ma kupę pieniędzy, których my potrzebujemy...

Mężczyzna podszedł i przytulił ją. Czuła, że podjął już decyzję, więc nie opierała się.

– OK – powiedział – znajdę jej miejsce na ten cmentarz. Wyciągnę, ile się da. Masz rację, taka okazja trafia się raz w życiu. Zawsze mogę powiedzieć, że nie wiedziałem, po co jej ta ziemia, nie? No, nie bez już!

– Widzisz, rajstopy sobie przez ciebie podarłam. – Dziewczyna jeszcze pociągała nosem dla zachowania pozorów, choć w duchu cieszyła się już z odniesionego zwycięstwa. – Będziesz musiał dać mi na nowe... I zadzwoń do niej od razu, żebyś się nie rozmyślił. – Wyjęła lusterko

i zajęła się poprawianiem makijażu.

Mężczyzna wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni i podał jej wyjęty z niego banknot. Przyjęła go, a potem wyciągnęła z torebki paczkę gumy do żucia. Mężczyzna zrezygnowany wrócił do gabinetu, podszedł do telefonu i wystukując numer, obserwował, jak na twarz dziewczyny powraca wyraz znużenia, a szczęki znowu zaczynają miarowo się poruszać. Obiecał sobie w myślach, że kiedy tylko dostanie te pieniądze, zwieje na drugi koniec świata, żeby więcej jej nie oglądać.

– To chyba będzie tutaj, nie?

Głos kierowcy wyrwał ją z drzemki, w którą zapadła ukołysana równomiernym szumem silnika. Spojrzała przez przybrudzoną szybę szoferki, próbując znaleźć potwierdzenie słów kierowcy, a jednocześnie zachować w sobie choć odrobinę miłego snu.

– No, mówiła pani, że to ma być ostatni dom we wsi. To jest, nie? I wieś Zabycie, też się zgadza. Wjeżdżamy, nie?

– Chyba tak... Proszę się na razie tu zatrzymać. Muszę sprawdzić, bo miał ktoś na nas czekać, a tu nikogo nie widzę.

– Spokojna głowa, proszę pani, bez nerwów. Wcześniej jesteśmy, bo trochę cisłem na pedał. Jeszcze czasu na fajkę wystarczy, nie?

Zgasił silnik i wyskoczył z szoferki. Poszła za jego przykładem, okrążyła samochód i stanęła twarzą w twarz ze swoim nowym domem. Kierowca wyciągnął z kieszeni pomietą

paczkę i poczęstował kobietę papierosem.

– Dziękuję. – Pokręciła odmownie głową. – Bez filtra nie palę. A może pan spróbuje mojego?

Przyjął, ale nie od razu zapalił. Schował do kieszeni, pewnie na później. Teraz wybrał swojego. Przypalił go i z miejsca przypomniał o swojej pozycji.

– Żeby jasne było, proszę pani. Ja się do noszenia nie godziłem. Mieli przyjść i rozładować, nie? Żeby nie było potem...

– Nie będzie, proszę się nie martwić. Jeżeli dobrze trafiliśmy, to zaraz przyjdą.

– Mnie tam obojętne. Płacone mam za godzinę, nie? To ja tu mogę stać nawet do jutra. Kocyk mi pani jakiś pożycz i trochę się poopalam. – Zaśmiał się głośno z własnego dowcipu.

Kobieta nie odpowiedziała. Nie miała ochoty na kontynuowanie rozmowy. Czekala niecierpliwie na chwilę, kiedy przestąpi próg swojego domu. Bo bez wątplenia to był ten dom. Czula to. Chciała jak najprędzej podejść bliżej, popatrzeć na niego, objąć wzrokiem i pogłaskać spojrzeniem. Jej dom, jej ziemia i jej nowe życie. A to uczucie, które ją przepełniało, było jej szczęściem.



Dochodzący warkot oznaczał, że zbliżają się pomocnicy i równocześnie nowi sąsiedzi. Po chwili na horyzoncie ukazał się sprawca owego warkotu – kilkunastoletni na oko maluch o trudnym do określenia kolorze. Trudność ta wynikała z faktu, że mocno już rdzewiał, a to, co pozostało z pierwotnego lakieru, pokrywała warstwa kurzu i błota.

Maluch zatrzymał się zawadiacko, wzbijając tuman kurzu. Drzwiczki otworzyły się i zza kierownicy wygramolił się z pewnym trudem mężczyzna. Postękiwał przy tym, bo wydatny brzuch nie ułatwiał mu zadania. Aż dziw brał, że tak potężne chłopisko mogło zmieścić się w tak niewielkim pojeździe. Nie był to jednak koniec niespodzianek. Zaraz po nim z samochodu zaczęli wysiadać nowi pasażerowie. Byli to czterej młodzi mężczyźni, którzy co prawda wagowo plasowali się znacznie niżej niż kierowca, ale za to wzrostem znacznie go przewyższali. Stanęli nieopodal samochodu, rozprostowując kończyny i komentując między sobą niewygodę podróży.

Tymczasem mężczyzna poprawił krawat, którego węzeł wrzynał się w drugi czy trzeci z jego wydatnych podbródków, i trzasnął mocno drzwiami pojazdu.

– Znowu się, cholery, nie chcą zamknąć – rzucił w stronę kobiety. – Mariusz, zobacz, co z tym zamkiem, nie stój tak, ja się przywitam. – Druga część wypowiedzi skierowana była do jednego z chłopaków.

– Stanisław Gula jestem. Sołtys, jak to się mówi. – Podchodząc do kobiety, która z ciekawością przyglądała się przybyłym, zdjął z głowy kapelusz w kratkę i skinął głową. – To pani jest ta z miasta – raczej stwierdził, niż spytał.

– Tak, to ja. – Wyciągnęła rękę do powitania.

Sołtys zmieszany przełożył kapelusz do lewej ręki, prawą otarł o spodnie i mrużąc przepaszająco:

– Brudnym taki, bo cholera się po drodze rozkraczyła i w gaźniku grzebałem. – Podał kobiecie swoją wielką dłoń.

– To chłopaki będą samochód naprawiać czy graty wnosić, co? – nieoczekiwanie do rozmowy wtrącił się kierowca ciężarówki.

Sołtys natychmiast odzyskał rezon.

– A tak, nosić będą. Do przeprowadzki, jak to się mówi, ich sprowadziłem. Czterech do

samochodu wlaźło, a piąty tam, o – wskazał palcem na drogę – rowerem zasuwa. Ej, chłopaki, szybko tu, przedstawić się pani.

Uścisnęła kolejno cztery dłonie patrzących spode łba nastolatków. Wszystkie lepiły się od potu i kurzu.

– Jarek.

– Maciek.

– Krzysiek.

– Mariusz.

– Wszystkie Gule. Bo u nas we wsi to prawie każdy Gula. – Sołtys uśmiechnął się szeroko, ukazując kilka srebrnych zębów.

– A ja nie Gula, tylko Tkaczyk. – Z roweru zeskoczył ostatni z pomocników. – Błażej Tkaczyk. Gorąco strasznie dzisiaj, prawda? Dużo tego jest, bo jeszcze do lasu bym bryknął...

– Widzisz go, jaki, jak to się mówi, w gorącej wodzie kąpany. Ale co racja, to racja. Chodź, pani, bramę otworzymy. Pan wjeżdża na podwórko – zwrócił się do kierowcy ciężarówki – a wy zaczynajcie wystawiać rzeczy z samochodu. Tylko ostrożnie, żeby nic, jak to się mówi, nie uszkodzić – pouczał chłopaków.

Poprowadził kobietę w stronę bramy. Wyjął z kieszeni pęk kluczy i dłuższą chwilę szukał odpowiedniego. Wreszcie znalazł, otworzył kłódkę i zdjawszy łańcuch, pchnął skrzydła bramy.

– No to witam panią w imieniu wsi Zabycie. Niech się pani dobrze żyje w tych Rozstajach.

– Dlaczego rozstajach? – spytała zaciekawiona.

– Ano tak nazywamy we wsi to gospodarstwo. Widzi pani, że na rozstajnych drogach stoi. To od tego. Każdy się dziwił, ale wiadomo było, że jak się Jędrzej uparł, to, jak to się mówi, nie było mocnych.

– Jędrzej to poprzedni właściciel, tak?

– Ano tak.

– Opowie mi pan o nim? Dlaczego to sprzedał i jaki był?

– Opowiem, jak pani chce. Tylko wpierw do domu wejdziemy, żeby pani powiedziała, gdzie wystawiać z samochodu. Inaczej do jutra nie skończymy. Pani powie, ja zarządzę, bo baby, jak to się mówi, nie do rządzenia i nikt ich nie posłucha. A potem sobie usiądziemy, piwka się napijemy i ja pani opowiem o Jędrzeju.

– Zgoda, panie Stanisławie. Tylko musi mi pan powiedzieć, gdzie to piwo kupić. Jest tu jakiś sklep we wsi? Wie pan, nie znam okolicy...

– Pani niech się tym nie martwi. – Machnął uspokajająco ręką. – Wezmę ten swój złom, chłopaki popchną, pojedą i przywiezę. Pani tylko pieniążki da. Będzie z dostawą na miejsce. – Sołtys znów zaprezentował swe srebrne uzębienie. – No i jeszcze wpierw trzeba z chłopakami ustalić zapłatę. Nie będą przecie, jak to się mówi, darmo ganiać. Sąsiad sąsiadem, a we wsi biednie. Każdy grosz się liczy, wiadomo.

– To ile powinnam dać? Pan przecież lepiej będzie wiedział, prawda?

– No, jak po dychu na łeb, to się ucieszą.

– Proszę im powiedzieć, że dam. A jak się dobrze spiszą, to jeszcze coś dorzucę.

– Widzę, że dobra będzie z pani sąsiadka. – Wyciągnął z kieszeni wielką kraciastą chustkę i otarł nią krople potu z czoła i karku. – To ja otwieram chałupę i jadę, bo gorąco i, jak to się mówi, pić się chce.



Drzwi do domu otworzyły się bezszelestnie. Nieśmiało przeszła przez próg i rozejrzała się dookoła. Od kilku miesięcy nikt tu chyba nie sprzątał, bo meble i podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu. Stała w pomieszczeniu, które służyło byłemu właścicielowi za kuchnię i salon. Z lewej strony zauważyła wielki piec, taki, jaki spotyka się jeszcze czasami w wiejskich chatach. Był piękny, zbudowany z ciemnobrązowych, błyszczących kafli. Z jednej strony zdobiły go żeliwne drzwiczki, z drugiej była płyta do gotowania. Na ścianie obok wisiały pokrywki, patelnie i kuchenne przyrządy. Wszystko porządnie poukładane, jakby czekało na użycie. Dalej duży żeliwny zlewozmywak i blat ułożony na skrzyżowanych drewnianych nogach. Nad nim kilka półek. Z ulgą zauważyła kontakt. A więc jest elektryczność! Oby działała, bo chociaż zdecydowała się na palenie w piecu, to jednak lampa naftowa wydawała się jej zbyt dużym wyrzeczeniem.

Na przeciwległej ścianie zbudowano wielki kamienny kominek. Teraz zrozumiała, dlaczego na dachu są dwa kominy. Niespotykane to rozwiązanie, szczególnie w tak niewielkim domu, ale z tego, co rozumiała, poprzedni właściciel był postacią nietuzinkową. Pomyślała, że chętnie dowie się o nim czegoś więcej.

Siadła przed kominkiem na jednym z dwóch bujanych foteli. Z poduszek wzbila się chmura kurzu. Kichnęła i w gardle zaczęło ją niemiłosiernie drapać. Sprzątania tu na tydzień albo dłużej, pomyślała. Starła się nie poruszać, czekając aż kurz opadnie. Za plecami miała duży drewniany stół, a przy oknie stał prosty sosnowy kredens. To wszystko, żadnych ozdób, dywaników, drobiazgów, serwetek. Męskie gospodarstwo. Wyglądało na to, że Jędrzej nie tylko nie miał żony, ale i w ogóle stronił od kobiet.

Dostrzegła jeszcze dwoje drzwi. Ciekawość zwyciężyła, kobieta podniosła się powoli. Otworzyła pierwsze, z lewej strony pieca. To chyba spiżarnia, doszła do wniosku, bo nie ma tu okien, a na ścianach wokół same półki. A w podłodze kłapa, pewnie kryje wejście do piwnicy.

Wyobraziła sobie, że czeka tam na nią mnóstwo pajaków i innych małych stworzeń. To wydawało się najgorszą stroną wiejskiego życia. Będę musiała przyzwyczaić się do gości mających wiele nóżek lub skrzydełek – przeszedł ją dreszcz obrzydzenia.

Przypomniała sobie o drugich drzwiach, tuż za kuchennym blatem. Okazało się, że prowadzi do łazienki. Która była chyba największym zaskoczeniem. Ściany co prawda wyłożono deskami, ale urządzenia sanitarne były jak najbardziej nowoczesne. Kiedy kupowała ten dom, już sam fakt istnienia łazienki mile ją zaskoczył. Cieszyła się, że nie będzie musiała biegać w środku nocy do budki z serduszkami na drzwiach, ale liczyła się też z kapitalnym remontem. Tymczasem wszystko zdawało się w jak najlepszym porządku. Nawet bojler po włączeniu do kontaktu zamrugał pomarańczowym światłem. Zostawię tak, postanowiła, niech zagrzeje wodę. Przyda się na wieczorną kąpiel.

– Proszę pani, gdzie pani jest? – Usłyszała wołanie z podwórka. To jeden z jej młodych sąsiadów, którzy za pierwszą sąsiedzką pomoc domagają się zapłaty.

– Słucham?

– Gdzie te paczki kłaść?

– Na razie to chyba tutaj, na środku – zdecydowała szybko, bojąc się, że mogą zrezygnować z pracy w ogóle. Myny mieli bowiem tak ponure, jakby żądała od nich pracy ponad siły, a nie wniesienia kilkunastu paczek. – A te owinięte papierem pakunki to na osobną kupkę, bo to książki.

– Książki pani tu przywiozła? Tyle aż? – Z tonu pytania wynikało, że kobieta zrobiła coś niezmiernie głupiego. – Przecież tu na górze tego pełno. Już pół roku bierzemy na podpałkę, a jeszcze więcej niż pół zostało. Komu to potrzebne tyle tego? – Chłopak rzucił paczkę na

podłogę i patrzył, jakby czekając, aż kobieta usprawiedliwi jakoś swój postępek.

– No, Krzychu, nie stój tak, robota czeka – wybawił ją z opresji ten z roweru. – Chłopaki z następną paczką na samochodzie czekają.

Krzychu wyszedł, a wybawiciel postawił swój ładunek pod oknem. Zdjął koszulkę i otarł nią spocony kark i tors. Dostrzegła, że jest ładnie opalony. Naturalnie, prawdziwym słońcem, nie sztucznym z solarium.

– Mogę? – zapytał, rzucając koszulkę na jedno z krzeseł.

– Proszę bardzo.

– Jędrzej lubił czytać. Niech pani zobaczy na górze, tam trzymał książki.

Błysnęła białymi zębami, wskazując na schody w rogu pokoju, i wyszedł. Zaczęła ostrożnie po nich wchodzić. Na górę pchała ją ciekawość, ale i niechęć ponownego spotkania z Krzychem, który książek używa jako podpałki do pieca.

Całe poddasze okazało się jednym dużym pokojem. Królowało tu olbrzymie łóżko, mogące pomieścić chyba ze cztery osoby jednocześnie. Obok stała równie dużych rozmiarów szafa. Zajrzała do niej, ale była zupełnie pusta. Pewnie ubrania Jędrzeja też na coś się przydały. Może nie na podpałkę, ale do innych, znanych tylko miejscowym, celów. Jędrzej musiał być strojnisiem, skoro potrzebował tyle miejsca na garderobę, zachichotała w duchu.

Pozostałe ściany pokryte były półkami. Na tych półkach, w większości teraz pustych, mieścił się chyba kiedyś spory księgozbiór. Poczowała jakąś nić sympatii, która zaczęła łączyć ją z Jędrzejem. Zaczynała mieć wrażenie, jakby go znała i lubiła.

Sympatia sympatią, ale ucieszyła się, że przywiozła ze sobą starą toaletkę z lustrem, prezent od starej ciotki, która dawno nie żyła. Mebel długo stał w piwnicy, bo żal go było wyrzucić. Teraz bardzo się przydał. Jędrzej chyba nie przejmował się zmarszczkami i nie szcztokował wieczorem włosów. Uśmiechnęła się w duchu i słysząc zbliżający się warkot, w którym już nieomylnie rozpoznała „złom” sołtysa, postanowiła zejść na dół i przywitać go w progu, jak przystało gospodyni.

Dobrze, że wrócił, bo jemu z pewnością uda się zapanować nad Krzychem i resztą, westchnęła z ulgą. – „Baby, jak to się mówi, nie są od rządzenia i nikt ich nie posłucha” – przypomniała sobie słowa pana Stanisława.

Kiedyś pewnie oburzyłaby się, słysząc tak szowinistyczny męski pogląd, ale tego dnia z przyjemnością zgodziła się na rządy sołtysa.



Stanisław Gula zmierzył czekającą w drzwiach kobietę okiem znawcy. Tak, mógł nazywać siebie znawcą ludzi. Przecież już trzeci raz został wybrany na sołtysa. I nie zamierzał na tym poprzestać. Sołtys w niewielkiej wsi to żaden sukces. Marzył o stanowisku wójta, a coraz częściej, oglądając wieczorne wiadomości, widział siebie w garniturze i białej koszuli, siedzącego w sejmowych ławach. Nie uważał tego za niemożliwe, bo wielu takich jak on, a może nawet gorszych, dotarło już do stolicy. A on może się nie nadaje? Sroce spod ogona nie wypadł. Wiedział jednak doskonale, że trzeba czekać na odpowiedni moment, na swoją szansę. Może właśnie ta kobieta z miasta nią była? Nie wiadomo przecież, kim jest. Chociaż kiedy patrzył na nią teraz, nie wyglądała na taką, co wiele może. Ta długa spódnica i dziwna bluzka z szerokimi rękawami w niczym nie przypominały strojów bogatych i wpływowych kobiet z telewizji. Nie była też taka piękna, no, może długie blond włosy dodawały jej uroku, ale takie włosy to prawie każda kobieta tu w gminie ma. Tyle że ta ma chyba dużo pieniędzy, skoro stać ją było na kupno

domu i ziemi. A skoro tu przyjechała, to znaczy, że nie pracuje. To skąd ma? Jeśli sama nie jest kimś ważnym, to może kogoś zna? Zresztą, to się zobaczy. Na razie trzeba pogadać, zaprzyjaźnić się i wyciągnąć z niej, ile tylko się da. Ci miastowi lubią udawać wiejskie życie i płacą za takie rzeczy, za które on nie dałby ani grosza. Co go to zresztą obchodzi. Interes najważniejszy. No, a interesy to on już robić potrafi. Każdy we wsi przyzna. Przywołał więc na twarz przyjazny uśmiech i zawołał:

– No, jak tam, robota idzie? Piwko przywiozłem, jak obiecałem. Bo musi pani wiedzieć, że u mnie, jak to się mówi, słowo droższe pieniędzy.

– Chłopcy już kończą. Najtrudniej będzie z toaletką, bo trzeba ją wnieść na górę, a schody są wąskie. Nie wiem, czy się zmieści...

– E, nie ma sprawy. Dadzą radę. Chłopaki do roboty zwyczajne, siły dużo mają. Wniosą w trymiga.

– Panie Stanisławie, to może siądziemy i porozmawiamy, co?

– A, pewno. Tylko tu, na zewnątrz, bo w środku to pewnie jeden kurz, nie? No, to może tu na tarasie, Jędrzej tu lubił zawsze wysiadywać. Jak upał, to chłodno, a widać wszystkie trzy drogi. Nieźle się tu urządził, jak pani uważa? Zmysłny był chłop, chociaż taki, jak to się mówi, dziwak.

Wyjął z plastikowej siatki butelki z piwem. Z jednej zdjął kapsel, używając zębów jako otwieracza, i podał ją kobiecie. Widząc zaskoczenie na jej twarzy, wyjaśnił:

– Zawsze tak otwierałem, od małego. Zęby, jak to się mówi, na tym zjadłem. – Roześmiał się głośno. – Te nowe – stuknął palcem w jeden ze srebrnych zębów – to lepsze, twardsze.

Usiadł na drewnianej ławie stojącej pod ścianą i ręką wskazał miejsce obok siebie.

– Niech pani siada, pogadamy. Twarda, ale da się wysiedzieć. Były tu takie fotele z wikliny i stolik, ale na przechowanie wziąłem do siebie, żeby kto nie ukradł. Tutaj to się ludziom wszystko przyda. Jutro, jak będę jechał do gminy, to przywiozę.

– Tak, dobrze. – Nie sprawiała wrażenia zainteresowanej tematem.

Zaczynał żałować, że wspomniał o tych krzesłach. Może wcale o nich nie wiedziała, a u niego przydawały się w ogrodzie za domem. Postanowił, że przywiezie dwa, a dwa pozostałe zostawi u siebie. Jak się nie upomni, to dobrze, a jak zapyta, to najwyżej powie, że się nie zmieściły i dowiezie następnego dnia. Zadowolony przystawił butelkę do ust i pił przez chwilę łapczywie, głośno przy tym gulgocząc. Kiedy skończył, wytarł ręką usta, a rękę o spodnie.

– Już mi lepiej. Nie ma to jak piwko przy takim upale. Zgodzi się pani? A pani nie pije? Nie smakuje? No, nie najlepsze może, ale pragnienie, jak to się mówi, ugasi. Pani chciała o Jędrzeju gadać, co? Będzie o Jędrzeju, ale wpierw musimy o gospodarstwie pogadać. Zgadza się pani, sąsiadko?

– Tak, panie Stanisławie, to dobra myśl. Tylko może dzisiaj to, co najważniejsze, a reszta, kiedy już się trochę urządzę. Dobrze?

– Niech będzie. Ja tu wszystko już obmyśliłem, żeby było dobrze. Pierwsze to musi pani w piecu rozpalić, żeby cokolwiek ugotować. No to ja trochę drewna przywiozłem na pierwszy, jak to się mówi, ogień. Mariusz! – wrzasnął w stronę chłopaków tak głośno, że kobieta aż podskoczyła wystraszona. – Weź tam z bagażnika wyjm to drewno i koło pieca połóż! Umie pani w piecu rozpalić czy pokazać trzeba?

– Umie, dziękuję.

– Tak mówi, ale gdzie tam w mieście piece. – Sołtys uśmiechnął się lekceważąco. – Później pokażę. Jakby pani chciała więcej drewna, to mi zostało z zimy sporo, mogę za parę groszy odsprzedać. Dogadamy się, jak to się mówi, po sąsiedzku. A jesienią pomogę na zimę opał załatwić. Sołtys przecież jestem, to coś mogę, nie? A chłopaki za parę groszy porąbią

i ułożą. Moje dwa, Mariusz i Krzychu znaczy, to chętni do pomocy są. Tylko pani słowo powie, a zaraz, jak to się mówi, przylecą.

– Tata – przerwał sołtysową tyradę wspomniany przed chwilą Krzychu – już my wszystko wnieśli. Tą szafę z lustrem na górę też.

– No to weź piwo dla siebie i chłopaków i odpocznijcie se trochę, a ja pójde tego z samochodem odprawić.

Kobieta wstała z ławy, próbując protestować.

– Panie Stanisławie, ja pójde. Muszę zapłacić za transport...

– Ja to załatwię, a rozliczymy się potem. Kto to widział, żeby baba takie sprawy załatwiała. – Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Ale ja mu jeszcze za postój obiecałam, proszę dołożyć...

– Pewno, za postój płacić. Jeszcze świat nie widział, żeby za opalanie, jak to się mówi, pieniądze dawać. Widzieli go, spryciarza, kobitę chciał oszukać. Niech pani siedzi, załatwię. Dobrze będzie, jeszcze dla chłopaków zostanie.

Kobieta westchnęła zrezygnowana i usiadła z powrotem na drewnianej ławie. Obserwowała przez chwilę dwóch mężczyzn dyskutujących przy samochodzie. Po chwili kierowca odjechał, a sołtys z zadowoloną miną wracał. Coś powiedział do chłopaków, którzy skomentowali to śmiechem. Patrzyła na nich, jak leżą na trawie, pijąc piwo i paląc papierosy. Choć nic nie mówili ani nawet nie patrzyli w jej stronę, nie czuła się dobrze, gdy byli w pobliżu.

– Załatwione jak należy. Wszyscy, jak to się mówi, zadowoleni. A chłopaki coś jeszcze mają robić czy już im płacić?

– Może jeszcze mogliby wnieść książki na górę. Sama chyba nie dam rady. Poprosi ich pan?

– Prosi, prosi... Na wsi to, jak to się mówi, świnia się prosi. Mariusz! – wrzasnął. – Koniec przerwy! Książki na górę wnosić! Wiecie, które to?!

Młodzi pokiwali głowami i niechętnie zaczęli wstawać.

– Szybciej! Skończyta, to i fajrant! A do pani to jeszcze najważniejsze mam. O zwierzęta chodzi.

– Jakie zwierzęta? Nic nie wiem o żadnych zwierzętach. – Kobieta wyglądała na zaskoczoną i nieco przerażoną.

Sołtys ucieszył się, bo właśnie na to liczył.

– No, Jędrzej miał dwie krowy, kury, kaczki, króliki, a i jeszcze kozy trzy. My je wszystkie wzięli i u mnie są. Jak pani chce, to jutro przypędzę, bo obora tu jest. Chyba że nie, no to my wtedy byśmy pani mleko i jajka co dzień przynosili. Tyle, ile tam pani będzie trzeba. A resztę się sprzeda i podzielimy, jak to się mówi, sprawiedliwie.

– Dobrze, dobrze, panie Stanisławie. Niech tak będzie. Ja się na zwierzętach nie znam wcale. Z nieba mi pan spadł z tą propozycją. Doprawdy nie wiem, jak mam dziękować.

Sołtys przyjął podziękowania, w duchu śmiejąc się z jej naiwności. Każdy przecież wie, że jedna osoba tyle mleka nie wypije i tyle jajek nie zje. Resztę sprzeda i parę groszy będzie, a wykarmić parę sztuk więcej to dla niego nie taki duży kłopot. Opłaci się na pewno. A ta jeszcze dziękuje! I nawet nie pyta, ile tego jest, tych kur i kaczek, i królików. Jak to baba – pomyślał pogardliwie. – I bardzo dobrze. Przynajmniej nie wygląda na taką, co wpycha nos w cudze sprawy.

– A pani to do nas tak na lato?

– Mam nadzieję, że nie tylko. Chciałabym na zawsze.

– No, no, odważna z pani kobieta. – Najwyraźniej rozbawiło go to, co usłyszał. – Na zawsze to pani powie, jak pani zimę tu przeżyje. To nie to samo, co miasto. Bo pani z miasta,

nie?

– Tak.

– Z dużego?

– Z dużego.

– I tam pani pracowała?

– Tak.

– Widzę, że o sobie to pani za dużo nie chce mówić. Nie to nie, ja tam ciekawski nie jestem. Swojego pilnuję i tyle. Tylko baby mnie będą wypytywać, to czymś im trzeba, jak to się mówi, gęby zatkać, bo spokoju nie dadzą. Zresztą one i tak panią dopadną przed sklepem. O, właśnie, o sklep pani pytała. Jest, tam we wsi, prosto droga i pani trafi. Chleb o dziewiątej przywożą, zdążyć trzeba, bo później nie ma. Jak pani jutro pójdzie, to co do reszty się pani z babami dogada. Jak baba, jak to się mówi, z babą.

Otarł pot z czoła i sięgnął po butelkę. Wypił resztkę piwa, która mu pozostała w drugiej już butelce, i pożałował, że nie kupił więcej. Za cudze to zawsze lepiej smakuje, wiadomo. Wstał niechętnie, bo lubił tak siedzieć w cieniu i rozmawiać, ale miał jeszcze kilka spraw do załatwienia, a brzuch dawał sygnał, że zbliża się pora obiadowa.

– Na mnie pora. Gospodarka czeka. Chłopaki też już skończyli, rozliczyć się z nimi trza. Ten od samochodu to tylko za transport wziął. Resztę stargowałem. No, to po ile pani chłopakom, jak to się mówi, rzuci?

– Proszę, tu dla nich za robotę. A to niech pan im da jako premię. Będą mieli na piwo czy papierosy. A to dla pana, zwrot za transport.

Sołtys sięgnął do portfela, ale kobieta zaprotestowała:

– O nie, panie Stanisławie, proszę nic nie wydawać. Pan przecież jeszcze to piwo kupował. Naprawdę, nie trzeba. I tak mam wobec pana dług wdzięczności.

– Jak pani uważa. To ja będę jechał. A, teraz sobie przypomniałem, że pani o Jędrzeju chciała wiedzieć, nie?

– Gdyby pan miał ochotę opowiedzieć, to chętnie posłucham.

– Tyle że tu nie ma co opowiadać. Jędrzej całe życie po świecie się włóczył. Mówią, że na statkach pływał, ale kto go tam wie, co naprawdę robił. Tu siostra jego została, męża miała i dzieci, żyła, jak to się mówi, po bożemu. Jędrzej wrócił z dziesięć lat temu. Z siostrą mieszkać nie chciał, tylko ten kawałek ziemi kupił. Tanio, bo tu rozstaje. Trzy drogi się schodzą, a ludzie mówią, że w takich miejscach diabeł mieszka. Ja tam nie wierzę w takie, jak to się mówi, zabobony. No i pani pewno też nie.

Stanisław podniósł kapelusz, otarł spoconą łysinę i nałożył kapelusz z powrotem.

– Gorąco jak cholera, a przecie dopiero maj. Co to w lato będzie? – powiedział jakby sam do siebie i kontynuował przerwany wątek: – Jędrzej zbudował chatę, samo drewno, zdrowe, i zamieszkał tu. Wszystko robił sam, nawet chleba nie kupował. Z nikim prawie nie rozmawiał. Czasami chodził po wsi i tak się gapił na wszystko, że aż się ludzie bali, żeby jakiego, jak to się mówi, uroku nie rzucił. Aż kiedyś powiedział, że ma dość tego świata i że tu się nic zmienić nie da i że pora mu umierać. I wie pani, że w miesiąc później umarł? Ot, i cała historia. Nic ciekawego, sama pani widzi. Zwyczajny, jak to się mówi, dziwak. Może od tych ksiązek taki był albo za dużo może widział? Wiadomo to... – Podrapał się po czole, zsuwając kapelusz na tył głowy. – Ale dom jest, jak to się mówi, w porządku. Sama pani przyzna. No, teraz to już jadę, bo mi obiad stygnie. Butelki po piwie zabieram, w sklepie oddać muszę.

Zabrał siatkę i stukając butelkami, odszedł w kierunku samochodu. Otworzył drzwiczki i rozpoczął pokrzykiwanie na chłopaków. Wyciągnął zza siedzenia jakąś paczkę, uderzył się dłonią w czoło i krzyknął do stojącej na schodkach kobiety:

– Pani jeszcze to weźmie! Pierogi żona dała, żeby pani obiad dzisiaj miała i popróbowwała naszej kuchni! Tu kładę! – Położył paczkę na pniu do rąbania drewna i wszedł do samochodu, zatrzasnąwszy mocno drzwi. – Do widzenia! – krzyknął jeszcze.

Był zadowolony z tego przedpołudnia. Tyle spraw gładko poszło. Jako sołtys dał się poznać z dobrej strony. Drewno, co mu zalega, też chyba uda się sprzedać, a zwierzęta zostają. I zarobił parę groszy. Chłopaki dostaną na piwo, tak jak się z nimi wcześniej umówił. Reszta i to, co zostało z transportu, będzie dla niego. Należy mu się, przecież sam to wszystko zorganizował. I pół dnia stracił. Ale się opłacało. Stanisław Gula, sołtys wsi Zabycie, mógł być z siebie dumny.

Kobieta zeszła ze schodów i zabrała pozostawiony przez sołtysa pakunek. Popatrzyła za oddalającym się samochodem, który warczał i wzbijał tumany kurzu. Odwróciła się i zobaczyła chłopaka na rowerze. Jechał w stronę lasu. Poczuli chyba, że jest obserwowany, bo odwrócił głowę i pomachał ręką. Uniosła w górę dłoń, odwzajemniając pozdrowienie. Raz jeszcze rozejrzała się dookoła. Weszła do domu i dokładnie zamknęła za sobą drzwi.

Pierwsza noc w nowym domu minęła zupełnie spokojnie. Spała mocno i nie musiała nawet brać tabletki, co dotychczas stanowiło nieodzowną część wieczornego rytuału. Wiejskie powietrze tak ją oszołomiło, że ledwie dotknęła głową poduszki, natychmiast zasnęła. Śniła jej się, że piekła chleb w dużym piecu na dole. Wyjmowała jeden bochenek za drugim. Były duże, gorące, miały smakowicie brązową skórkę. A jak pachniały! Upiekła ich tak wiele, że zajmowały już cały stół, a kiedy postanowiła, że rozda je ludziom – obudziła się. Wspomnienie snu przypomniało jej, że musi pójść do sklepu. Zerwała się natychmiast, przekonana, że zasnęła. Spojrzenie na zegarek uświadomiło jej, że nie ma jeszcze siódmej. Bez budzika? Tak wcześnie? Mój organizm chyba oszalał, pomyślała. – Będę miała cienie pod oczami, zwłaszcza że wieczorem nie wklepałam w siebie superkremu przeciwzmarszczkowego. Takie zaniedbanie zdarzyło mi się pierwszy raz, ale skutki z pewnością będą katastrofalne. Ładnie się zaprezentuje pierwszego dnia, nie ma co!

Lustro okazało się chyba zaczarowane, bo nie pokazało worków pod oczami ani nowych zmarszczek. Może ciotka je zaczarowała? Postanowiła zaryzykować i uwierzyć w to, co widzi. Kosmetyczkę wrzuciła do szafy, niech sobie leży. Wyjdzie bez makijażu, bez całego tego arsenału, którego używała w mieście, żeby ukryć prawdę o sobie. Tutaj wystarczy koszulka i spódnica, no może jeszcze sweter, bo ranek może być chłodny.

Wybrała się na spacer, żeby obejrzeć swoje gospodarstwo. Zajęło jej to sporo czasu, bo ogrodzony teren kończył się prawie pod lasem. W połowie drogi czekała ją niespodzianka – mała rzeczka płynąca leniwie przez sam środek jej posiadłości. Nie miała kłopotu z przejściem na drugą stronę, bo ktoś, zapewne Jędrzej, zbudował szeroki mostek. Za rzeką rozciągała się łąka pełna polnych kwiatów. Rozpoznała chabry i maki, reszty nie знаła, ale widok był zachwycający. Nie miała nawet odwagi iść dalej, nie chciała niszczyć czegoś tak pięknego. Zawróciła więc w stronę domu, minęła drzewa owocowe posadzone po cztery z każdej strony ścieżki i kilkanaście krzewów.

Jej uwagę przykuły zabudowania gospodarcze. Zajrzała do pomieszczenia, które kiedyś było pewnie oborą, do drugiego, jak się domyślała, po królikach. Obok była komórka pełna różnych sprzętów i narzędzi, których identyfikacją postanowiła zająć się później. Na razie wyciągnęła jedynie starą maselnicę. Chciała przyjrzeć się jej z bliska, bo dotąd takie urządzenia widywała jedynie w telewizji. Nie bardzo wiedziałyby nawet, jak tego użyć.



Błażej oparł rower o ogrodzenie i zdjął z bagażnika wiklinowy koszyk przykryty ściereczką w zieloną kratkę. Zgodził się przywieźć go do Rozstajów, bo ciekaw był nowo przybyłej. Po wczorajszym dniu miał mieszane uczucia. Wydawała się sympatyczna, ale gdy patrzyła na nich, widział w jej oczach lęk pomieszany z odrazą. Jakby się bała, że śmierdzą oborą i mogą ją pobrudzić. Wiedział, że przyjechała z miasta, a ludzie mówili, że zapłaciła za Rozstaje dwa razy tyle, ile były warte. To znaczyło, że jest bogata i że zależało jej na kupnie tego domu. Chciał wiedzieć dlaczego. Miał nadzieję, że nie okaże się zarozumiałą damulką, taką, co to brzydzi się krowiego nawozu i nie wie, do czego służą widły.

Poranek był wczesny, więc Błażej był pewien, że gospodyni jeszcze śpi. Miał zamiar postawić koszyk na ganku i odebrać go, gdy będzie wracał. Ze zdziwieniem stwierdził, że kobieta już wstała. Obserwował ją idącą od strony łąki. Wydała mu się taka nierzeczywista, jak z innego świata. Jednocześnie pasowała tu, do tego domu, ogrodu i łąki. Patrzył jak urzeczony na jej długą spódnicę mokrą od rosy, na jej długie włosy, które raz po raz niecierpliwym gestem odgarniała z twarzy. Była jak żywcem wyjęta z opowieści Jędrzeja.

Stał przy płocie i nie mógł oderwać od niej oczu. Nie zauważyła go i zajęła się oglądaniem szopy. Wyciągnęła maselnicę i przyglądała się jej ze wszystkich stron. Zabawnie marszczyła czoło i wciąż odgarniała włosy, próbując chyba odgadnąć przeznaczenie przedmiotu. Rozbawiła go niewiedza dorosłej przecież kobiety.

- To maselnica – powiedział. – Jak pani chce, to mogę pokazać, jak się jej używa.
- Kobieta zaskoczona rozejrzała się dokoła. Spozrzegła Błażeja i odetchnęła z ulgą.
- Ależ mnie wystraszyłeś! Nie zauważyłam cię.
- Przed chwilą podjechałem. – Z jakiegoś powodu nie chciał, żeby wiedziała, że obserwował ją od dłuższego czasu. – I nawet się nie przywitałem. Pewnie uzna mnie pani za wiejskiego prostaka, co?
- Wcale nie...

– Dobra, zacznę od początku, OK?

– OK – zgodziła się z uśmiechem.

Uśmiech ma miły, pomyślał Błażej i cofnął się parę metrów razem z rowerem. Usiadł na siodełku i podjechał do miejsca, w którym kobieta oparła ręce na płocie.

– Dzień dobry pani. Jak się spało w nowym miejscu?

– Dzień dobry. Doskonale. Dawno tak nie wypoczęłam. Ty jesteś Błażej, dobrze zapamiętałam?

– Tak. Przywiozłem pani jajka i mleko od sołtysowej. Świeżutkie.

– Tak wcześniej? Jechałeś specjalnie? To miło z twojej strony. Powinam chyba... – Rozejrzała się bezradnie i poklepała boki spódnicy. – Poczekaj tu chwilę, bo portmonetkę zostawiłam w domu...

– Nie trzeba, niech pani nie idzie. Ja i tak przejeżdżam tędy codziennie, to wziąłem po drodze. Nie chcę pieniędzy. To zwyczajna przysługa.

– Przepraszam, myślałam, że tu taki zwyczaj. Sołtys wczoraj mówił...

– Pewnie, nie wątpię. On taki jest. Ale nie każdy. Ja swój honor mam. Jak mi pani będzie wpychać pieniądze, to jutro nie przywiozę.

– A jak nie będę, to przywieziesz?

Znowu się roześmiała, a Błażej poczuł, że się czerwieni. Wcale nie miał zamiaru niczego obiecywać, chciał tylko sprawdzić, jaka jest.

– Zastanowię się jeszcze. Jędrzejowi czasem coś ze sklepu przywoziłem, bo on nie lubił chodzić do wsi. Ale nie codziennie. Pomyślę...

– To pomyśl. – Kobieta tym razem dmuchnięciem pozbyła się opadającego na twarz kosmyka włosów.

Nie wiedział, co powiedzieć. Ona chyba też nie. Stali tak po obu stronach płotu, a Błażej czuł się coraz bardziej głupio. W jednej chwili odbił się nogą od ziemi, wskoczył na siodełko i zaczął pedałowac w stronę lasu.

– Jak będę wracał koło południa, to zabiorę koszyk – krzyknął, nie odwracając się. Czuł, że patrzy na niego. Nie wiedział, co myśleć o tym spotkaniu. Nie wiedział, czy chce przywozić jej mleko codziennie. O czym miałby rozmawiać z tą kobietą? Jędrzej to co innego... Mężczyzna i rozumiał go. A ona? Jest inna, niż sobie wyobrażał. Jest inna niż wszyscy, których do tej pory znał. Coraz szybciej naciskał pedały. Wiedział, że kiedy przejedzie kilkanaście kilometrów, wszystko samo ułoży mu się w głowie.



Chłopak odjechał tak szybko, że nie zdążyła mu nawet podziękować. Czyżby go czymś uraziła? Miała nadzieję, że nie, bo wydawał się miły. Koszyk, który zostawił, był bardzo ciężki. Oprócz mleka i dziesięciu jajek zawierał jeszcze spory kawałek placka drożdżowego i dwa słoiki dżemu. Na samym dnie koszyka znalazła jeszcze kilka cebulek ze szczypiorkiem. Miała wrażenie, że spodoba się jej nowa dieta. Miła kobieta z tej sołtysowej, pomyślała, czuję się naprawdę dobrze przyjętym gościem. A ostrzegali, że na wsi ludzie nie są wcale tacy uczynni, jak się mówi. Nie mieli racji, to zupełnie inny świat.

Zapachy z koszyka przypomniały jej, że pora na śniadanie. Na myśl o świeżym mleku i placku drożdżowym prawie dostała ślinotoku. Do głowy przyszła jej śmiała myśl: skoro Jędrzej piekł własny chleb, to może i ona mogłaby? Szybko ją odrzuciła, bo przecież nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać.

Zbliżała się dziewiąta, pora na wyprawę do sklepu. Odczuwała niepokój przed pierwszym spotkaniem z miejscowymi kobietami. Mężczyzna i nieopierzony nastolatek to nic. Prawdziwy chrzest bojowy dopiero ją czekał. Wiadomo, że to właśnie kobiety są najsurowszymi sędziami.

Jak wiele razy bywałam osądzana, a wyrok wydawany był na podstawie mojego ubioru lub ceny butów czy torebki, wspominała. – A ile razy ja sama wydawałam surowy werdykt już po pierwszym usłyszonym zdaniu lub nieodpowiednim uśmiechu czy geście. Tak robiły wszystkie kobiety w moim dotychczasowym życiu.

Wolałyby, żeby tutejsze miały o niej dobre zdanie, choć oczywiście nie zamierzała niczego udawać ani specjalnie się starać o zjednanie sobie ich sympatii. Liczyła jednak, że uda jej się namówić którąś z nich na pomoc w sprzątaniu. Ogrom pracy zdawał się ją przerastać. Poza tym przydałby się ktoś do pomocy, przynajmniej na początku.

Nie omieszkam wspomnieć o zapłacie, bo znając życie, większa część mieszkańców podziela pogląd sołtysa na sprawę sąsiedzkiej pomocy, uśmiechnęła się w duchu. Mój młody znajomy jest pewnie w mniejszości.

Postanowiła być sobą. Niczego nie udawać, nie silić się na żadne pozy. Po to przecież tu przyjechała; chciała żyć naprawdę, szczerze, a nie budować kolejną fikcję czy wizerunek odpowiedni dla innych. Od wczoraj zaczęła nowe życie, dla siebie. I inni mogą to zaakceptować albo nie, ale podejmą decyzję, widząc prawdziwą osobę. A ona wreszcie będzie wiedziała z całą pewnością, że przyjaciele i wrogowie znają ją, a nie wizerunek stworzony na potrzeby osiągnięcia celu lub sukcesów zawodowych.

Swoją drogą, czy ten chłopak naprawdę myślał, że nie wiem, co to jest maselnica? – przypomniała sobie rozbawiona. – Zabawne, doprawdy!



Sklep mieścił się w jednym z domów położonych prawie w samym środku Zabycia. Był to stary dom, w którym kiedyś mieszkała matka właściciela. Teraz już nie żyła, a młodzi Bochenkowie zbudowali nowy, piętrowy dom na drugim końcu podwórka. Starą chałupę stojącą tuż przy drodze przerobili niewielkim kosztem na sklep.

Zyski z interesu nie były duże, bo po większe zakupy prawie wszyscy jeździli do miejscowości gminnej, a ci, co mieli samochody, to nawet do miasta. Chleb, piwo i mocniejsze alkohole stanowiły jednak na tyle duże i pewne źródło dochodu, że Marian Bochenek zatrudnił w sklepie swoją siostrzenicę, Mirkę. Sam pracował za granicą, na budowach, więc przez większą część roku nie było go w domu, a jego żona nie mogła stać za ladą, bo przez cały dzień miała pełne ręce roboty przy piątce dzieciaków. Przychodziła tylko w porze dostawy pieczywa, żeby popatrzeć, jak idzie interes i porozmawiać z innymi kobietami. Ta godzina plotek i rozmów o dzieciach i gospodarstwie była najmiłą chwilą w całym jej dniu. Miłszą nawet niż wieczorne oglądanie telewizji, bo wtedy mogła tylko patrzeć, a tu, przed sklepem, mogła też mówić.

Dzisiaj jednak dzień był wyjątkowy. Sama postanowiła stanąć za ladą. Nie na długo, bo obowiązki czekały, ale tyle, ile trzeba, żeby być pierwszą, która porozmawia z nową mieszkanką wsi. Musi dowiedzieć się o niej jak najwięcej. Będzie miała temat do rozmów na kilka najbliższych dni. Wszystkie inne jej tylko będą chciały słuchać. Nie mogła stracić takiej okazji.

Kiedy samochód dostawczy z piekarni odjechał i większość zapłaciła za swoje zakupy, a nowej mieszkanki Rozstajów nie było, Anka Bochenkowa poczuła złość i rozczarowanie. Tyle czasu straciła, pranie czeka, żeby je rozwiesić, a i obiad jeszcze niegotowy. Wytarła ręce w fartuch i już miała wołać Mirkę, która leniła się gdzieś na zapleczu (a płacone przecież za ten

czas ma), kiedy zobaczyła, że ta, na którą czekała, właśnie nadchodzi. Anka szybko umalowała usta różową szminką, którą mąż jej przywiózł aż z Berlina (wszystkie zazdrościły), i przetarła ścierką ładę.

Niech wie, że może to nie miasto, ale porządek jest, pomyślała.

W sklepie kobieta rozejrzała się, lustrując towar na półkach.

– Dzień dobry. Chleba już nie ma? Pan Stanisław, to znaczy pan sołtys, mówił wczoraj, że przywożą go o dziewiątej.

– Tyle on tam wie, co zje. Czasami przywożą już o wpół do dziewiątej, jak dzisiaj, a czasami dopiero przed dziesiątą. Ale skąd on ma to wiedzieć, jak on tylko tu po piwo przychodzi. A za chlebem to co dzień jego żona stoi. O, widzi pani, to ta w czerwonej bluzce. – Anka wskazała na grupę kobiet stojących przed sklepem, które chociaż zakupy już zrobiły, to nadal stały i rozmawiały.

– To znaczy, że dziś już chleba nie kupię? – upewniła się kobieta.

– Kupi pani, kupi. Schowałam jeden, bo wiedziałam, że pani przyjdzie. – Anka chwaliła się w duchu za ten pomysł. Miała nadzieję, że wdzięczna kobieta powie coś więcej o sobie. – Tak sobie pomyślałam, że pani może nie wiedzieć, o której dostawa. W mieście to przecież przez cały dzień można chleb kupić... – próbowała nawiązać dłuższą rozmowę.

– Tak, można, nawet w niedzielę.

– No, u nas inaczej. A w niedzielę to sklep zamknięty, bo dzień święty. Trzeba chleb już w sobotę na zapas kupić.

– Będę pamiętała, dziękuję.

– Kościół to mamy w sąsiedniej wsi, trzy kilometry stąd. Msze są co dwie godziny, od ósmej rano. – Anka nie spieszyła się z wyjęciem chleba spod lady, ale widząc, że kobieta nie wykazuje chęci do rozmowy, postanowiła zapytać wprost: – Ja jestem Anka Bochenkowa, żona właściciela. A pani, można wiedzieć, jak ma na imię? Pytam, bo u nas taki zwyczaj, że się po imieniu do wszystkich mówi. To znaczy nie wprost, ale na przykład pani Aniu czy panie Stachu, rozumie pani? To jak do pani mówić?

– Nadia.

– To takie ruskie imię. Pani stamtąd pochodzi czy tylko tak rodzice dali na chrzcie?

– Tylko tak.

– No ładnie, nie powiem, niespotykane tak. A co jeszcze oprócz chleba pani chce?

– Cukier, mąkę, może konserwę rybną... Nie ma u pani dużego wyboru.

– A bo najlepiej idzie chleb i wino. Większość to każdy we wsi sam hoduje i swoje ma. Warzywa, owoce i mięso, nawet mąkę. A resztę w gminie kupują. Pani ma samochód?

– Nie mam.

– No to trzeba kogoś poprosić, to przywiezie, co trzeba. Wcześniej pani na wsi nie mieszkała, pani Nadiu?

– Nie.

– To będzie trzeba się przyzwyczaić. Źle tu nie jest, można żyć. A jak się pani dom po Jędrzeju widzi? Nie straszy tam?

– Bardzo ładny i miły dom. Już go polubiłam, a duchów dziś w nocy nie było. Ile płacę?

Anka zrozumiała, że niczego więcej się nie dowie. Wyjęła więc chleb i podała kobiecie rachunek. Kasę fiskalną to na pewno mieli taką jak w mieście. Marian sam jeździł po nią, jak przepisy wprowadzili. Przyjęła pieniądze i patrzyła w ślad za wychodzącą kobietą. Nie wszystko na marne, bo czegoś się jednak dowiedziała. Przynajmniej zna imię tej nowej.

Przez szybę zobaczyła, że Nadia podchodzi do grupy stojących kobiet.

– Mirka! – krzyknęła w stronę zaplecza. Musiała na kimś wyładować swoją złość. –

Gdzie ty tam siedzisz? Ja ci za picie herbaty nie płacę. Stawaj, gdzie twoje miejsce! – Anka Bochenkowa rozwiązała fartuch i ze złością rzuciła go na ladę.

Ciekawe, czego ona od bab chce? – pomyślała. Ze mną to gadać nie chciała.

Zła jak osa otworzyła szeroko drzwi do sklepu i stanęła w nich, nie kryjąc wcale zamiaru usłyszenia toczącej się na zewnątrz rozmowy.

– Jeszcze raz pani dziękuję – usłyszała głos Nadii. – Wczorajsze pierogi były wyśmienite, a dzisiejsza wałówka też wygląda przepysznie. Dzięki temu poczułam się w Zabyciu jak w domu.

Sołtysowa była wyraźnie dumna z usłyszanych komplementów.

– Niech pani będzie na zdrowie. Jutro też wszystko przygotuję jak trzeba.

– My tu gości chętnie witamy – wtrąciła się kobieta stojąca obok żony sołtysa. – Gość w dom, Bóg w dom. U nas biednie, ale po bożemu. Sąsiadowi pomoc trza, to się pomoże. Jakby pani czego potrzebowała albo chciała o coś zapytać, to każda odpowie. Żyjemy tu, to i o wsi wszystko wiemy.

– Bardzo pani życzliwa. Miałabym, prawdę mówiąc, małą prośbę...

Wszystkie kobiety utkwily w Nadii zaciekawione spojrzenia.

– Potrzebuję kogoś do pomocy przy sprzątanii. I potem może też, do takich drobnych spraw gospodarskich. Boję się, że sama sobie nie poradzę. – Widząc, że kobiety odwracają wzrok i spoglądają na siebie, dodała: – Zapłacę oczywiście...

– Wie pani, u nas kobiety czasu za dużo nie mają. Każda ma swoją gospodarę, chłopą i dzieciaki do obrobienia. Na swoje czasu nie starcza, a co dopiero mówić o pracy na cudzym – wypowiedziała się w imieniu całej grupy sołtysowa.

– Cóż, rozumiem. Będę musiała poradzić sobie jakoś...

Nadia podniosła siatkę z zakupami i już otwierała usta, żeby się pożegnać, kiedy jedna z kobiet odezwała się:

– To może ja bym spróbowała pomóc. Za wiele czasu też nie mam, ale do południa to dałabym radę. Każdy grosz się przecież przyda – tłumaczyła bardziej pozostałym kobietom niż Nadii. Po tym stwierdzeniu zamilkła, jakby uległa zdziwionym spojrzeniom. I stała tak, niewysoka i szczupła, w spódnicy w drobne kwiatki i szarym swetrze, czekając na skutek swojego śmiałego wystąpienia. Sama nie wiedziała, jak to się stało, że odważyła się w ogóle odezwać. Zwykle w milczeniu słuchała innych kobiet. To wszystko zdarzyło się tak niespodziewanie.

W domu naprawdę się przecież nie przelewa, tłumaczyła sobie w myślach. Nie muszę wcale codziennie, może nie trzeba będzie. No, a jak tu nie pomóc człowiekowi w potrzebie, to nie po chrześcijańsku. Tadzik na pewno nie będzie zły, jak się dowie, że dobry uczynek spełnię i jeszcze trochę grosza zarobię.

– Jak pani ma na imię? – wyrwał ją z zamyślenia głos przyszłej pracodawczyni.

– Helena Gula jestem.

– Cieszę się, pani Heleno, że się pani zgodziła. Proszę jutro do mnie przyjść, to uzgodnimy szczegóły i zaczniemy pracę. Odpowiada to pani?

– Tak, oczywiście. To ja przyjdę, jak chleb kupię. Może i pani kupić, toby już pani nie musiała chodzić. Niby niedaleko, ale mnie i tak po drodze.

– Świetnie, pani Heleno, zgoda.

Helena Gula była już tak przerażona szybkością toczących się wypadków, że bez namysłu chwyciła swój koszyk i pożegnawszy się z kobietami szybkim krokiem ruszyła w kierunku domu. Chciała jak najszybciej zobaczyć się z mężem i znaleźć u niego potwierdzenie słuszności swojej decyzji.

– Ja też się już z paniami pożegnám – powiedziała Nadia do pozostałych kobiet. – Koszyk

odwiezie pani ten chłopiec, co rano wszystko przywiózł – zwróciła się do sołtysowej. – Do widzenia paniom.

Kobiety burknęły coś w odpowiedzi i skinęły głowami. Odprowadzały wzrokiem odchodzącą kobietę. Kiedy była już dosyć daleko, Anka Bochenkowa postanowiła ratować swój wizerunek.

– Do widzenia, pani Nadiu! – wrzasnęła. – Zapraszam ponownie! Miło się rozmawiało!

Kobieta odwróciła się i pomachała. Anka, widząc zdumienie mieszkanek wsi, wzięła się pod boki i z wysokości sklepowych schodków rzekła dumnie:

– A co, porozmawiać nie wolno? Normalna przecież baba, tyle że z miasta. Rogów nie ma, to czego się bać? Pogadałyśmy chwilę w sklepie, przedstawiła się i trochę o sobie opowiadała. Ale ja tam czasu na pogaduszki nie mam, bo robota na mnie czeka. A wy co tak stoicie jak zamurowane? Domów nie macie?

Odwróciła się i weszła do sklepu. Przez szybę obserwowała rozchodzące się powoli kobiety.

– Teraz będą miały o czym myśleć, nie? – zwróciła się do stojącej za ladą dziewczyny. – A tak swoją drogą, to kto by pomyślał, że ta Helena taka sprytna. Będzie do niej co dzień chodzić i jeszcze chleb jej chce kupować. Pewnie specjalnie, żeby do sklepu nie przychodziła. No to jeszcze zobaczymy! Coś się wymyśli. Wyłączności by chciała, cwaniara! – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – A taka niby niepozorna i cichutka. Zawsze jak mysz pod miotłą. Widzisz, Mirka, jak to nigdy nie wiadomo, co w człowieku siedzi...

Dziewczyna pokiwała głową, potakując chlebodawczyni, a ta ciągnęła dalej, nawet nie odwróciwszy się w jej stronę:

– Nadia, też mi imię. Dziwaczne i tyle. A ona wcale na bogatą nie wygląda. Takie ciuchy, że lepsze już w gminie w pawilonach można kupić. I samochodu nie ma. Za to służącą by chciała mieć. Dama niby taka. Włosami zarzuca i myśli, że już lepsza. Stara baba, a włosy nosi rozpuszczone jak nastolatka. W tym wieku to już nawet nie wypada. – Poprawiła ręką swoją upiętą kilkunastoma spinkami trwałą. – Trzeba oko na nią mieć, bo może ona tu chłopca przyjechała szukać, że się tak nosi. Pamiętaj, Mirka, chłopca nigdy nie dość pilnować – pouczyła dziewczynę, która znowu przytaknęła.

W ostatniej chwili udało jej się dobiec do drzwi. Otworzyła je tak gwałtownie, aż uderzyły o ścianę z głośnym stuknięciem.

– Błażej! Zaczekaj!

Chłopak odwrócił głowę i zatrzymał się niezdecydowany. Spieszyło mu się do lasu, miał zamiar tylko postawić koszyk na tarasie i odjechać. Teraz jednak, kiedy go zobaczyła i zawołała, musiał zostać i zamienić z nią chociaż kilka słów. Zauważył, że dziś włosy zaplotła w warkocz.

– Lepiej jest pani z rozpuszczonymi włosami – powiedział szybciej, niż pomyślał.

– Słucham? – Kobieta była chyba nieco zmieszana takim początkiem rozmowy. – Ach, to... – Dotknęła ręką warkocza. – Może masz rację, ale ciągle mi przeszkadzają. Tak jest wygodniej.

– Chce pani udawać wieśniaczkę? – spytał złośliwie, a w jego głosie wyraźnie słyhać było agresję.

– Chyba nie najlepszy masz dzisiaj humor, co? – skomentowała jego wypowiedź. – A ja chciałam ci tylko podziękować za zabranie wczoraj koszyka. Nie słyszałam nawet, kiedy przyjechałeś...

– Pukałem.

– Nie mam przecież do ciebie pretensji...

– Pani powinna się zamykać – przerwał jej. – Nigdy nie wiadomo, kto przyjdzie i po co.

– Może chłopak po koszyk? – Zaśmiała się. – Nie żartuj. Tu przecież sami swoi, prawda?

– Pani to jeszcze nie taka swoja. – Błażej sam nie rozumiał, skąd w nim tyle niechęci do tej kobiety.

Ona chyba też się nad tym zastanawiała, bo ściągnęła brwi i już się nie uśmiechała.

– Widzę, że się spieszysz, więc cię nie zatrzymuję – powiedziała chłodno. – Koszyk zostawię na tarasie i posłucham twojej rady. Do widzenia.

Błażej zrozumiał, że przesadził. Ona była sympatyczna, a on zachowywał się najgorzej, jak tylko można.

– Niech pani poczeka – powiedział, spuszczać głowę i wkładając ręce do tylnych kieszeni dzinsów. – Przepraszam. Jestem zły, bo pokłóciłem się ze starymi rano. Głupio wyszło...

Kątem oka zobaczył, że kobieta zatrzymała się, więc podniósł głowę i próbował się uśmiechnąć.

Jak zabawnie wygląda z tą przepaszającą miną, pomyślała Nadia. Przystępuje z nogi na nogę jak zawstydzony uczeń. Ile on może mieć lat? Osiemnaście, najwyżej dziewiętnaście. Burza hormonów i przepoczwarczenie się w mężczyznę. Trochę mu zazdroścę, wszystko dopiero przed nim.

Postanowiła rozładować niezręczną sytuację i zagadnęła, zmieniając temat:

– W Zabyciu jest naprawdę pięknie. Cisza, spokój, życie tak blisko natury. Zawsze o tym marzyłam. Tylko drzewa, ptaki... Istny raj na ziemi. Nie sądziłam, że znajdę takie miejsce. Tak naprawdę to jeszcze nie zdążyłam poznać dokładnie mojej posiadłości. – Roześmiała się. – Doszłam tylko do rzeczki, tej za drzewami...

– Tak, wiem. – Błażej poczuł wdzięczność do kobiety za to, że tak po prostu wybaczyła mu fatalne zachowanie. Miała pełne prawo obrazić się na niego, a tymczasem rozmawia z nim dalej, jak gdyby nic się nie wydarzyło. – Te drzewa Jędrzej sam posadził. Każdego po dwa: jabłonie, grusze, śliwy i wiśnie. Mówił, że wszystko na świecie powinno mieć swoją parę. I ludzie, i zwierzęta, i nawet drzewa.

– Ale on nie miał?

– Kiedyś miał, ale nie chciał o tym mówić. Wcale o sobie nie mówił, tylko tak ogólnie o wszystkim. Najbardziej to chyba lubił patrzeć i słuchać.

– Dobrze go znałeś?

– Trochę. – Błażej nie miał ochoty opowiadać o swojej przyjaźni z Jędrzejem, bo chociaż była sympatyczna, to jednak obca. Teraz on zmienił temat:

– Dlaczego pani kupiła ten dom?

– Podobał mi się, już mówiłam. Chciałam zamieszkać na wsi, wśród miłych ludzi, mieć kontakt z przyrodą. Miasto przestało mi się podobać.

A więc jednak – pomyślał Błażej. – Jest tylko rozkapryszoną damą znudzoną miastem. Wymyśliła sobie wiejski domek z ogródkiem i pierogi na obiad. Posiedzi, znudzi się i wyjedzie. Może to i dobrze. Im szybciej, tym lepiej.

– No to się pani dopiero przekonasz, jakie tu jest życie naprawdę. Zupełnie inne niż w pismach dla bogatych. Nie żadna tam agroturystyka i życie w zgodzie z naturą. Tu trzeba ciężko pracować, żeby mieć co jeść. A ludzie to nie dobrodusznicy chłopcy z obrazów

Chełmońskiego. – Spojrzał na kobietę ze złością. – Co, dziwi się pani, że wiem, kim był Chełmoński? –przerwał, żeby nabrać oddechu, co natychmiast wykorzystała kobieta:

– Nie, dziwię się natomiast temu, że stoisz tu i krzyczysz na mnie, drogi chłopcze. – W jej głosie był taki chłód, że Błażej wprost znieruchomiał zaskoczony. – Co możesz o mnie wiedzieć? Kto dał ci prawo oceniania mnie po kilku minutach rozmowy? Nie znasz mnie wcale.

– Sam sobie dałem. A co, według pani, wiejski chłopak nie ma prawa do własnego zdania?

– Owszem, ma, ale każdy, wiejski czy miejski, powinien zastanowić się, na jakiej podstawie to zdanie sobie wyrobił. À propos, uważam, że powinieneś pozbyć się tego kompleksu wsi. Wyglądasz na mądrego chłopaka. Oczywiście wtedy, gdy nie dajesz się ponieść emocjom. – Uśmiechnęła się, ale tym razem był to uśmiech pełen wyższości.

Błażej poczuł, że przegrał i to zasłużenie. Należało mu się jak nic. Zaimponowało mu to, że ona nie krzyczała, nie dała wciągnąć się w kłótnię. Pokonała go spokojem i pewnością siebie. Czuł, że jest w jej oczach nikim. Odwrócił się bez słowa i ruszył w stronę roweru.

– Przyjedziesz po koszyk? – usłyszał i nie odwracając się, odpowiedział:

– Przyjadę.



Helena Gula szła w stronę Rozstajów najszybciej jak mogła. Z daleka widziała, jak nowa mieszkanka wsi rozmawia z Błażejem, tym od Tkaczyków. Wyglądało, jakby się kłócili, ale przecież to niemożliwe. Błażej zawsze grzeczny, każdemu się ukloni, porozmawia. Nie widziała powodu, żeby miał żywić złość do osoby, która mieszka tu zaledwie od kilku dni. Słusznie Tadzik mówi, pomyślała, żeby nie sądzić po pozorach. Pewnie zwyczajnie rozmawiali i tyle. Z ulgą zauważyła, że chłopak wsiadł na rower i jedzie w jej stronę. Kiedy się zbliżył i uklonił, zagadnęła go:

– Błażejku, możesz mi przysługę wyświadczyć?

– Co się stało, pani Heleno? – Chłopak zatrzymał się, ale nie zsiadł z roweru.

– Możesz chleb w sklepie kupić?

– Przecież pani kupiła, widzę. – Wskazał na jej siatkę.

– Ale dla pani, tej z Rozstajów. Obiecałam, a Anka Bochenkowa zarządziła, że od dziś tylko po jednym na osobę daje. Mówi, że dostawy mniejsze i chce, żeby dla każdego starczyło. Jakbyś skoczył, rower przecież masz, to raz-dwa obrócisz. Ta pani może już nie zdążyć piechotą.

– Jasne, pani Heleno. Dla pani wszystko.

Helena nie wiedziała, dlaczego tak ucieszyła go ta prośba. Wyprostował się na rowerze, uśmiechnął się, jakby go nagroda spotkała, a nie parę kilometrów dodatkowego pedałowania.

Ja tych młodych nie rozumiem, za stara chyba jestem, pomyślała. Tadzik mówi, że oni tacy sami jak my za młodu, więc może to i prawda.

– To niech pani powie, że ja ten chleb przywiozę, jak przyjadę po koszyk sołtysowej. – I już go nie było.

Prędkie to takie. – Pokręciła głową Helena. – Nie nadążysz za nimi. Ten to chociaż uczynny, nawet Tadzik tak mówi.

– Witam, pani Heleno – usłyszała i ze zdziwieniem stwierdziła, że już jest przy bramie, a gospodyni wyciąga do niej rękę.

– Dzień dobry pani. Nawet nie myślałam, że tak szybko zajdę. Jak się człowiek zamyśli, to droga szybciej mija. Tadzik też tak mówi.

- Tadeusz to pani mąż?
- Tak, mąż, już trzydzieści lat będzie jesienią, jak ślub braliśmy.

Helena była zdumiona, że tak łatwo poszło. Poprzedniego wieczora układała sobie w myślach plan – jak się przywita, co powie. Chciała się dobrze zachować, żeby nie przynieść wstydu Tadzikowi. Powiedział przecież, że da sobie radę. Ta kobieta, Nadia, przyjęła ją tak szczerze, że Helena czuła, jakby znały się od dawna. Naraz przypomniała sobie o kłopotcie i speszona opowiedziała o przyczynie braku chleba.

– Ale Błażej ma kupić i obiecał, że przywiezie.

– Błażej? – zdziwiła się Nadia.

– To ten, co pani mleko od sołtysa przywozi. To źle, że on? Może ja powinnam, jak obiecałam?

– Nie, wszystko w porządku, pani Heleno. Bardzo dobrze, że Błażej. Proszę, niech pani wejdzie do środka. Napijemy się herbaty, porozmawiamy...

– Przecież ja tu do roboty przyszłam, nie na plotki. Tadzik mówi, że lenistwo to grzech.

– I ma rację. Tyle że ja plotkować nie zamierzam. Czy pan Tadeusz nie wspominał, że pracę trzeba najpierw zaplanować? – zapytała z lekkim uśmiechem.

– To prawda, tak mówił.

Weszły do domu. Helena nieśmiało rozejrzała się dookoła. Smutny wydał jej się ten pokój. Nawet firanek w oknach nie było. Gospodyni nałala herbatę do filiżanek. Helena delikatnie podniosła naczynie.

– Piękne. Tadzikowi by się podobało. On, wie pani, lubi ładne rzeczy. Aż się czasem dziwiłam, jak to się stało, że mnie za żonę wziął. Ani ładna nie byłam, ani śmiała. A on mówi, że mam dobre serce i to dlatego. – Sama nie wiedziała, dlaczego tyle mówi o sobie tej kobiecie, ale widziała w jej oczach coś takiego, co ją ośmielało. Patrzyły tak mądrze, ze zrozumieniem i przyzwoleniem.

Mądra musi być kobieta, pomyślała Helena, i dobra. Słuchać ludzi nie każdy umie. A do mówienia zachęcić to już prawie nikt. Tadzik miał rację, jak mówił, że dobrze zrobiłam, że się jej zgodziłam pomóc. Trzeba się zastanowić, jak jej ten dom rozweselić. A najpierw posprzątać.

Kobieta jakby czytała w jej myślach.

– Pani Heleno, może pani mi pomoże znaleźć kogoś, kto mógłby mi uszyć zasłonki i nowe poszewki na poduszki? Ja tylko trochę potrafię na drutach robić i szydełkiem, ale dawno nie robiłam. Nie miałam czasu.

– Ja mogłabym – szczerze odpowiedziała Helena. – Mam maszynę, to wieczorem przesyję.

– Nie chciałabym robić kłopotu...

– Jaki tam kłopot. Lubię to. Teraz musimy już sprzątanie zacząć, bo nas noc zastanie.

– Racja, pani Heleno. Pan Tadeusz pewnie zdenerwowałby się, gdyby nie było obiadu.

– E, on się nigdy nie denerwuje. To dobry chłop. Ale mówi, że wszystko powinno być na czas zrobione.



Przedwieczorne słońce świeciło łagodnie, promienie zdawały się miękko układać na trawie. Wszystkie rośliny wyczuwały nocne wytchnienie i nabierały soczystych kolorów. Zieleń stawała się głęboka i ciepła, a główki kwiatów odwróciły się w stronę zachodzącego słońca, jakby chciały powiedzieć mu dobranoc. Maciejka zaczynała pachnieć, na razie delikatnie tylko

zapowiadając nadejście wieczoru. Powietrze nie było już tak suche i duszące jak w południe, ale nie nabrało jeszcze nocnej ostrości. Oddychało się swobodnie, pełną piersią. Niewielki ptaszek usiadł na samym wierzchołku drzewa i wyśpiewywał głośno swoją piosenkę. Można było odnieść wrażenie, że to właśnie śpiew pozwala mu utrzymać się na cienkiej gałązce.

Nadia siedziała na tarasie, opierając nogi o drugi fotel. Obserwowała latające wysoko jaskółki. Cieszyła się ciszą, samotnością i odpoczynkiem.

Pani Helena poszła kilka godzin wcześniej. Obie pracowały solidnie, ale Nadia dziwiła się, jak taka drobna kobieta może mieć niespożyte siły i energię. Efekty ich działania były naprawdę imponujące. Cały dom lśnił czystością, a na kuchni stał garnek pełen pysznej zalewajki. Nadia wiedziała, że to wszystko jest zasługą pani Heleny, jej mycia, czyszczenia i szorowania. Nadii wydawało się chwilami, że tylko przeszkadza tej doskonale zorganizowanej kobiecie. Wykonywała więc bez protestu wszystkie polecenia.

Kiedy skończyły i zjadły zupę, do przyrządzenia której wszystkie produkty znalazła w koszyku, pani Helena poszła, a Nadia padła prawie bez sił na fotel. Teraz już czuła się lepiej, a zmęczenie zastąpiła radość z wykonanej pracy i zbliżającego się wieczoru.

– Hm, hm, hm – wyrwało ją z zamyślenia niespodziewane chrząknięcie.

– To ja. Nie chciałem pani znowu przestraszyć. Dobry wieczór.

– Ach, to ty. Po koszyk?

– Nie tylko. Koszyk na końcu. Wcześniej dam chleb, ale najpierw... – Zmieszał się trochę.

– Znowu mi pani wszystko poplątała. Miało być inaczej. Najpierw dobry wieczór, a później przepraszam. I jeszcze to, jeśli pani będzie chciała przyjąć. – Zza pleców wyciągnął ogromny bukiet polnych kwiatów. – Trochę się zniszczył, bo trudno było jechać z tym wszystkim na rowerze, ale...

– Piękny, naprawdę. – Nadia poczuła się wzruszona. Bardziej wzruszona, niżby chciała. Dawno nie dostała kwiatów. Chcąc ukryć uczucia, odebrała bukiet z rąk chłopaka i mruknąwszy: – Pójdę je wstawić do wazonu – znikła we wnętrzu domu.

Błażej nie wiedział, co robić. Stał niepewny na stopniach prowadzących na taras. Nie chciał odchodzić, ale nie poprosiła go, żeby został. Z Jędrzejem sprawa była prosta. Przychodziło się, siadało i było. Tak długo, jak się chciało. Nie trzeba było rozmawiać, wysilać się, przepraszać. Zdecydował, że zostaje. Usiadł na ławie, wyciągając nogi przed siebie. W końcu ten dom był jakby trochę jego. Tyle czasu tu spędził, lubił go. Czuł się w obowiązku pilnować, czy wszystko jest tak, jak życzyłyby sobie Jędrzej. Jeżeli nie, to będzie musiał coś zrobić. Nie wiedział jeszcze co, ale przede wszystkim należało dokładnie sprawdzić, jak się wszystko ma. I zamierzał to zrobić. Dla Jędrzeja. To postanowienie dodało mu odwagi. Może dlatego, gdy Nadia wróciła, bez wahania przyjął zaproszenie na herbatę.

W środku wszystko było jak dawniej.

Nic się nie zmieniło, ucieszył się w myślach, i nic nie wyrzuciła. Tylko stół przykryła obrusem. Jędrzej tego nie robił, ale obrus jest ładny i pasuje do tego domu.

Przyglądał się spod oka krzątającej się po kuchni kobiecie. Doszedł do wniosku, że wczorajsze wrażenie było prawidłowe. Ona tu pasowała. Jakby była od zawsze. Poczul, że tą myślą zdradza pamięć przyjaciela. To było przelotne uczucie, zaraz potem pomyślał, że Jędrzej raczej cieszyłby się z tego.

– Proszę pani... – zaczął, odstawiając kubek z herbatą.

– Mów mi Nadia.

– Pani Nadiu...

– Nadiu, bez pani. Nie jestem chyba jeszcze taka stara, żeby nie mogło ci to przejść przez gardło, co? – Odwróciła się z uśmiechem i podeszła do stołu. Oparła się na nim rękami

i spojrzała Błażejowi prosto w oczy. – O co chciałeś zapytać?

– Czy naprawdę chcesz zostać tu na stałe? Nie pytam z ciekawości, ja po prostu muszę to wiedzieć – powiedział szybko i odwrócił wzrok, bo nie mógł wytrzymać jej spojrzenia. Czuł, jakby przeświałała go na wylot, chcąc odczytać jego myśli. Chwytał kubek niczym ostatnią deskę ratunku, szybko wypił kilka łyków. Płyn był jeszcze gorący, poparzył język, zakrztusił się i zaczął kasłać. Znowu czuł się głupio.

Kobieta spokojnie usiadła naprzeciw niego i czekała, aż minie atak kaszlu. Kiedy znowu spojrzał, nie patrzyła już na niego, ale w jakiś odległy punkt ponad jego głową.

– Przyjechałam tu nie dla kaprysu. Po prostu postanowiłam zmienić swoje życie. Zostawiłam tam, w mieście, mieszkanie, pracę, samochód. Wszystko, co miałam i wszystko, co robiłam. Nie pytaj dlaczego, bo nie odpowiem na to pytanie – mówiła spokojnie, ale ręce splatające i rozplatające koniec warkocza zdradzały zdenerwowanie. – Jedno mogę powiedzieć: powodem nie była nieszczęśliwa miłość. W ogóle nie chodzi o mężczyznę. Nie zajmowałam się nigdy takimi bzdurami. Nie miałam czasu na związki. Na nic nie miałam czasu – mówiła coraz szybciej, jakby bała się, że nie zdoła skończyć. – Teraz ma być inaczej. Moje życie ma być inne. Dobre. Nie obawiaj się więc, że chcę coś zniszczyć. Jeśli jest coś, czego nie powinnam robić, czego, jak sądzisz, z jakichś powodów nie mógłby zaakceptować poprzedni właściciel – powiedz mi o tym wprost. Jakoś się dogadamy. I nie strosz się na mnie, bo ja naprawdę chcę dobrze – przerwała i zamknęła oczy.

Nie miała pojęcia, czy powinna mówić to wszystko, czy wybrała odpowiedniego słuchacza i porę. Miała jednak niejasne wrażenie, że było to potrzebne i jemu, i jej samej.

– Skąd wiesz, o czym myślę? Jak na to wpadłaś?

Oczy kobiety otworzyły się i znowu spojrzała wprost na Błażeja.

– Czytam w ludziach jak w książkach. Mam w tym wieloletnią wprawę. Można powiedzieć, że była to podstawowa umiejętność w mojej pracy. – Nagle roześmiała się. – Nie sądzisz chyba, że jestem jasnowidzem albo czarodziejką? Wypiłeś? To bierz koszyk i uciekaj. Późno już, a ja chcę jeszcze poczytać. Miałam ciężki dzień.

Błażej bez słowa wyszedł. Spojrzała, jak odjeżdża. Kiedy umilkł szelest kół, wyszła z książką na taras. Trochę czytała, trochę słuchała koncertu polnych świerszczy. Oszołomiona zapachem maciejki i wieczornym powietrzem zdecydowała się w końcu na sen. Weszła do domu i, pomna porannej rady, zamknęła dobrze drzwi na klucz.

Nie wiedziała, że przez cały czas była obserwowana. Błażej zatrzymał rower tuż za ogrodzeniem i korzystając z osłony mroku, śledził poczynania Nadii. Dopiero kiedy na górze zgasło światło, zaczął powoli pedałowac w stronę wsi.

Nadejście czerwca rozpoznała po pierwszych truskawkach, które znalazła w codziennej przesyłce od sołtysowej. Zdumiało ją to, bo zdała sobie sprawę, od jak dawna nie zaglądała do kalendarza. Dni mijały szybko i nie czuła nudy, mimo że każdy z nich był bliźniaczo podobny do poprzedniego.

Nic, co tutaj robiła, nie wymagało pośpiechu, nie było niezbędne, a odłożenie jakiegokolwiek czynności na później nie groziło katastrofą. Często siedziała kilka godzin, obserwując kwiaty albo pracę pszczół czy lot motyla. Niedzielę rozpoznawała po dźwięku kościelnych dzwonów dobiegających z oddali. Cieszyła się każdą chwilą i tym, że rzadko widuje ludzi. Odkryła, że w głębi duszy zawsze była sama i lubiła to. Teraz mogła świadomie realizować swoje pragnienia.

Pani Helena spisywała się znakomicie. Po jakimś czasie Nadia przestała w ogóle myśleć o kurzu i brudzie, bo po prostu nigdzie nie mogła go znaleźć. Wiktuały żony sołtysa, pieczywo

przywożone przez Błażeja i od czasu do czasu większe zakupy, które robił dla niej sołtys, całkowicie zaspokajały jej potrzeby. Po raz pierwszy w życiu rzeczywistość pokrywała się z marzeniami. Nie musiała osiągać sukcesów i realizować ambitnych celów. Była, żeby tak po prostu spokojnie żyć.

Uczyła się tego powoli i zdawała sobie sprawę, że pewnie wiele czasu minie, nim będzie odczuwała ten stan jako zupełnie naturalny. Na razie pamiętała. Często wspominała i wspomnienia sprawiały, że zamiast oddać się całkowicie radości nowego życia rozpamiętywała minione chwile, swoje i cudze błędy. Próbowwała odegnać gorzkie myśli, ale wciąż powracały. Przyjeżdżając do Rozstajów, miała nadzieję, że przeszłość pozostanie tam, gdzie porzuciła dobra materialne. Kiedy mijała tablicę oznaczającą koniec miasta, nie odwróciła się nawet, żeby je pożegnać.

Tymczasem wszystkie te chwile, myśli, obrazy z przeszłości przyjechały tu za nią i towarzyszyły jej każdego dnia. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek odejdą na zawsze.

Czasami myślała, że nie potrafi się zmienić, a pomysł z życiem na wsi był tylko zmianą jednej pozy na drugą. Coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę z tego, że nigdy nie będzie taka, jak ludzie stąd. Nie urodziła się na wsi, nie potrafiła zaakceptować niektórych poglądów, tutejszego sposobu myślenia. Podczas nielicznych spotkań wciąż zaskakiwały ją wypowiedzi i zachowania miejscowych. Czowała, że jej nie lubią, że wyraźnie dają do zrozumienia, iż nie jest jedną z nich.

Nie dziwiło jej to bardzo. Od dawna wiedziała, że nie potrafi należeć do żadnej grupy. Nie chciała być jedną z wielu. Żyła na pograniczu i wszystko zawdzięczała tylko sobie. Nie osiągnęła doskonałości w grze pozorów, nie potrafiła perfekcyjnie udawać, że interesują ją błahe rozmowy o niczym, kilkudniowe miłości, opowieści o pijackich eskapadach i miłosnych podbojach. Próbowwała setki razy, ale ludzie wyczuwali nieszczerą jej intencję, nienaturalność zachowań. I chociaż wszyscy udawali, to ona wciąż była inna, bo udawała, że udaje. Tolerowali ją; jedni, bo się bali, inni, żeby skorzystać z jej pozycji i możliwości.

Nie pasowała do społeczności ani w mieście, ani na wsi. Gdzie więc było jej miejsce? Może nie było go wcale? Czasem wydawało jej się, że gdyby potrafiła wyrzucić z głowy wszystkie myśli, wszystko byłoby łatwiejsze. Niestety, nie potrafiła przestać się zastanawiać, nie umiała pogodzić się ze światem ot tak i zaakceptować go takim, jaki jest.

Odkąd przyjechała, najwięcej czasu spędzała w domu i na tarasie. Nie miała ochoty wychodzić poza ogrodzenie ani wpuszczać kogokolwiek do środka, ale tu, jak wszędzie, byli tacy, którzy przychodzili bez zaproszenia. Pchali się z pytaniami i opiniami, o które nie prosiła. Rzucali ciekawskie spojrzenia w każdy kąt, oceniali. Cel był zawsze taki sam: znaleźć temat do plotek, zrobić dobry interes i zarobić parę groszy, wypowiedzieć głośno poglądy, które gdzieś usłyszeli i uznali za swoje.

Nie nabrała jeszcze odwagi, żeby wyrzucać ich za drzwi i na razie żyła nadzieją, że po kilku tygodniach znudzą się, a jej osoba straci urok nowości. Jeśli tak się nie stanie, postanowiła, że zrobi wszystko, aby zdobyć się na odwagę i pozbyć z życia raz na zawsze chamstwa, płytkości i głupoty. Wtedy niech ich Bóg ma w swojej opiece.

Czy to nie zabawne, że dom, w którym mieszkam, nazywają Rozstaje? – Zastanawiała się, siedząc późnym popołudniem na schodkach tarasu. – Trzy drogi się tutaj schodzą, a między dwoma z nich stoi mój dom. I siedzę w tych Rozstajach, stworzonych jakby dla wędrowców, którzy nie umieją się zdecydować. Poczekalnia, miejsce na zastanowienie się przed dokonaniem wyboru. Siedzieć można długo, tyle, ile trzeba, żeby wszystko dobrze przemyśleć i poukładać w sercu i głowie. Wszystko po to, aby być pewnym dalszej drogi.

Na razie nie potrafiła podjąć żadnej decyzji. Cieszyła się tym błogostanem wśród przyrody. Może odpowiedź znajdzie w śpiewie ptaków, może powróży sobie z makówki? Nie

chciała niczego przyspieszać, zdała się na los, pozwoliła, żeby czas płynął i powoli goił rany. W Rozstajach pojęła, że wszystko odchodzi, przemija niepostrzeżenie, ale jest w tym sens. To, co odchodzi, daje miejsce następnemu, dzień mija i przychodzi następny. I nie ma powodu, żeby był gorszy czy lepszy. Tylko od nas samych zależy, jaki będzie.

Na razie siedzę i rozmyślam, patrzę, nie przesądzam niczego. Muszę zakończyć to, co było, pożegnać się z tym na zawsze, a dopiero potem zastanowię się, co dalej, swobodnie przepływały myśli przez głowę Nadii. Powinnam cieszyć się, że czuję. Nie każdy ten dar posiada. Z czasem będę wiedziała, co robić. W każdym razie dziękuję ci, nieznanemu Jędrzejowi, za te Rozstaje. Twoja praca i śmierć dały mi szansę na coś nowego, innego i, mam nadzieję, lepszego. Stworzyłeś coś, co pomoże przetrwać drugiemu człowiekowi. Dziękuję, Jędrzejowi.



W obszernym gabinecie było dość miejsca, żeby ustawić nie tylko biurko, ale i stolik, przy którym stały dwa wygodne fotele i kanapa. Taki kameralny kącik sprzyjał relaksowi, sprawiał, że goście czuli się spokojnie i bezpiecznie. Dobry drink, meble najwyższego gatunku, czarująca i elegancka gospodyni – wszystko to było częścią stałego planu obliczonego na odniesienie sukcesu w negocjacjach. I sprawdzało się zawsze. Świat biznesu opanowali mężczyźni i nie sposób było z tym walczyć. Należało przyjąć ten stan rzeczy i odnaleźć się w nim. Męskie metody załatwiania interesów sprawdzały się tylko wtedy, gdy partnerami byli mężczyźni. Kobieta, która próbowała je stosować, nigdy nie była traktowana serio. Jedynym sposobem na sukces mogło stać się umiejętne wykorzystanie kobiecości. Na zewnątrz rzecz jasna, bo realizacja takiej idei wymagała doskonałego aktorstwa, opanowania, znajomości psychologii. Kobieta powinna sprawiać wrażenie delikatnej i miłej, w rzeczywistości będąc bardziej męską niż mężczyźni. Odkryła to już dawno i to właśnie stało się podstawą sukcesu, który odniosła. A część gry stanowił ów kameralny kącik w rogu gabinetu.

Tym razem siedziała za dużym dębowym biurkiem. Gość zajmował miejsce po drugiej stronie i nie siedział, tak jak ona, na skórzanym obrotowym fotelu, lecz na prostym i twardym krześle, które zwykle zajmowali pracownicy wezwani, aby wytłumaczyć się ze swoich błędów lub zbyt małych postępów w pracy.

Mężczyzna nie był pracownikiem, ale nie miała zamiaru być dla niego miła. Przeciwnie. Czowała satysfakcję. Siedział na niewygodnym krześle, a drobne kropelki potu zraszały mu czoło. Miał świadomość swojej pozycji. Doskonale wiedział, że znaczy mniej niż szary pracownik, że jest od niej całkowicie zależny. Jedno słowo siedzącej naprzeciw kobiety zdecyduje o jego losach.

Mówił już kilkanaście minut. Tak naprawdę wcale go nie słuchała. Po co? Wiedziała doskonale, co zrobić. Pracowała na to długo. Czekwała na tę chwilę, w myślach tysiące razy wyobrażała sobie tę scenę. Z całych sił pragnęła go zniszczyć. Udowodnić, że nie można bezkarnie jej lekceważyć.

Melodyjka telefonicznego dzwonka odezwała się nagle. Mężczyzna przerwał w pół słowa, spojrzał na nią pytająco i przepaszająco zarazem.

Musi być bardzo zdenerwowany, skoro zapomniał go wyłączyć, pomyślała. Gdzie się podział profesjonalista bez skazy, którego znałam?

Kiwnęła przyzwalająco głową. Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Przyłożył słuchawkę do ucha i przyciszonym głosem zaczął rozmowę.

Kobieta wstała. Podeszła do barku i naląła sobie drinka. Ze szklanką w ręku podeszła do

okna. Duża, sięgająca podłogi tafła szkła pokazała jej odbicie. Z zadowoleniem przesunęła dłoń po biodrze, wygładzając niewidoczne nierówności żakietu. Poprawiła kosmyk włosów, który wymknął się z ciasno upiętego koka. Zadzźwięczały bransoletki. Lubiła ich dźwięk, podobała się sobie, bo wyglądała tak jak powinna. Elegancja i kobiecość, pewność siebie i profesjonalizm – udało się jej połączyć to wszystko, tworząc mieszankę, której nie potrafił się oprzeć żaden mężczyzna. Żaden, oprócz tego, który rozmawiał teraz przez telefon. I nie wiedział nawet, za co miał ponieść karę.

Dość już tych pogaduszek, zdecydowała. Wróciła, siadając w fotelu, wystudiowanym ruchem założyła nogę na nogę: patrz i żałuj.

Mężczyzna zrozumiał jej zachowanie i szybko zakończył rozmowę.

– Przepraszam, ale dzwoniła żona – tłumaczył z pozorów spokojnie, ale w jego głosie wyczuła zdenerwowanie. Ktoś inny może nie zauważyłby tego, ale przecież ona знаła go bardzo dobrze. – Jest w ciąży i źle się poczuła. Chyba będę musiał odwiedzić ją do lekarza. Wiesz, to nasze pierwsze dziecko, więc nie mamy doświadczenia. – Nerwowo poprawił się na krześle. – Jeśli więc moglibyśmy szybciej skończyć, to byłbym ci wdzięczny...

– Jeżeli już wszystko powiedziałaś... – Kobieta sięgnęła po papierośnicę, wyjęła papierosa, przypaliła i wydmuchnęła dym prosto przed siebie, nie przejmując się siedzącym naprzeciw mężczyzną.

– Myślę, że tak. Zresztą wiesz to równie dobrze jak ja.

– Tak, wiem, ale nie podjęłam jeszcze ostatecznej decyzji. – Dostrzegła niepokój na twarzy mężczyzny i zrozumiała, że dobrze postąpiła. On liczył się z najgorszym, ale chciał mieć to już za sobą. Chciał usłyszeć wyrok i wrócić do żony. Byłby wolny od niepewności, mógłby już spokojnie poświęcić się radości oczekiwania na potomka. Nic z tego. Będzie musiał myśleć o niej nadal, może źle, ale będzie myślał.

– Chcę tylko, żebyś miał świadomość, że bez względu na to, co zdecyduję, będziesz musiał bardzo się starać, żeby utrzymać rodzinę. I nie licz na żadne względy z powodu naszej znajomości.

– Rozumiem.

– W takim razie do widzenia. Zadzwoń, kiedy podejmę decyzję. – Stał w głosie, lód w głosie. Tak jak próbowała przed lustrem przez prawie dwa lata. To dość, żeby opanować coś do perfekcji i dość, żeby starannie pielęgnowana chęć zemsty osiągnęła poziom tak wysoki, żeby zagłuszyć wszystkie inne uczucia.

Mężczyzna wstał, wprawnym ruchem zapinając guziki marynarki. Podniósł stojącą obok krzesła teczkę i bez słowa skierował się w stronę drzwi.

Kiedy wyobrażała sobie ten dzień, widziała go przygarbionego, z pochyloną głową, przegranego i zdającego sobie sprawę z przegranej. Dawało jej to siłę. Jak to możliwe, że ten człowiek trzyma teraz głowę wysoko? Co mu pomaga?

– Nie rozumiem, dlaczego tak się zachowujesz. Skąd w tobie tyle nienawiści? Przecież wszystko zawsze było tak jak ty chciałaś. – Odwrócił się, stojąc już z ręką na klamce. – Nie liczę oczywiście na żadne względy, bo wiem, że ty nigdy nie kierujesz się uczuciami. Kiedyś myślałam, że ich nie masz, ale teraz przynajmniej wiem, że jakieś są.

Nawet nie zauważyła, że wyszedł. Słowa, które usłyszała, sparaliżowały ją. Doskonale panowała nad uczuciami, to fakt. Nikogo nie powinno obchodzić, co czuje. Ważne, że ona doskonale znała siebie. Teraz na przykład będzie szczęśliwa, bo osiągnęła cel. Zniszczy tego, który zamiast zabiegać o jej względy, wybrał zwyczajną studentkę anglistyki, a teraz martwi się o pierwszego potomka jak jakiś drobnomieszczański tatuś.

Zgasła niecierpliwym gestem papierosa, łamiąc przy okazji paznokiec.

– Cholera! – krzyknęła. – Jasna cholera!

I rozplakała się. Wszystko było nie tak. Zamiast radości był smutek, zamiast satysfakcji – żal, zamiast zadowolenia – niesmak. I miała wrażenie, że choć on był na przegranej pozycji, to przegrała ona. Słowo „przegrana” przebiegało przez jej głowę raz po raz. Dlaczego tak się czuje? Trzeba coś zrobić, żeby odpędzić złe myśli. Podniosła słuchawkę stojącego na biurku telefonu i przycisnęła guzik.

– Pani Asiu, proszę umówić mnie na manicure. Najlepiej na 17.00.

Nie czekając na odpowiedź, odłożyła słuchawkę. Niewidzącym wzrokiem patrzyła w okno, a po policzkach spływały jej łzy. Płakała po raz pierwszy od wielu lat.



Nadia wstała. Zeszła ze schodków i rozejrzała się dookoła, próbując powrócić do rzeczywistości. Otarła łzy. Rozboliła ją głowa i czuła, że musi się położyć. Wspomnienia były trudne i bolesne, nie powinna wspominać zbyt często. Dokonała przecież wyboru.



– I co tam nowego baby dzisiaj gadały? – Anka Bochenkowa siedziała na jedynym w sklepie krześle i wachlowała się kawałkiem starej gazety przeznaczonym do pakowania zakupów. – Może na mnie coś? One tylko patrzą, jak obgadać za plecami, zazdrośnice. Szkoda im, że mój Marian taki zaradny. Gadaj zaraz – mówiły?

– Nic nie mówiły, pani Aniu – odpowiedziała dziewczyna, zajęta rozkładaniem towaru na półkach. Przekładała go właściwie z miejsca na miejsce zupełnie bez potrzeby, ale wiedziała, że chlebobawczynie nie lubi patrzeć na jej beczynność. Nie za to jej płaci, żeby siedziała, powtarzała to wiele razy.

– No, to dobrze. – Anka szturchnęła nogą wiadro z brudną wodą i wetkniętym do środka mopem. – Zabierz to stąd, jak tam skończysz. Jakby kontrol przyszła, to kara murowana. I mopa dobrze wypłukaj, to na dłużej starczy.

– Dobrze, pani Aniu. Już zabieram – zareagowała natychmiast dziewczyna, ale myśli Anki zaprzętnęło już coś innego.

– Zobacz, tam to chyba sołtysowa idzie, mam rację? – Nie czekając na potwierdzenie, perorowała dalej: – Znowu kupi byle co i tylko parę groszy w kasie zostawi. Oni to wszystko w gminie kupują, że niby lepsze i świeże. Jakby u mnie samo stare było.

Zamilkła, ale nagle coś sobie przypomniała i szybkim krokiem podeszła do dziewczyny.

– Ty wiesz, co mi Helena Gulowa, wiesz która, ta Stolarza żona, mówiła? – nachyliła się i zbliżyła twarz do ucha pracownicy: – Że sołtysowa co dzień tej z Rozstajów pełny kosz różnych rzeczy posyła. I to dlatego tamta do nas nie przychodzi. Bo chleb, to wiadomo, ten młody Tkaczyk jej kupuje. – Dziewczyna zaczerwieniła się, ale Anka miała lepszy temat niż analizowanie przyczyny. – A ty myślisz, że ona tak z dobrego serca?

– Może tak, pani Aniu, nie wiem...

– Akurat. Przecież oni wszystkie zwierzęta po tym dziwaku wzięli i do tej pory nie oddali. Sołtys mówił, że mleko za to dają i jajka. Ja to myślę, że oni dobrze na tym zarabiają i dlatego takie prezenty jej ślą. Żeby się nie rozmyśliła. Wiadomo, że sołtys na pieniądze pazerny, na pewno do interesu nie dokłada. Słyszałam, że niedawno jedna krowa się ocieliła. – Nagle aż

podskoczyła. – Może to ta od Jędrzeja? Ciekawe, czy ta Nadia o tym wie? Przekonamy się? – Zatarła ręce na samą myśl o czekającej ją za chwilę rozmowie.

– Jak pani uważa, pani Aniu...

Sołtysowa ledwie zdążyła wejść do sklepu, a już Anka zaatakowała:

– Dzień dobry. Co słychać?

– Komu dobry, temu dobry. Krzyża nie czuję. – Kobieta oparła dłoń na plecach i próbowała się wyprostować. – Od rana w lesie na jagodach byłam. Pani nie chodzi, pani Aniu?

– Czasu jeszcze nie miałam. Gospodarstwo i interes tylko na mojej głowie, to czasu na latanie po lesie nie mam. Chociaż dzisiaj to się chyba wybiorę. Tam, za rzekę, bo w tamtym lesie, Józka żona mówiła, najwięcej jagód w tym roku.

– Za Rozstajami? – zapytała sołtysowa, spoglądając spod oka na Ankę.

– Tak, tam. I dobrze, że mi pani o Rozstajach przypomniała. Zajdę przy okazji do pani Nadii, bo sprawę mam.

Sołtysowa rozglądała się po półkach, jakby czegoś szukała, udając, że temat jej nie interesuje. Anka wiedziała jednak, że z niepokojem czeka na dalszy ciąg. Cieszyła się przez chwilę tym widokiem.

– Słyszałam, że się u was krowa ocieśliła. Ta po Jędrzeju. To teraz przecież pani Nadii krowa, to i cielak też. I mówią, że bić będziecie, a ja bym chętnie ćwiartkę kupiła. Spytam, może sprzeda. Jej tyle mięsa przecież nie potrzeba. A ja zamrozę w tej nowej zamrażarce, co Marian z Niemiec przywiózł, i kiedy następny raz przyjedzie, to będzie jak znalazł – zmieniła pozornie temat, nie spuszczać jednak wzroku z rozmówczyni. Tamta nerwowo rozpiniała i zapinała guzik swetra.

Już trzy lata go nosi, pomyślała Anka – Tyle pieniędzy mają, a na sweter jej szkoda. I to ma być sołtysowa, co powinna wieś reprezentować.

A głośno powiedziała:

– Marian to wprost przepada za cielęcina. A pani mąż?

– Też lubi – powiedziała szybko sołtysowa. – A mydło lawendowe to u pani jest?

– Nie ma, tylko zwykłe toaletowe. Nie bardzo pachnie, ale za to niedrogie.

– Nie, dziękuję. Ja to lawendowe lubię, cała łazienka pachnie, że odświeżacza nie trzeba kupować. – Spojrzała na zegarek. – Późno już. Zagadałam się, a obiad niegotowy.

Anka ledwie doczekała, aż wychodząca kobieta zamknie drzwi.

– Widzisz, Mirka, jak leci? – Roześmiała się. – Już ją kręgosłup nie boli, co?

– Chyba nie, pani Aniu.

– To ja teraz szybko do Rozstajów. – Poprawiła fryzurę, wyjęła z włosów spinkę i włożyła ją do ust. – Może pani Nadia się ucieszy z nowych wiadomości. Chyba nie wie, że jest właścicielką małego cielaczka. – Wsunęła spinkę we włosy i zadowolona z siebie oglądała twarz w lusterku, przejeżdżając poślinionym palcem po brwiach. – Dobrze wyglądam?

– Dobrze, pani Aniu.

– Idę. A ty zamknij na chwilę i idź do mnie do domu, dzieci przypilnuj. Za jakąś godzinę wrócę.

– Za godzinę pani jagód zdąży nazbierać?

– Ale ty głupia jesteś. – Anka z politowaniem pokiwała głową i wyszła, głośno zatrzaskując drzwi.



O uporządkowaniu szopy Nadia myślała już od dawna. Za każdym razem, kiedy zatrzymywała wzrok na maselnicy, która po oczyszczeniu stała się prawdziwą ozdobą kuchni, myślała, ileż skarbów kryje jeszcze ta niepozorna klitka. Tego ranka, pijąc poranną kawę, pomyślała, że przecież może zaraz przystąpić do działania. Nie miała innych planów na przedpołudnie, a praca pod dachem dającym nieco ochłody od palącego już od rana słońca wydawała się przyjemnym urozmaiceniem kolejnego dnia.

Postanowiła, że praca w szopie zastąpi jej tego dnia gimnastykę. Biegała i ćwiczyła co dzień. To drugi, oprócz porannej kawy, zwyczaj, który zachowała. Przede wszystkim dlatego, że obawiała się skutków nowej diety, zdrowej, ale wysokokalorycznej. Zresztą przy okazji porannego biegu sprawdzała, czy wszystko w Rozstajach jest w porządku.

Ranek nastroił ją optymistycznie, szczególnie dużo satysfakcji dało jej spojrzenie w lustro. Robiła to dużo rzadziej niż kiedyś, bo przestała się przejmować możliwymi zmarszczkami, a makijaż nie był na tym odludziu potrzebny. Dziś jednak, gdy zobaczyła w lustrze twarz pokrytą opalenizną i radosne oczy, była zadowolona. Ta metamorfoza stanowiła niezaplanowany, ale bardzo miły efekt zmiany miejsca zamieszkania.

Przez chwilę zastanawiała się, gdzie są buty. To był nowy kłopot, który na przemian to irytował ją, to znowu rozbawiał. Nauczyła się chodzić na bosaka, robiła to cały czas i sprawiało jej to niesamowitą wprost przyjemność. Bose stopy stanowiły dla niej symbol wolności, a odrzucane przy każdej okazji buty chowały się i w ramach odwetu nie chciały zdradzić miejsca swojego pobytu nawet wtedy, gdy były bardzo potrzebne. A teraz były. Nadia obawiała się, że w szopie oprócz wymarzonych skarbów mogą trafić się najróżniejsze zardzewiałe kawałki metalu lub drewno najeżone drzazgami.

W końcu udało się jej zlokalizować dwa buty, o dziwo nawet do pary. Jeden był obok fotela, a drugi przy kominku. Wszystko dzisiaj szło jak po maśle.

Nadia, podśpiewując pod nosem, wyszła przed dom i popatrzyła na okolicę. W takich chwilach żałowała, że nie potrafi malować, żeby zachować na zawsze to, co widziała.

Przysiadła na chwilę na schodach, zawiązując buty, a potem skierowała się w stronę zabudowań gospodarczych. Po drodze zajrzała jeszcze do obory, gdzie pod powalą jaskółki ulepiły gniazdo. Jakiś czas obserwowała cztery czarne główki wyglądające ciekawie na świat.

Lada chwila wyfruną z gniazda, oceniła. I pomyśleć, że kiedy przyjechałam, ich rodzice kończyli dopiero lepić gniazdo.

Drzwi szopy były lekko uchylone. Nie zwróciła na to uwagi, bo nigdy nie było tu kłódki ani zamka i każdy silniejszy podmuch wiatru otwierał je lub zamykał. Myślała o ich zabezpieczeniu, ale ciągle wypadało jej to z głowy, szczególnie że nie miała pomysłu na sposób jego wykonania.

Podciągnęła rękawy i powiedziała głośno:

– No, to zaczynamy. – I zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi.

W środku ktoś był. Mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziała. Siedział na kupie rupieci i był tak czymś zajęty, że nie zauważył jej obecności. Serce Nadii biło jak oszalałe, ale starając się opanować drżenie nóg i nadać głosowi ostry ton, zapytała:

– Kim pan jest i co pan robi w mojej szopie?

Nieznajomy drgnął gwałtownie, spojrzał na nią i nie mówiąc nic, wstał. W ręku trzymał jakiś przedmiot. On ma nóż, pomyślała przerażona Nadia. – Zaraz mnie zabije.

Mężczyzna podniósł rękę i zaczął iść w jej kierunku. Nic nie mówił, a cisza zdawała się dźwięczeć w uszach.

– Proszę zostawić mnie w spokoju – krzyknęła. – Bo zadzwonię po policję. – Natychmiast zdała sobie sprawę z nedorzeczności tej groźby. Najbliższy posterunek policji był

prawie pięć kilometrów od Rozstajów. Zanim przyjadą, będę martwa, pomyślała, zapominając, że nie ma nawet telefonu.

Mężczyzna na dźwięk jej głosu zatrzymał się, ale kiedy usłyszał słowo „policja”, gwałtownie ruszył naprzód. Odepchnął Nadię tak mocno, że upadła, kalecząc boleśnie dłoń. Krzyknęła, ale intruz nie odwrócił się ani nie zatrzymał. Uciekł.

Nadia miała pustkę w głowie. Nie mogła zebrać myśli, czuła tylko piekący ból ręki. Spojrzała na dłoń, a kiedy zobaczyła krew, napięte do granic możliwości nerwy puściły i rozplakała się głośno. Łzy pomogły jej wrócić do rzeczywistości i przeanalizować sytuację.

Wyszła z szopy, bo chęć do porządków minęła bezpowrotnie. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu, we własnym łóżku.

Kim był ten mężczyzna i dlaczego siedział w szopie? Może kręcił się tu od dawna i obserwował ją? Planował napad, rabunek... Nie sądziła, że tutaj może spotkać ją coś takiego. Postanowiła, że kiedy tylko się uspokoi, pomyśli o porządnym zamku do drzwi. I musi na noc zamykać okiennice.



– Pani Nadiu! Pani Nadiu! Jest pani tam?!

Nadia postanowiła nie odpowiadać. Krzyk obudził ją z drzemki, w którą zapadła po porannych przeżyciach. Miała miły sen i pragnęła do niego powrócić.

– Pani Nadiu! Gdzie pani jest?!

Krzyk powtórzył się i Nadia zrozumiała, że nie ma wyboru. Wstała niechętnie i zeszła na dół. Jej niezadowolenie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy zobaczyła stojącą za płotem właścicielkę sklepu.

– A, jest pani! – Anka ucieszyła się na jej widok. – Mogę wejść? – spytała i nie czekając na odpowiedź, już kroczyła ścieżką, rozglądając się na boki. – Sprawę mam do pani.

– Słucham?

– Do środka mnie pani nie zaprosi? Bałagan pewnie. – Porozumiewawczo mrugnęła okiem. – Nie szkodzi, ja rozumiem, pani Helena nie słynie z gospodarności – powiedziała to takim tonem, jakby chciała dać do zrozumienia, że ona sama może być w sprawie czystości autorytetem. Nadia spojrzała na nią z niechęcią.

Jakby jednego nieszczęścia było mało, pomyślała, a głośno powiedziała:

– Pani Helena to doskonała gospodyni i nieoceniona pomoc, ale w taki upalny dzień przyjemniej będzie tu, na tarasie.

Anka Bochenkowa usiadła w wiklinowym fotelu, który wcześniej dokładnie obejrzała.

– Gdzieś już taki widziałam – zauważyła.

– Co panią do mnie sprowadza? – ponagliła ją Nadia, chcąc jak najszybciej zakończyć niespodziewaną wizytę.

– Do lasu na jagody idę, to pomyślałam, że po drodze panią odwiedzę. Nie zachodzi pani do sklepu...

– Nie mam potrzeby. Błażej Tkaczyk przywozi mi chleb razem z innymi niezbędnymi rzeczami.

– Tak, tak, wiem. On taki chętny do zakupów, bo ma pretekst, żeby do Mirki zaglądać. Tej, co u mnie sprzedaje. Mają się chyba ku sobie – zawiesiła głos, czekając na reakcję.

Nadia spojrzała na nią spokojnie.

– Chyba to pani nie dziwi. Młodzi przecież są, prawda?

Anka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Rozmówczyni wprawiała ją w zakłopotanie. Niespokojnie poruszyła się na krześle.

– A pani w takich butach i eleganckiej bluzce na jagody się wybiera? – nieco złośliwie spytała Nadia, wskazując na lakierowane sandały i białą bluzkę ze świecącym nadrukiem.

Anka nie zdążyła odpowiedzieć, bo oto przed bramą zatrzymał się maluch, z którego wysiadł sołtys, a za nim jeden z jego synów. Obaj po chwili znaleźli się na tarasie.

– Ładny dzionek, prawda? – zagadnął sołtys, wyciągając rękę do Nadii. – Witam gospodynię. – Pocałował jej dłoń, zostawiając na niej wilgotny ślad.

Nadia z trudem powstrzymała się przed wytarciem ręki o spódnicę.

– Widzę, że przeszkodziłem w rozmowie. – Dopiero teraz spojrzął na Ankę. – Ale ja tylko na chwileczkę. A pani to, jak to się mówi, z interesem czy tylko towarzysko?

– Pani Ania wstąpiła w drodze do lasu... – zaczęła Nadia, ale Anka przerwała jej w pół zdania.

– Na jagody będę szła i zapytać chciałam, czy pani Nadia nie kupiłaby ode mnie trochę. Żebym wiedziała, ile zbierać, czy tylko dla siebie, czy więcej – trajkotała szybko.

– To najpierw się pani zapytać chciała, a potem wrócić do domu po koszyk? – spytał sołtys, a w jego głosie zabrzmiała jakaś twardość. – Nogi to sąsiadka, jak to się mówi, na loterii wygrała? Nie szkoda tak chodzić w tę i nazad?

Nadia nie rozumiała sensu sceny, której była świadkiem, ale czuła wyraźnie, że nie jest to zwyczajna rozmowa, że chodzi o coś więcej. Tych dwoje nie pałało do siebie sympatią, widać było na pierwszy rzut oka.

Nie zwracali na gospodynię uwagi, więc jedynie obserwowała z ciekawością rozwój wypadków.

– Lepiej się dwa razy przejść niż niepotrzebnie narobić – odparowała tymczasem Anka. – Niech pan żony spyta, jak krzyż od zbierania boli. Sama mówiła.

– Jak mówiła, to pewnie wie – uciął sołtys. – A ja dlatego właśnie przyjechałem. Żona dla pani – zwrócił się do Nadii – jagód nazbierała i kazała zaraz przynieść, żeby były, jak to się mówi, prosto z krzaka. Mariusz! – wrzasnął swoim zwyczajem na stojącego obok syna. – Przynieś z samochodu jagody!

– Ale go sołtys gania, jak parobka, nie jak syna – ze złością stwierdziła Anka.

Sołtys nie zareagował na złośliwość. Z kieszeni marynarki wyciągnął butelkę piwa, swoim zwyczajem otworzył zębami i wypił duszkiem do dna. Otarł usta dłonią i usiadł na ławie rozstawiwszy szeroko nogi. Jego postawa jednoznacznie dawała do zrozumienia, że nie zamierza szybko się stąd ruszać.

Ale klops! – pomyślała Nadia, choć cała sytuacja zaczynała ją nieco bawić.

– Napijecie się państwo czegoś? – zapytała, widząc, że zanosi się na dłuższą wizytę.

– Nie. – Sołtys był szybszy od Anki. – Dzisiaj nie niedziela, żeby leniuchować. Pani Bochenkowa na jagody się spieszy, to ja po drodze podwożę, żeby, jak to się mówi, czasu jej oszczędzić.

– Nie trzeba – ze słodkim uśmiechem odpowiedziała Anka. – Nie chciałabym pana, panie Stanisławie, fatygować. Posiedzę jeszcze chwilę i porozmawiam z panią Nadią. Już miesiąc, jak do nas przyjechała, a tak mało się znamy.

– Żadna fatyga – uciął krótko Stanisław. – A pani Nadia jutro nie wyjeżdża. Jeszcze do rozmowy będzie, jak to się mówi, niejedna okazja.

Anka nie wyglądała na zadowoloną z takiego obrotu sprawy, ale ponieważ Nadia nie nalegała na dłuższą wizytę, musiała wstać i idąc za przykładem sołtysa, pożegnać gospodynię. Kiedy byli u podnóża schodów, Stanisław Gula odwrócił się jeszcze i powiedział:

– Drzewa dowiozłem. Mariusz tu zostanie i na mniejsze porąbie. A jak skończy, to piechotą wróci. Młody jest i, jak to się mówi, nogi ma zdrowe. Jutro z rana zajadę, bo będziemy bić cielaka od paninej krowy i naradzić się chcę co do podziału.

Nadia aż poderwała się z fotela.

– Panie Stanisławie, ja nie będę rozmawiać o żadnym zabijaniu. Proszę samemu zdecydować.

Sołtys głębiej nasunął na czoło niebieską czapczkę z daszkiem, żeby ukryć radość.

– Jak pani uważa. Myślałem wcześniej, że ćwiartka dla pani, ćwiartka dla nas, a resztę się sprzeda. Pani podobno chciała kupić? – zwrócił się do Bochenkowej.

– Ale już mi się odechciało. – Anka szybkim krokiem odeszła w stronę samochodu.

A to cwaniak, myślała, mnie prawie siłą zabrał i jeszcze synalka na straży zostawił. A ta Nadia też dobra. O zabijaniu nie będę rozmawiać, przedrzeźniała w myślach. Delikatna się znalazła, myślałby kto!

Patrzyła, jak sołtys ostrym głosem wydaje polecenia synowi.

Ja tam się na swoich dzieciach nie wyzywam, jak ten cham. Co najwyżej Mirkę objadę, ale jej się zawsze za coś należy. A do lasu to będę w szpilkach chodziła, jak mi się zachce i nikt mi nie zabroni, zakończyła ze złością wewnętrzny monolog.

Poranek był chłodny i rosa pokrywała trawę wyjątkowo długo. Wszystko wskazywało na to, że dzień będzie raczej pochmurny. Mimo że wiatr przyganiał wciąż ciemne chmury, a deszcz mógł spaść lada chwila, Nadia miała dobry nastrój. Po raz pierwszy napaliła w kominku i z lubością wyciągała nogi w stronę ognia, jednocześnie grzejąc ręce kubkiem gorącej herbaty. Cieszyła się, słysząc, jak wiatr raz po raz porusza krowim dzwonkiem zawieszonym przed drzwiami. Znalazła ten dzwonek w oborze i spędziła kilka godzin, czyszcząc go pieczołowicie. Teraz z przyjemnością słuchała jego pobrzękiwania.

Nie zwróciła uwagi na coraz bliższe grzmoty i dopiero pierwsza błyskawica, która swoim blaskiem rozjaśniła wnętrze domu, dała jasny sygnał zbliżającej się burzy. Nie obeszło to jednak Nadii, która tylko wzruszyła ramionami i sięgnęła po gruby pled leżący na fotelu obok. Czuła się całkowicie bezpieczna i w duchu podziękowała poprzedniemu właścicielowi za to, że oprócz zadbania o takie luksusy jak łazienka, pomyślał też o urządzeniach praktycznych. Skoro

wszystko do tej pory działało bez zarzutu, to nie widziała powodu, dla którego piorunochron miałby zawieść.

Odgłos kropli uderzających o dach nasilał się z każdą chwilą, a błyskawice i grzmoty raz po raz dawały znać, że burza nie podda się tak szybko. Wyglądało na to, że trzeba będzie spędzić cały ranek w domowych pieleszach. Nie sądziła także, aby przy takiej pogodzie mogła liczyć na czyjąś wizytę. W tej sytuacji jedynym rozsądnym wyjściem wydało jej się sięgnięcie po książkę. Weszła więc na górę, żeby coś wybrać.

Stała przed półką niezdecydowana. Nagle poczuła zimny powiew, który dotarł do niej jednocześnie z głuchym łoskotem. To wiatr otworzył okno i szarpał teraz zasłoną, pozwalając wodzie kapać wprost na jej poduszkę.

Chyba powinnam zamknąć okiennice, pomyślała Nadia i wprowadziła zamiar w czyn. Teraz na dole. Po drodze wyciągnęła z półki pierwszą z brzegu książkę, nie patrząc nawet na tytuł. Będzie miała niespodziankę.

Zamknięcie okiennic od wewnątrz wymagało otworzenia okna. Przy silnym wietrze procedura ta była niełatwa, gdyż trzeba było nie lada wysiłku, żeby przyciągnąć ciężkie kawałki drewna. Postanowiła, że poczeka na odpowiednią chwilę, wykorzystując czas między podmuchami. Stała przy oknie i czekając na dogodny moment, spojrzała na okolicę.

Wtedy zauważyła jego. Stał w pewnej odległości od płotu, przy drodze, i zdawał się nie zauważać szalejącego żywiołu. Strużki wody kapały mu z włosów na twarz, ubranie przylegało do ciała. Rozpoznała go jednak od razu. Był to mężczyzna z szopy. Stał tam i patrzył. Na nią i na dom. Choć już prawie zapomniała o wydarzeniu sprzed kilku dni, to teraz uczucie strachu powróciło ze zdwojoną siłą.

Istny horror, pomyślała, ale jednocześnie postanowiła, że musi działać. – Jeżeli nic nie zrobię, on na pewno tu przyjdzie. To chyba jakiś wariat albo zwyrodnialec!

Poczuła, że ogarnia ją panika. Czuła potrzebę działania, ale nie wiedziała, co może zrobić.

– Niech on stamtąd idzie – szeptwała. – Niech tak nie patrzy!

Niewiele myśląc, otworzyła drzwi i wybiegła na zewnątrz.

– Proszę natychmiast odejść! – wrzasnęła, starając się przekrzyczeć deszcz. – Proszę mnie nie nachodzić!

Mężczyzna ani drgnął. Stał i patrzył. Nadia czuła lodowate strużki spływające jej po plecach. Nie wiedziała, czy to pot, czy deszcz. Stała na ostatnim stopniu schodów, zaciskając z całych sił rękę na drewnianej poręczy. Zęby jej szczykały z zimna i strachu.

– Mam broń! – krzyknęła w desperacji. – I użyję jej, jeśli pan sobie natychmiast nie pójdzie.

– Nie będzie takiej potrzeby.

Poczuła jakąś dłoń na ramieniu i zemdląła.



– Nadia, hej, Nadia!

Klepanie po policzku przywróciło ją do przytomności. Otworzyła oczy i zobaczyła, że siedzi na fotelu a nad nią stoi Błażej z przerażoną miną.

– Jeszcze nigdy nie zemdląłam. Przepraszam – powiedziała, rozglądając się dokoła.

W jednej chwili przypomniała sobie wszystko. Gwałtownie wstała z fotela i chwyciła chłopaka za rękaw koszuli.

– Tu był obcy człowiek! Obserwował mnie! To już drugi raz! Kiedyś siedział w szopie...

– nieco chaotycznie relacjonowała przebieg wydarzeń. – On na pewno chce mnie zabić! – zakończyła.

Błażej z początku słuchał uważnie, ale kiedy skończyła, roześmiał się i uderzył rękami o uda tak mocno, że kropelki wody chlapnęły Nadii na twarz.

– No nie wytrzymam! Mówisz o tym, co stał za płotem?

– Tak – odparła niepewnie, patrząc ze zdziwieniem na jego reakcję. – Znasz go?

– Jasne. To głupi Antoś. To znaczy tak na niego mówią we wsi, bo jest trochę, no wiesz, niedorozwinięty umysłowo. Nie musisz się bać, nie jest groźny. Nikomu nie robi krzywdy, raczej przeciwnie.

– Jak to?

– No, raczej on doznaje krzywdy od innych. Wiesz, jak to jest. Mówiłem ci, że Zabycie to nie wioska z obrazka...

Pokiwała głową, że rozumie. Zdenerwowanie minęło, ale uczucie zimna nie.

– Idę na górę przebrać się w coś suchego – zdecydowała.

Po chwili zrzuciła na dół kilka rzeczy.

– Masz! – krzyknęła. – Bo się przeziębisz. To taki wielki sweter i spodnie od dresu. Może się zmieścisz...

Kiedy zeszła na dół, zobaczyła, że chłopak wlewa wodę do kubków. Po zapachu poznała kawę.

– Dobra, mocna kawa to właśnie to, czego teraz najbardziej mi potrzeba – mruknęła zadowolona.

Wyciągnęła rękę po kubek, ale Błażej cofnął się i powiedział poważnym tonem:

– Antoś nie jest groźny, ale źle zrobiłaś, nie mówiąc nic o tamtym wydarzeniu. A gdyby to był ktoś inny? Powinnaś być ostrożniejsza i mówić mi o takich rzeczach.

Spojrzała na niego. Kiedy tak stał na środku pokoju w za małym swetrze w kolorowe wzory i spodniach, których nogawki kończyły się kilkanaście centymetrów nad ziemią, ukazując gołe owłosione łydki, wyglądał raczej zabawnie niż poważnie. Parsknęła śmiechem.

– Zabawny jesteś, wiesz? – Siadła w fotelu, wskazując mu drugi. – No, siadaj, pogadamy o tym, jak zamierzasz mnie bronić, drogie dziecko.

– Nie jestem dzieckiem – burknął obrażony i odwrócił głowę. Po chwili jednak postanowił potraktować wypowiedź Nadii jako zaproszenie do dyskusji.

– Mam kilka koncepcji i zaraz ci je przedstawię. Przede wszystkim nie możesz czytać nieodpowiednich książek. – Wskazał na egzemplarz leżący na stoliku.

Nadia spojrzała. Były to *Makabreski* Daphne du Maurier.

Nigdy nie uwierzy, że to przypadek, pomyślała. Z pewnością uzna mnie za wariatkę i histeryczkę.

Chcąc szybko zmienić temat, wstała i podeszła do okna.

– Już go nie ma. Poszedł sobie. – Świadomość tego i fakt, że nie jest sama przynosił ulgę, ale w głowie zrodziła się pewna wątpliwość. – Zastanawiam się jednak przez cały czas, dlaczego tu przychodzi. Jesteś pewien, że nie ma złych zamiarów?

– No co ty, nie ma strachu, serio. Przychodzi, bo do Jędrzeja przychodził. Lubił go, bo Jędrzej mu nie dokuczał i rozmawiał z nim normalnie. Czasem to cały dzień na tarasie przesiedzieli.

– Antoś... To nietypowe imię dla chłopaka w jego wieku. Takie staromodne. Ile on ma lat? Szesnaście?

– Skąd! Dziewiętnaście, prawie mój rocznik. Tylko tak młodo wygląda. A matka mu tak dała na imię, bo jak się urodził, to mówiła, że największy skarb znalazła. I tak na pamiątkę

Świętego Antoniego, tego od zagubionych i znalezionych rzeczy.

– Bardzo ładny pomysł, prawda?

– Może i ładny. Tylko że jak zaczęło być widać, że Antoś nie jest taki jak inni, to zaraz się ludzie zaczęli śmiać, że to raczej pod opiekę świętemu go oddała, żeby mu rozum pomógł znaleźć.

– Boże, jacy ludzie są okrutni! – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Aż uwierzyć trudno.

– Trudno, ale jak się już uwierzy w to, jacy ludzie są, to nie ma po co dalej żyć. Bo nie ma już nadziei na lepsze. – Widząc zdziwione spojrzenie kobiety, Błażej dodał, jakby się usprawiedliwiając: – No co, Jędrzej tak zawsze mówił.



Już z daleka go zobaczyła. Stał tam, gdzie podczas burzy. Nie widział jej, bo wpatrywał się, jak zawsze, w dom. Nadia wracała z lasu, bo dzisiejsze poranne bieganie szło jej tak dobrze, że po raz pierwszy dobiegła do końca Rozstajów. Postanowiła wrócić spacerem i przy okazji poszukać ładnej gałęzi lub korzenia. Przyszedł jej do głowy pomysł na ładny świecznik i choć nigdy nie miała cierpliwości do takich prac, postanowiła spróbować go zrealizować.

Teraz świecznik zupełnie wywietrzał jej z głowy. Mimowolnie zaczęła iść ciszej, starając się, żeby chłopak jej nie usłyszał. Uważnie omijała kamienie i drobne gałązki leżące na drodze. Udawało jej się to i chłopak raczej wyczuł ją, niż usłyszał. Odwrócił się gwałtownie i stanęła twarzą w twarz. Znieruchomiała, bojąc się go spłoszyć. Cisza stała się po chwili tak dokuczliwa, że postanowiła coś powiedzieć, aby rozładować napięcie.

– Dzień dobry. Ty jesteś Antoś, prawda?

– Tak. – Chłopak cały czas nie spuszczał z niej wzroku.

– Wiem, bo mówił mi o tobie Błażej.

– Błażej – powtórzył ucieszony chłopak i napięcie opadło.

– Tak, znasz Błażeja?

– Znam. On nigdy na mnie nie krzyczy i mnie nie wygania.

Popatrzył na Nadię z takim wyrzutem, że poczuła się w obowiązku wytłumaczyć swoje postępowanie. Miała w duchu nadzieję, że chłopak zrozumie, co mówi. Nie wiedziała przecież, jak bardzo jest upośledzony.

– Przepraszam, że krzyczałam na ciebie. Nie znałam cię i myślałam, że chcesz mi zrobić coś złego.

– Ja nigdy nie zrobiłem nic złego, bo to grzech. Chciałem tylko popatrzeć. Lubię Rozstaje.

– Wiem. Jeśli chcesz, to chodź ze mną, zapraszam cię na herbatę. – Zrobiła zapraszający gest, ale kiedy tylko poruszyła się, chłopak odskoczył kilka kroków w tył.

– Nie bój się. Nie chcę cię uderzyć. – Widziała, że jej nie dowierza. – Ja idę – powiedziała zrezygnowana. – Zrobię herbatę i posiedzę na tarasie. Możesz przyjść, kiedy zechcesz – dodała, choć nie liczyła na to, że chłopak przyjmie zaproszenie.

A jednak przyszedł. Kiedy wyniosła tacę z czajniczką i filiżankami na taras, Antoś już tam był. Stał nieśmiało u szczytu schodków i patrzył pytająco.

– Siadaj. – Z przyjacielskim uśmiechem wskazała drugie krzesło. – Nie będzie ci przeszkadzało, że zapalę? – spytała, bo nie miała pojęcia, co może go znowu wystraszyć. Może ogień z zapalniczki?

– Jędrzej też palił. Tylko takie w innym pudełku.
Potraktowała to jako przyzwolenie i zapaliła. Nastąpiła chwila ciszy. Chłopak patrzył, jak pali i nagle odezwał się:
– Ja nie palę. Jędrzej mówił, że lepiej nie zaczynać, bo to nałóg. A nałóg jest zły – dodał po namyśle.
– Lubieś Jędrzeja?
– Tak. Rozmawiał ze mną. I dawał drewno. I kartki, i ołówek.
– Po co? – spytała zaciekawiona.
– Bo ja lubię strugać. I rysunki robiłem, a Jędrzej je chował. Chyba mu się podobały – opowiadał z dumą. Sprawiał wrażenie dziecka wtłoczonego w ciało nastolatka. Spojrzenie miał bezpośrednie, a w jego oczach malowały się wszystkie uczucia, których doznawał. Teraz Nadia widziała w nich dumę i zadowolenie.
– Pokażesz mi swoje prace?
– Nie ma ich już. Wszystkie spalili, jak Jędrzej umarł. – Antos spuścił głowę. – W tym dużym piecu. W tym, co Jędrzej chleb piekł.
– Widziałeś, jak piekł? – zainteresowała się Nadia.
– Dużo razy, pewnie, że tak. – Kiwał głową na potwierdzenie swoich słów.
– A umiałbyś powiedzieć, jak to się robi? – zapytała Nadia, choć w głębi duszy wątpiła w to, aby ten chłopak potrafił wszystko dokładnie opowiedzieć.
– Nie. – Antos posmutniał, ale po chwili na jego twarzy zagościł szeroki szczery uśmiech.
– Ale przecież Jędrzej miał napisane. W takim zeszytce brązowym.
Nadzi szybciej zabiło serce.
– Gdzie trzymał ten zeszyt? Wiesz? – spytała chyba zbyt gwałtownie, bo Antos wystraszony wstał z krzesła.
– W szufladzie, w kredensie. Pod takim białym papierem, żeby się nie pobrudził. – Cofnął się do schodów i dodał niespodziewanie: – Ja nie chciałem...
Nadia zrozumiała, że z chłopakiem należało umiejętnie postępować. Był tak zalękniony, że każdy głośniejszy ton wprawiał go w przerażenie.
– Usiądź, Antosiu – powiedziała powoli i spokojnie. – Nie zrobiłeś nic złego. Bardzo mi pomogłeś. Jesteś dobrym chłopcem.
Antos usiadł niepewnie na samym brzegu krzesła.
– Ja teraz pójde sprawdzic, czy jest ten zeszyt, a ty poczekaj.
Weszła do domu, choć była przekonana, że zeszyt spalono razem z rysunkami Antosia albo podzielił los książek Jędrzeja. Szuflada kredensu wyłożona była białym papierem, na którym Nadia położyła pojemnik na sztućce. Była pewna, że nie było tam niczego, ale chciała sprawdzić dokładnie. Wyjęła pojemnik i podniosła papier. Był tam. Mały, cienki notatnik obłożony w papier do pakowania. Przekartkowała go pobieżnie, ale już wiedziała, że ma w ręku prawdziwy skarb. Oprócz przepisu na zaczyn i ciasto chlebowe było tam wiele innych przepisów, wszystkie napisane drobnym, równym charakterem pisma.
Nie chcąc wystraszyć Antosia, powściągnęła radość i spokojnym krokiem wyszła na zewnątrz.
– Znalazłam zeszyt, Antosiu. Dziękuję ci. – Podeszła powoli do chłopca i pogłaskała go po głowie. Nie uciekł. Siedział jednak nieruchomo. – Należy ci się nagroda. Czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić?
Chłopak ożywił się, ale widać było, że nie ma odwagi, żeby powiedzieć.
– Proszę, powiedz, śmiało – zachęciła go.
– Da mi pani kartkę i ołówek? Chcę narysować panią i zanieść Jędrzejowi, żeby wiedział,

kto tu teraz mieszka – powiedział szybko, patrząc w bok.

– Jak to zanieść Jędrzejowi? Gdzie?

– No, na grób. To pani nie wie, że jak ktoś umrze, to ma grób? – Wyglądał na szczerze zdumionego jej niewiedzą.

– To Jędrzej ma tutaj grób? W Zabyciu?

– Nie w Zabyciu, tylko dalej. Na cmentarzu przy kościele.

Zdziwienie Nadii wzięło się stąd, że wydawało jej się, iż grób Jędrzeja jest gdzieś daleko. Błażej wspominał, że dzieci siostry Jędrzeja wyprowadziły się do miasta, a później wzięły matkę do siebie. Sądziła, że siostra chciała mieć grób brata niedaleko od swojego miejsca zamieszkania.

– Pójdiesz tam? – spytała Antosia.

– Teraz?

– Teraz. Zaprowadzisz mnie?

– Tak. Będę szedł, a pani pójdzie za mną – ochoczo zgodził się chłopiec.

– Nie możemy razem?

– Razem? – zdziwił się, aż oczy otworzyły mu się szeroko. – Będą się śmiali, że pani z głupkiem idzie. To wstyd.

– Ja się nie wstydzę. Lubię cię, Antosiu, i chciałabym iść razem z tobą. – Była zszokowana tym, z jaką naturalnością i prostotą chłopak opowiada o tym, w jaki sposób traktują go ludzie.

Nie było w jego głosie żadnego wyrzutu czy żalu. – Będzie mi bardzo miło, jeżeli ty też zechcesz ze mną pójść.

– To mnie będzie miło – powiedział Antoś poważnie i z przejęciem.

Nadia wzięła sweter, torbę, zamknęła drzwi. Ramię w ramię z Antosiem pomaszzerowali w stronę wsi. Chłopiec co jakiś czas podskakiwał, nie mogąc opanować radości, a Nadia uśmiechała się do niego.



– Szefową zastałem?

Pracownik firmy kurierskiej nie po raz pierwszy przyjeżdżał do sklepu, więc nie musiał się upewniać, że dobrze trafił. Paczka, którą przywiózł, była duża i ciężka, więc z ulgą postawił ją na ladzie.

– Zaraz zawołam – odpowiedziała stojąca za ladą dziewczyna.

Z przyjemnością patrzył, jak idzie w stronę tylnego wyjścia, otwiera drzwi i krzyczy w głąb podwórka:

– Pani Aniu, paczka przyszła!

Podobała mu się ta dziewczyna i to już od dawna. Lubił takie duże oczy, co to patrzyły, jakby ze strachem albo zdumieniem. I włosy miała takie śmieszne, pokręcone. Szczupła była, ale tam gdzie potrzeba ładnie zaokrąglona. Tak, naprawdę chętnie umówiłby się z nią, ale do tej pory jakoś nie było okazji. Zawsze przeszkadzała właścicielka, odsyłając dziewczynę na zaplecze. Może dzisiaj, zanim przyjdzie, uda się porozmawiać?

– Co słyhać, pani Mirko?

– Wszystko jak zwykle, proszę pana – odparła i zaczerwieniła się.

– Mam na imię Piotrek, przecież pani wie...

– Wiem. – Dziewczyna zmieszana wciąż zerknęła na tylne drzwi.

– To dlaczego nie chce pani tak do mnie mówić?

– Szefowa by się gniewała...

– Szefowej się pani boi? Niech pani nie przesadza, na pewno nie jest taka straszna...

Nie dokończył, bo drzwi od podwórka otworzyły się i weszła Anka Bochenkowa. Z daleka widać było, że nie jest zadowolona.

– No, nareszcie. Już myślałam, że gdzieś zaginęła. Mąż, jak dzwonił, to mówił, że już dawno wysłał. Jakby tam coś z jedzenia było, to byście płacili za straty – zwróciła się do chłopaka.

Ten wzruszył ramionami.

– Na mnie proszę nie krzycheć. Jak dają, to przywiozę i tyle. – Podał Ance plik dokumentów. – Proszę podpisać. Wie pani gdzie.

– Zaraz, zaraz, muszę sprawdzić, czy wszystko jest w środku. Mąż mówił, co wysłał, zobaczę, czy czego nie ukradli.

– Pani Bochenek, wie pani, że najpierw podpis, a później paczka. Taka procedura.

– Procedura, procedura. – Anka podpisała i oddała dokumenty. – Mirka! – krzyknęła zniecierpliwiona, a dziewczyna, która zamyśliła się, obserwując kuriera, natychmiast wróciła do rzeczywistości. – Podaj panu coś zimnego do picia. Kawał drogi jechał.

Dziewczyna podała oranżadę, a on, zsunawszy czapkę na tył głowy, przyłożył zimną butelkę do czoła, chcąc się ochłodzić. Ten brak pośpiechu ucieszył Ankę. Im dłużej samochód firmy kurierskiej stał przed sklepem, tym większa była szansa, że ktoś go zobaczy.

Niech wiedzą, że Marian znowu coś nam przysłał, pomyślała i zerknęła przez okno, żeby sprawdzić, kto jeszcze stoi przed sklepem. Naraz znieruchomiała. Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Mirka, czy ty widzisz to, co ja? Czy to ta z Rozstajów z naszym głupkiem po wsi paraduje?

– Tak, pani Aniu.

– No, to już woła o pomstę do nieba! Niech mi pan powie – zwróciła się do chłopaka – kto to widział takie rzeczy! Już ponad miesiąc, jak u nas mieszka, i jeszcze ani razu w kościele nie była. Teraz znowu głupiego Antosia na spacerzy prowadzi. Świat nie widział! Wszystkie w mieście takie dziwaczki? Niech no pan powie. – Szturchnęła chłopaka, który zaciekawiony podszedł do okna.

– Jakie? Ta to raczej na taką ze wsi wygląda. Nie to, co pani Mirka. – Puścił oczko do dziewczyny, która spuściła wzrok.

– Mirka? – prychnęła Anka Bochenkowa. – Ona to ciuchy po mnie ma. A tamta to tylko tak udaje. Dziwaczka, to i dziwacznie się stroi.

Nadia i Antoś właśnie mijali sklep. Kobieta pomachała w stronę okien, jakby zgadując, że jest obserwowana. Piotrek przyjrzał się jej uważnie, chcąc upewnić się, czy ma rację.

– No, ta to akurat może dziwaczka, ale forsy ma jak lodu.

– Skąd pan wie? – Ankę jakby ktoś dźgnął w siedzenie.

– Bo paczki woziłem do takiej firmy. I ona tam była prezesem czy kimś ważnym. Widziałem kilka razy. A żeby pani wiedziała, jaka to firma – marmury, szklane ściany, kupa forsy.

– I pewien pan, że to ona?

Chłopak znowu wzruszył ramionami. Odwrócił wzrok od okna i spojrzał na Mirkę.

– Może tylko podobna? Ja tam się za kobietami nie oglądam.

Anka zastanawiała się chwilę nad tym, co usłyszała. Jeśli to prawda, to jaki taka kobieta ma tu interes? Bo jakiś na pewno ma.

– Mirka...

- Tak, pani Aniu?
- Ty się tego Błażeja od Tkaczyków wypytaj. No, o tę Nadię. Może ci coś więcej powie, przecież do ciebie co dzień zagląda.
- Nie do mnie, pani Aniu, tylko po chleb dla pani Nadii – oburzyła się dziewczyna.
- Widzisz, jakaś ty głupia. Chłopak przychodzi, a ty nic. I jeszcze pozwalasz, żeby do Rozstajów łąził. Umówiłaś się z nim dzisiaj na puszczenie wianków?
- Nie, pani Aniu.
- Niedojda z ciebie i tyle. Stara baba ci chłopaka sprzed nosa sprzątnie. – Anka komentowała, nie zwracając uwagi na obecność chłopaka.
- Mirka nagle ukryła twarz w dłoniach, rozplakała się głośno i wybiegła ze sklepu. Piotrek postawił butelkę na ladzie, zabrał leżące dokumenty i wychodząc, powiedział:
- Chyba pani przesadziła.
- Tym razem to Anka wzruszyła ramionami. Prawdę przecież tylko powiedziała, nic nie zmyśliła. Patrzyła, jak kurier rozmawia z Mirką przed sklepem. Kiedy dziewczyna wróciła, zapytała ją bez ogródek:
- A z tym się chociaż umówiłaś?
- Nie, pani Aniu. – Dziewczyna jeszcze pociągała nosem i ocierała zaczerwienione oczy.
- Ty naprawdę jesteś głupia – orzekła Anka. – Może by cię do miasta wziął? Miałabyś lepiej niż na wsi. Jak ty sobie w życiu radę dasz, jak ty nawet męża złapać nie potrafisz? Pewnie starą panną zostaniesz...
- Tak, pani Aniu, pewnie zostanę.



Przykościelny cmentarz przyjmował swych wiecznych lokatorów już od kilku wieków. Z czasem, kiedy ludzi w okolicznych wsiach przybywało, zrobił się zbyt mały, więc powiększono go, wykupując kawałek nieużytku. Stara część cmentarza otoczona była murem z kamienia, gdzieniegdzie bardzo już zniszczonym, nowa – ogrodzeniem z betonowych płyt.

Nadia prowadzona przez Antosia minęła kutą z żelaza bramę ozdobioną krzyżem. Szli wzdłuż głównej alejki, mijając grobowce znamienitszych rodzin z okolicy. Za nimi, w nieładzie, bez żadnego porządku rozsiane były pozostałe groby. Niektóre stare, z ubiegłych stuleci, zapadające się już w ziemię, inne nowe, mniej lub bardziej bogate, z marmuru lub piaskowca, jeszcze inne – ubogie kopczyki ziemi z metalowymi krzyżami i wyblakłymi tabliczkami, z których nic już nie można było odczytać.

Grób Jędrzeja odnaleźli na granicy łączącej starą i nową część cmentarza. Skromny, prosty nagrobek zdobił jedynie krzyż, imię zmarłego i data śmierci.

– Dlaczego nie ma nazwiska? – spytała Nadia.

– Jędrzej tak chciał. On mówił, że nazwisko nie jest ważne. Każdy wie, kto to Jędrzej i wystarczy. Tak mówił – tłumaczył Antoś z zapalem, przejęty rolą przewodnika.

– Rozumiem.

Nadia zamyśliła się nad mądrością usłyszanego stwierdzenia. To racja, albo ktoś cię zna i wie, kim jesteś, albo nie. Nazwisko nic tu nie pomoże.

– Szkoda, że nie poznałam Jędrzeja. O tyle spraw chciałabym go zapytać...

– On by wiedział. On wszystko wiedział! – zapewnił Antoś.

– Posprzątajmy tu. Pomożesz, Antosiu? Wyrwiemy chwasty, zamieciemy. – Schyliła się i zaczęła oczyszczać miejsce wokół grobu. – Pewnie siostra postawiła mu nagrobek? – spytała ot

tak, żeby przerwać ciszę.

– Nie – zaprotestował Antoś. – Jędrzej sam go zrobił i wszystko kazał napisać. Jeszcze jak żył.

– No, chyba nie wszystko, Antosiu. – Nadia roześmiała się. – Daty śmierci to raczej nie...

– A właśnie, że tak – zaperzył się chłopak. – I powiedział mi, że czasami ludzie umierają jeszcze przed śmiercią. Że to jest najgorsze tak żyć.

Przez chwilę pracowali w ciszy.

– Czy coś jeszcze mówił? – spytała Nadia bardzo cicho.

– Dużo mówił. O tę śmierć pani chodzi? No, to mówił, że niektórzy nie wiedzą, że umarli, i żyją dalej, inni – wyliczał na palcach, marszcząc czoło, żeby udowodnić, że wszystko zapamiętał – wiedzą, że umarli, i bardzo się z tym męczą aż do końca życia, a jeszcze inni robią wszystko, żeby nie umrzeć przed śmiercią, i jak im się uda, to są szczęśliwi, a jak nie, to umierają zaraz. Jak Jędrzej.

Antoś przysiadł na nagrobku, oczekując pochwały. Nadia tylko uśmiechnęła się do niego. Nie była w stanie nic powiedzieć.

– Nie można przecież umrzeć przed śmiercią, prawda? – spytał nagle Antoś.

– Można, Antosiu. Jeszcze jak można. – Nadia stanęła, patrząc w dal. Ponad cmentarny mur. Czują, że jest blisko znalezienia tego, czego szukała. Jędrzej coś jej podpowiedział. Teraz musi tylko poczekać, żeby ta myśl dojrzała, nabrała kształtów, stała się całością. Na razie nie była jeszcze pewna.

– Chodźmy, Antosiu, pora wracać.



Błażej stał przy bocznej furtce cmentarza i obserwował stojącą przy grobie parę. Widział, że rozmawiają, przyglądał się porządkom. Fakt, były potrzebne, teraz to widział, choć dotąd chwasty mu nie przeszkadzały.

Uśmiechał się na widok poważnej miny Antosia.

Dobrze, że się poznali, pomyślał. Nadia będzie umiała z nim postępować, zrozumie go.

Powiew wiatru rozdmuchiwał włosy kobiety, szarpał spódnicę i rękawy bluzki. Z daleka wyglądała, jakby kołysała się razem z wiatrem.

Naprawdę wygląda jak czarownica – stwierdził. – Dobrze, że nikogo nie ma, bo nie uniknęłyby plotek. Za piękna jest.

Spojrzał raz jeszcze na jej wyprostowaną postać, wsiadł na rower i odjechał. Nie chciał obserwować z ukrycia, było mu głupio, że ją śledził. Poza tym musiał już jechać – obowiązki czekają, musi zdążyć ze wszystkim przed wieczorem. Dziś wigilia Świętego Jana i umówił się z Nadią, że będą puszczać wianki na rzece za sadem.

Jej podniecenie udzielało się także Antosiowi. Nie mógł usiedzieć spokojnie i raz za razem odkładał kawałek drewna, w którym rzeźbił od rana, chcąc uzyskać sobie tylko znany efekt. Wstawał, znowu siadał, zabierał się na powrót do pracy, ale widać było, że mu nie idzie.

Wszystko z powodu chleba. Pierwszego chleba, jaki miała upiec. Skonsultowała znaleziony przepis z panią Heleną, a ta dodała kilka uwag i wskazówek. Zadeklarowała nawet pomoc, ale Nadia uprzejmie odmówiła. To miał być jej chleb. Wyłącznie jej. Zresztą w razie klęski wcale nie przyzna się do nieudanej próby.

Antoś został dopuszczony do sekretu i bardzo był tym przejęty. I tak nie sposób było ukryć tego przed nim, bo od czasu wspólnej wizyty na cmentarzu stał się w Rozstajach codziennym gościem. Nadia poznała go lepiej i bardzo polubiła prostotę jego myśli, ufność spojrzenia i szczerą uśmiechu. Dzięki Antosiowi nauczyła się wyciszać negatywne emocje, bo chłopiec bał się gwałtownych reakcji, zaczęła jasno i w prostych słowach wyrażać swoje myśli,

tak aby dobrze ją rozumiał. Dużo rozmawiali, gdyż Antoś ciekawy był wszystkiego i chętnie słuchał, ale i równie dużo milczeli. Obecność chłopaka była jej miła także dlatego, że nie czuła się dzięki niemu samotna. Obecność drugiego człowieka, który na dodatek nie był męczącym towarzyszem, cieszyła ją i wprawiała w dobry nastrój.

Tego dnia jednak i jej trudno było wysiedzieć. Poranek minął szybko na wyrabianiu ciasta i innych przygotowaniach niezbędnych do udanego wypieku. Kiedy ciasto wyrosło, uformowała, najlepiej jak potrafiła, niewielkie bochenki. Antoś odnalazł w szopie łopatę do wkładania i wyjmowania chleba, która wyglądała niczym wyjęta z bajki o Jasiu i Małgosi. Jej walory użytkowe były jednak niezaprzeczalne. Bochenki zostały umieszczone w piecu i należało już tylko czekać.

To właśnie było najtrudniejsze. Dochodzący z kuchni zapach raz wprawiał ją w euforię (skoro tak ładnie pachnie, to musi się udać), to znowu rodził niepewność (no i cóż, że pachnie, skoro na pewno będzie niejadalny). Ostatnie minuty oczekiwania wlokły się niemiłosiernie. Antoś pytał co pół minuty:

– A może już?

– Jeszcze chwilę, Antosiu – odpowiadała spokojnie, za każdym razem starając się nie tracić cierpliwości.

Wreszcie nadszedł oczekiwany moment. Z drżącym sercem otworzyła drzwiczki pieca i zaczęła wyjmować gorące bochenki. Kiedy odkładała kolejny na białą płócienną ściereczkę, rozłożoną na stole, i stwierdziła, że wygląda całkiem dobrze, przypomniała sobie sen, który miała pierwszej nocy w Rozstajach.

– Wyśnił mi się ten chleb – powiedziała, nie odwracając głowy, pewna, że Antoś wciąż stoi w drzwiach, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

– To dobrze, bo przez jakiś czas nie będę przychodził. Wyjeżdżam. – Głos, który odpowiedział, nie był tym, którego się spodziewała.

Łopata drgnęła w dłoni, ale udało się jej opanować i kolejny bochenek szczęśliwie wylądował na stole. Nie odpowiedziała, skupiając całą uwagę na wykonywanej czynności. Dopiero kiedy ostatni chleb został wyjęty z pieca, odstawiła łopatę, zamknęła drzwiczki i odwróciła się w stronę przybyłego, zdejmując fartuch.

– Nie rozumiem, dlaczego zawsze musisz pojawiać się znienacka. Kiedyś moje stare serce nie wytrzyma i będziesz miał mnie na sumieniu. – Mocowała się z troczkami od fartucha. – Czy możesz mi to rozwiązać? – poprosiła. – Chyba zrobił się supel.

Błazej podszedł do niej i nachylił się nad węzłem. Poczuł, jak pięknie pachnie ta kobieta; była to mieszanka zapachu łąki, kawy, świeżego chleba i rozgrzanej upałem skóry. Wciągnął głębiej powietrze, rozkoszując się tym nowym zapachem.

– No i co, nie chce puścić? – spytała, starając się odwrócić głowę i ocenić sytuację.

– Już, już – szybko uporał się z węzłem i podał kobiecie fartuch.

Ta podziękowała skinieniem głowy i bez zbędnych pytań przyniosła ze spiżarni dzbanek z kompotem.

– Dokąd się wybierasz? – spytała, nalewając płyn do wysokich szklanek ustawionych na drewnianej tacy. – Jeśli oczywiście mogę wiedzieć...

– Jadę zdawać egzaminy na studia.

– Nie wiedziałam, że zamierzasz studiować.

– Pewnie, zachciało się chłopakowi ze wsi wyższej uczelni, nie?

– Przestań, po prostu nic nie mówiłeś, dlatego jestem zaskoczona.

Usiedli na tarasie, gdzie siedział spokojny już Antoś, skupiony całkowicie na kawałku drewna.

– Jaki kierunek wybrałeś? – spytała Nadia, rozstawiając szklanki.
– Psychologię.
– Ciekawe. Interesujesz się tym?
– Tak, bardzo. Chcę pomagać ludziom. Takim, którzy nie radzą sobie z życiem. I takim, co nie wiedzą, co zrobić. Wiesz, ze sobą, z problemami, ze wszystkim.

Patrzyła na tego młodego chłopaka, który siedział przed nią w dzinsowych spodniach z poszarpanymi nogawkami i koszulce z dziwnym nadrukiem. Zazdrościła mu determinacji i energii, zapału, z jakim opowiadał o swoich planach. Patrzyła, jak gestykuluje, jak porusza się rzemyk opleciony wokół jego nadgarstka.

Boże! Jaki on młody! – pomyślała. I przystojny, dodała w myślach, widząc, jak odgarnia do tyłu nieco za długie włosy.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że taki zawód to wielka odpowiedzialność? – Chciała wnieść nieco rozsądku do jego planów, sprawić swoją zazdrośną dorosłością, żeby nie był taki młody, pełen nadziei i wiary w powodzenie swoich planów.

– Wiem. Rozmawiałem o tym z Jędrzejem. Powiedział mi, że trzeba realizować swoje marzenia, ale zawsze musimy być gotowi na poniesienie konsekwencji naszych wyborów.

– A ty jesteś gotowy?

– W tym wypadku jestem.

– To cóż, życzę ci powodzenia. Zajrzyj po powrocie i powiedz, jak ci poszło.

– Jasne – obiecał.

Zamilkli, patrząc na słońce chylące się ku ciemnej linii lasu na horyzoncie. W ciszy słychać było tylko odgłosy dłuta, którym Antoś rzeźbił coś w swoim kawałku drewna.



Lipiec okazał się dużo mniej letnim miesiącem niż czerwiec. Upał zelżał, a wieczory i poranki bywały bardzo chłodne, dlatego zaraz po zachodzie słońca Nadia przenosiła się z tarasu do wnętrza domu i wieczory spędzała przy kominku.

Dla Antosia kupiła kilka bloków rysunkowych, ołówki i kredki. Ucieszył się z prezentów, ale kredek nie używał. Rysował tylko ołówkiem, a zapytany o powód takiego wyboru, odpowiedział:

– Jak rysuje się kredkami, to wszyscy patrzą tylko na kolory. A ja chcę, żeby było dobrze widać, co jest na rysunku.

Nadia przyznała mu rację. Jego rysunki, choć pozbawione barw, były bardzo dobre. Chłopak miał talent. Braki techniczne nie umniejszały wcale wymowy rysunków, przeciwnie – prace stawały się dzięki temu bardziej wyraziste, bardziej przemawiały do odbiorcy, wręcz porażały naiwnym, ale trafnym ujęciem tematu.

Antoś wszystko, co narysował, pokazywał jej z dumą, a później, ucieszony pochwałami, starannie chował do teczki, na której Nadia dużymi literami napisała ANTONI. Z rozbawieniem i tkliwością obserwowała dorosłego już przecież chłopaka, który siedział przy stole i rysował z językiem wysuniętym na brodę. Wciąż nie potrafiła zrozumieć, jak ktoś może być dla tego człowieka okrutny. Stanowił dla niej uosobienie dobroci, naiwności i bezbronności, był dzieckiem, którym należy się opiekować. Czasami zaskakiwał ją mądrym stwierdzeniem albo trafnym wnioskiem, chociaż nigdy nie była pewna, czy sam to wymyślił, czy też gdzieś usłyszał.

To właśnie Antoś pierwszy zauważył powrót Błażeja i zakomunikował swe odkrycie.

– Skąd wiesz?

– Jak to? Przecież jak go nie było, to koszyk przywoził pan Stanisław. A teraz już nie przywozi, tylko koszyk co rano jest przed drzwiami. Jak przychodzę, to go wnoszę.

– Masz racje, Antosiu.

Chłopak wrócił do rysowania, a Nadia się zamyśliła. Faktycznie, koszyk pojawiał się przed drzwiami już ponad tydzień. Dlaczego Błażej zostawiał go bez słowa? Obiecał zajrzeć po powrocie. Niecierpliwie czekała na opowieść o egzaminach, ciekawa była jego wrażeń.

Dorzuciła do kominka kilka jałowcowych gałązek. Sołtysowa dołączała je do codziennej przesyłki. Z początku nie wiedziała, do czego mogłaby ich użyć i chciała je wyrzucić, ale Antoś pouczył ją, że wrzucone do ognia pięknie pachną. Miał rację, pokój już po paru chwilach wypełnił się miłą wonią. Z lubością pociągnęła nosem i sięgnęła po książkę.



Książki o miłości zawsze sprawiały, że zaczynała zastanawiać się, czy ona w ogóle potrafi kochać. Trudność polegała na tym, że z jednej strony marzyła o wielkiej miłości, a z drugiej opisywane przez literatów uczucia i zachowania wydawały się śmieszne, infantylne, a przede wszystkim niemożliwe do odtworzenia w zwyczajnym życiu. Pewnie, że chciałyby słuchać wyznań o tym, jak bardzo komuś na niej zależy, ale czuła, że nie umiałyby w nie uwierzyć. Poza tym z trudnością przychodziło jej wyobrażenie sobie, że mogłaby poświęcić się dla drugiej osoby, zrezygnować ze swoich celów i planów. Bohaterowie miłosnych powieści podejmowali podobne decyzje bez trudu i jakoś zawsze wychodziło im to na dobre, jednak ona miała niejasne przeczucie, że w życiu nie jest tak prosto i kolorowo. Poza tym, co tu kryć, nie ufała mężczyznom. Co nie znaczy, że nie chciałyby spotkać takiego, któremu zaufałyby bez reszty.

Ta niemożność jednoznacznego określenia swojego stosunku do miłości sprawiała, że skrętnie pomijała podczas lektury rozmowy kochanków i opisy ich uczuć. Przekonała się, że jeśli tego nie robi, to potem przez jakiś czas ma kłopoty z koncentracją i obiektywną oceną codziennych spraw. Miała wrażenie, że na budowanym z takim trudem wizerunku własnej osoby pojawiały się pęknięcia, które musi łątać, żeby znowu móc prawidłowo funkcjonować.

Odsuwanie spraw uczuciowych na dalszy plan nie oznaczało, że całkowicie pozbawiała się intymnych kontaktów z mężczyznami. Jednak miały one zawsze charakter krótkich romansów, bardzo często związanych z interesami. Nie żeby sypiała z kimś wyłącznie dla korzyści finansowych, mężczyzna musiał ją pociągać, ale jeżeli można było połączyć oba te aspekty, chętnie godziła się na bliższą znajomość. Nigdy nie pozwoliła sobie na głębsze uczucie. Kiedy czuła, że partner lub ona sama zbyt się angażuje, natychmiast zrywała kontakt. Nigdy też pierwsza nie okazywała zainteresowania mężczyźnie. W tym względzie była tradycjonalistką. To on musiał zdobywać, starać się o względy. Ona zaś decydowała: odrzucała je lub łaskawie przyjmowała.

Tak było do dnia, w którym poznała jego. Wywarł na niej ogromne wrażenie, nie mogła się doczekać, kiedy zaproponuje spotkanie. Czuła, że jest nią zainteresowany. Była pewna, że spróbuje – zawsze tak było. Zawsze, ale nie tym razem. Nie zrobił nic. Ich znajomość była ledwie letnia, bo choć doskonale się rozumieli, to nigdy nie okazał, że pragnąłby czegoś więcej, a ona była zbyt dumna, żeby zrobić pierwszy krok.

Nie umiała zbyt długo czekać. Czuła złość. Była zła na siebie, że nie potrafi zaryzykować, a jeszcze bardziej na niego, że nie ulega jej urokowi, nie próbuje zdobywać.

Potem przyszedł okres zwątpienia. Czyżby nie była tak atrakcyjna, jak myślała? A może

zaczynała się starzeć? Każdego dnia do znudzenia oglądała w lustrze swoją twarz, z niepokojem szukając zmarszczek. Wydawała fortunę na kosmetyki i ubrania. Nic, żadnego efektu. Przyszła kolej na strach. Bała się, że legenda pięknej kobiety przebierającej w wielbicielach przemija. Wydawało jej się, że wszyscy wiedzą o tym, że została odrzucona, że pragnie mężczyzny, a on jej nie chce. Nie mogła sobie na to pozwolić, duma cierpiała. Jedyńm sposobem wydawało się przekonanie całego świata, a przede wszystkim jego, że nie zależy jej na tym związku, nawet na znajomości. Zrobiła to tak dobrze, że znajomość ochłodziła się znacznie, a wkrótce przestali widywać się w ogóle.

Cierpiała z miłości, a przynajmniej tak jej się wtedy wydawało. Lekiem na cierpienie miała być zemsta. Należało go ukarać za to, że śmiał nie pragnąć jej, nie zachwycać się, nie chcieć...

Kiedy udało się zrealizować zamierzony cel, wbrew temu, czego oczekiwała, nie poczuła się lepiej. Spotkanie po latach było zupełnie inne. Tak naprawdę wszystko zmienił jeden telefon. Kiedy obserwowała, jak rozmawia z żoną, rozumiała wiele. Jakby telefoniczna melodyjka otworzyła jakąś szufladkę w jej sercu i z tej szufladki zaczęły wysypywać się myśli i uczucia dotąd z mozołem tam upychane.

Wydawało jej się dotąd, że wszystko o nim wie. Znała kondycję firmy, którą prowadził, systematycznie zresztą i z rozmysłem powodując, że podupadała. Wiedziała, jak długo pracuje, z kim robi interesy, z kim jada służbowe obiady, że sprzedał samochód, żeby zapłacić najpilniejsze należności. Nie wiedziała za to wcale, że będzie ojcem, że kocha żonę. Nie miała pojęcia, jak kiedyś odbierał jej zachowanie, że nie wiedział o jej zaangażowaniu.

Chciała ukarać mężczyznę za to, że nie odgadł jej uczuć. Jak miał to zrobić, skoro nigdy ich nie okazywała? Czy zdarzyło jej się do kogokolwiek mówić tak, jak on mówił do żony? Nigdy. Zazdrościła nieznanej kobiecie, też chciałaby, żeby ktoś tak o nią się troszczył. Tylko czy to miałyby być on?

Zdała sobie sprawę, że mści się, bo go nie zdobyła, bo uraził jej dumę, a nie dlatego, że go kochała. Wszystko nagle stało się inne niż dotąd. Gdyby go kochała, to nie chciałaby zemsty, a skoro tak długo czekała na okazję, żeby zniszczyć mu życie, to oznaczało, że nie kochała go nigdy. Skoro tak, to zemsta nie miała sensu. Dlaczego nie odkryła tego wcześniej? Ona, tak dumna ze swoich analitycznych umiejętności.

Od czasu tej refleksji zaczęły przychodzić kolejne. Czowała się coraz gorzej, zdała sobie sprawę z tego, jak żyje. Prawie widziała mur, który sama wokół siebie zbudowała, mur, przez który jej życie pozbawione było uczuć, stało się jedynie kalkulacją kolejnych działań.

Świadomość tego wszystkiego zaczęła przeszkadzać w pracy. Odwlekała ostateczną decyzję w sprawie mężczyzny. Nadal nie chciała okazywać słabości, ale jednocześnie ten rodzaj siły, który preferowała dotychczas, przestał ją interesować. Coraz częściej czuła, że robi mnóstwo rzeczy wbrew sobie, że zamiast niej chodzi i działa sztuczny twór, który sama wykreowała, a który przejął nad nią kontrolę.

Zastanawiała się, ile osób tak żyje i czuła przerażenie. Analizowała losy przyjaciół i znajomych zamiast raportów o obrotach i zyskach. Miała nadzieję, że poradzi sobie ze wszystkim, ale coraz trudniej przychodziło jej skupienie się na codzienności, coraz częściej myśli stawały się natrętne i nie umiała zepchnąć ich w głąb podświadomości.

Czy tak zaczyna się obłąd? – myślała czasem z przerażeniem, ale w głębi duszy czuła, że toczy wewnętrzną walkę. Prawdziwe uczucia i pragnienia chciały wydostać się z pancerza, którymi je obudowała.



– Dzień dobry! Co tam u sąsiadki słyhać? Wszystko, jak to się mówi, w porządku?

Dziś sołtys ubrany był w robocze spodnie, gumowce i kraciastą koszulę, której rękawy podwinął, ukazując owłosione przedramiona. Głowę zdobił mu rybacki kapelusz koloru khaki z dużym napisem „moro”.

– Dzień dobry, sołtysie! W porządku! – Nadia próbowała przekrzyczeć warkot silnika.

– Z ryb wracam! – Sołtys wskazał na wędki wystające przez odkręconą szybę. – Nie gaszę silnika, bo potem nie odpali! Pomyślałem tylko, że się przywitam, jak to się mówi, w przelocie!

– Proszę podziękować żonie za wszystko! Te gałązki jałowca ślicznie pachną!

– Tak, wiem! Widzę, że korzysta pani z naszych wiejskich pomysłów! – odkrzyknął sołtys. – Pewno Helena Gulowa je pani przyniosła? Niech pani będzie, jak to się mówi, na zdrowie!

– Dziękuję! – krzyknęła Nadia, zastanawiając się jednocześnie nad tym, co usłyszała.

Warkot silnika nie pozwalał na dłuższą rozmowę, więc sołtys krzyknął jeszcze:

– Dzisiaj nic nie brało, ale następnym razem rybkę pani przywiozę! – rozpoczął procedurę wpychania się do samochodu. – Do widzenia!

– Do widzenia!

Sołtys odjechał, trąbiąc i migając światłami na pożegnanie. Nadia oparła czoło o drewniany słupek tarasu i zamknęła oczy. Skoro to nie sołtysowa wkładała gałązki jałowca do koszyka, to mógł robić to jedynie Błażej. Uznała to za pomysłowy sposób oznajmienia swojego powrotu. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że już zawsze zapach jałowca będzie się jej kojarzył z Błażejem. Miała też niejasne przeczucie, że właśnie o to mu chodziło. Dlaczego wobec tego jej nie odwiedzał? Myślała, że traktuje ją jak przyjaciółkę, że lubi z nią rozmawiać. Sądziła, że cenił jej towarzystwo i rady.

Szkoda – pomyślała – to taki miły chłopak. I chyba wtedy po raz pierwszy zatęskniła za Błażejem.



Pedałował, ile miał sił. Każdym naciśnięciem nogi starał się wyrzucić z siebie złość. Jeździł tak już dzisiaj kilka godzin, tak samo jak wczoraj i przedwczoraj, i tydzień temu. Przemierzał leśne drogi bez wytchnienia, aż padał bez sił na leśne poszycie, czując ból wszystkich mięśni. Leżąc, koncentrował się jedynie na bólu, nie chcąc dopuścić żadnej innej myśli. Kiedy tylko czuł, że już jest lepiej i siły powracają, natychmiast siadał na rower i znowu jechał. Nie chciał mu się jeść, nie czuł pragnienia. Do domu wracał późno, ledwie powłóczęąc nogami, zjadał byle co i rzucał się na łóżko, zasypiając, zanim jeszcze dotknął głową poduszki.

Rodzice nie mieli pretensji o to, że nie dostał się na studia. Wiedział, że w głębi duszy uważali dalszą naukę za niepotrzebną, nieprzydatną w życiu. Udawali tylko, że martwią się, że przeżywają tę porażkę razem z nim. Doceniał to i nie miał do nich żalu.

Co w takim razie zmuszało go do szalonej jazdy? Skąd brała się złość i nienawiść? Tak bardzo chciał z kimś o tym porozmawiać, poradzić się, usłyszeć opinię... Może Nadia?

Rzucił rower, a sam usiadł wprost w pyle drogi z głową między kolanami. Wiedział, że powinien ją odwiedzić, obiecał przecież. Bardzo chciał pójść do Rozstajów, do Nadii, ale ile razy o tym myślał, miał przed oczami ją idącą po łące, czuł jej zapach... Aż do bólu pragnął ją

zobaczyć, porozmawiać z nią...

Bzdura, bzdura, bzdura! – pomyślał ze złością. – Mam mnóstwo ciekawszych rzeczy do zrobienia. Zresztą nie tylko z Nadią można rozmawiać, są inne, na przykład Mirka. Słucha tego, co mówię, nie daje głupich rad i nie wymądrza się.

Wsiadł na rower i znowu jeździł. Godzinę, dwie, pot spływał mu po plecach i zalewał oczy. Był słony, tak słony, że wyciskał łzy. Błazej nie zważał na to. Wieczorem ledwie doszedł do domu.

– Nie będę nic jadł – krzyknął w stronę kuchni. – Idę spać.

Zatrzymał się w przedpokoju, żeby położyć na półce kilka przywiezionych z lasu gałązek jałowca, a potem wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.



Autobus przejeżdżał za płotem dwa razy dziennie. Niedaleko Rozstajów był przystanek, ale rzadko ktoś z niego korzystał, ludzie woleli chodzić na drugi koniec wsi, do głównej drogi. Tam można było skorzystać z większej liczby kursów lub złapać okazję.

Tym razem autobus zatrzymał się przy betonowym słupku, z którego dawno już zniknął znak PKS-u, nie mówiąc nawet o rozkładzie jazdy. Trzasnęły drzwi i stary jelec ruszył, ukazując przybysza oczom siedzącej na tarasie Nadii.

Przybysz rozejrzał się, przykładając rękę do czoła, żeby zobaczyć cokolwiek w prażącym słońcu. Opuścił dłoń i ruszył w kierunku Rozstajów.

Nadia sądziła, że chce zapytać o drogę lub dom któregoś z mieszkańców. Wstała i podeszła do płotu. Czekala, aż przyjezdny podejdzie bliżej.

– Czy zastałem Jędrzeja?

– Jędrzej nie żyje. Teraz ja jestem właścicielką domu. W czym mogę panu pomóc?

Mężczyzna odsunął się kilka kroków do tyłu i zmierzył Nadię uważnym spojrzeniem.

– Nie żyje, mówi pani. No to nic tu po mnie.

– Pan ma jakąś sprawę do poprzedniego właściciela? – Nadię zainteresował niespodziewany gość. Był wysoki, mierzył około dwóch metrów. Może trochę mniej, ale chudość wydłużała sylwetkę jeszcze bardziej. Na głowie miał duży kowbojski kapelusz, na ramieniu podróżną torbę. Kapelusz dodawał jego wizerunkowi oryginalności, bo poza tym wyglądał zwyczajnie – spodnie z drelichu i czarny podkoszulek.

– Chciałem zatrzymać się tu na kilka dni, może na tydzień...

– Nie wiedziałam, że Jędrzej wynajmował pokoje. – Nie ukrywała zdziwienia. – Ja tego nie robię, przykro mi.

– Wynajmował! A to dobre! – roześmiał się hałaśliwie przybysz. – On pozwalał nocować za darmo. Był prawdziwą opoką wędrownych artystów.

– Pan jest wędrownym artystą?

– Owszem, a konkretnie malarzem. Nie lubi pani artystów? – Postawił ciężącą mu już widać torbę na trawie i położył na niej kapelusz.

– Lubię, czemu nie. Tylko że mieszkam sama i sam pan rozumie, obawiam się wpuszczenia do domu kogoś obcego. A wielu tu nocowało?

– Wielu, bardzo wielu. Dla Jędrzeja nikt, kto miał duszę artysty, nie był obcy – powiedział przybysz z wyraźną naganą w głosie. – Niektórzy tu nawet całą zimę przesiadywali.

– Naprawdę?

– Wątpi pani w słowo artysty? – Uśmiechnął się. – Każdy z kompleksem Stachury mógł

znaleźć tu schronienie – przybrał patetyczny ton.

– Kompleksem Stachury?

– Nie wie pani, kto to był Stachura? – zdziwił się mężczyzna.

– No wie pan, oczywiście, że wiem! – oburzyła się Nadia.

– To dobrze. – Umieścił kapelusz na głowie i podniósł torbę. – Skoro już wiem, jak sprawy stoją, ruszam dalej. Pójdę do wsi, może znajdę jakąś stodołę na nocleg. Wszystkiego dobrego życzę artysta wędrowiec! – Ukłonił się przesadnie i odszedł w stronę wsi.

Nadia odwróciła się i zobaczyła, że kilka kroków dalej stoi Antoś, który najwyraźniej przysłuchiwał się rozmowie. Minę miał zakłopotaną.

– Nie mogłam go przecież wpuścić, Antosiu – tłumaczyła. – Gdzie miałby spać?

– Może w starej oborze? – podpowiedział chłopak.

To był jakiś pomysł. Tyle że pomieszczenia były brudne i zaniedbane. Nadia westchnęła zrezygnowana.

– Coś mi się wydaje, że będziemy mieli jeszcze wielu takich gości, Antosiu. Musimy się dobrze zamykać.

– Przecież oni mieszkali już z Jędrzejem i nic złego nie robili.

– Tak, Antosiu, ale nigdy nie wiadomo, kto tu już był, a kto nie. Nie znam ich. Zawsze może zjawić się jakiś niedobry człowiek i co wtedy?

– To ja muszę porozmawiać z Błażejem – postanowił Antoś. – Powinien wiedzieć, że robi się niebezpiecznie.

– Jak chcesz, Antosiu – odparła zrezygnowana i wzruszyła ramionami. Gdyby Błażeja interesowało to, co dzieje się w Rozstajach, to przyszedłby i zapytał. Tymczasem minął już ponad miesiąc od jego ostatniej wizyty.

– Chodź, Antosiu, pokażesz mi, co dzisiaj narysowałeś. – Objęła chłopca ramieniem i poprowadziła w stronę domu.



Błażej jednak przyszedł. I to już następnego dnia. Zapukał do drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Poruszył klamką, drzwi ustąpiły.

Oczywiście znowu się nie zamknęła, pomyślał ze złością.

Wszedł do środka i parsknął śmiechem. Nadia siedziała nieruchomo przy stole w turbanie na głowie, a na twarzy miała ułożone plasterki ogórka. Nie spodziewał się takiego widoku.

– Nie przeszkadzam? – zapytał, krztusząc się ze śmiechu.

Ruchem ręki wskazała, żeby usiadł, i rozczapierzonymi palcami poinformowała, że jeszcze pięć minut musi trzymać warzywa na twarzy.

– OK. Poczekam. Masz coś zimnego do picia?

– Mmmm – mruknęła twierdząco i nieokreślonym ruchem wskazała spizarnię.

Przyniósł dzbanek i nalał napoju do kubków. Ona tymczasem zdjęła plasterki ogórka z twarzy i popatrzyła na niego badawczo.

– Co cię tu sprowadza?

– Nie zdałem egzaminów na studia, ale w przyszłym roku znów spróbuję – wypalił jednym tchem.

Po wyrazie twarzy poznała, że nie chce o tym rozmawiać, nie zadawała więc dalszych pytań. Błażej zamilkł. Zdjęła ręcznik i zaczęła rozczesywać mokre włosy. Czowała, że chłopak ją obserwuje, jego wzrok stał się po paru chwilach męczący, a w połączeniu z ciszą wprost nie do

wytrzymania. Odrzuciła włosy do tyłu.

– Co cię tu sprowadza? – powtórzyła pytanie. Jakikolwiek był powód jego wizyty, nie zamierzała ułatwiać mu sprawy. W końcu pojawia się i zachowuje, jakby wyszedł wczoraj. Uważała, że ma prawo dać mu do zrozumienia, że nie akceptuje takiego zachowania.

– Antoś powiedział, że nie czujesz się bezpieczna. Załatwiłem ci ochroniarza i towarzystwo na długie jesienne wieczory – powiedział z nutką ironii.

– Chyba żartujesz! – Była oburzona.

Co on sobie myśli, bezczelny chłopak! – pomyślała. Wielki obrońca wystraszonych kobiet. Nikt się mną w życiu nie opiekował, to i teraz nie musi.

– Nie, ani mi to w głowie – odparł Błażej ze złośliwym uśmiechem.

– Nie czuję się samotna i nie boję się o swoje bezpieczeństwo. Przychodzi Antoś...

– Czyżby obudził się w tobie instynkt macierzyński? – przerwał jej. – Sądzę jednak, że potrzebujesz lepszej ochrony niż wyrośnięty dzieciak. I czuję się w obowiązku...

– Dość! – krzyknęła Nadia.

Nie miała zamiaru dłużej tolerować jego zachowania. Protekcyjny ton, chłód i złośliwość w głosie chłopaka całkowicie wyprowadziły ją z równowagi.

– Co ty sobie właściwie wyobrażasz, chłopcze? Przychodzisz tu kiedy chcesz, jak do siebie! A teraz jeszcze pozwalasz sobie na, delikatnie mówiąc, niegrzeczne aluzje. Chcę ci przypomnieć, że nie jestem twoją koleżanką z klasy i wypadałoby zachowywać się wobec mnie nieco grzeczniej, jasne?!

Oparła mocno ręce na stole i pochyliła się w stronę chłopaka. Spojrzała mu w oczy i dobitnie akcentując wyrazy, dodała:

– Nie waż się więcej wtrącać w moje życie. Dzieci powinny pilnować swoich spraw. – Z satysfakcją zauważyła, że uraziło go ostatnie zdanie. – Zabieraj teraz tego człowieka, którego przyprowadziłeś. No, jazda! Ale już!

– Człowieka? Jakiego człowieka?

– Bez dyskusji. – Oczy Nadii rzucały złowrogie błyski.

Prawdziwa czarownica, nie ma co! – pomyślał. I piękna, nawet kiedy się złości.

Gniew Nadii wywołał w nim raczej zachwyt niż chęć odwetu. Jedyne to, że potraktowała go jak dzieciaka, dopiekle mu bardzo. Chciał być dla niej mężczyzną, dbać o jej bezpieczeństwo. Tymczasem ona widziała w nim tylko dzieciaka, który wtyka nos w cudze sprawy.

Poczuł smutek. Pomyślał, że jego marzenia nie mają szans się spełnić. Nie rozumiał, dlaczego tak się rozłościła. Chciał dobrze. Gdzie popełnił błąd? Zależało mu, żeby móc przychodzić do Rozstajów, nawet jeśli spotkania miałyby ograniczyć się tylko do niezobowiązujących rozmów. Poczuł, że musi przemyśleć wszystko jeszcze raz.

– Dobrze, już wychodzę. – Własny głos wydał mu się obcy. – Nie wiem, o jakim człowieku mówisz. To, co przyniosłem, jest na podwórku. Zajmij się nimi.

Nie odpowiedziała.



Własna spiżarnia ją fascynowała. Ile razy do niej wchodziła, choćby tak jak teraz, po dzbanek z mlekiem, nie mogła przez dłuższą chwilę oderwać oczu od półek. Nigdy wcześniej nie miała tylu zapasów. Prawdę mówiąc, gdyby nie pani Helena, to i w tym roku nic nie zrobiłaby. Jednak po grzecznym, ale stanowczym wykładzie dotyczącym zalet posiadania przetworów zgodziła się na wszystko. Teraz nie żałowała nawet tych dwóch tygodni spędzonych na krojeniu,

drylowaniu, mieszaniu i gotowaniu. Dla samego widoku warto było.

Niejeden malarz byłby zachwycony tą orgią kolorów. Na dole zieleń kiszonych ogórków przetykana gdzieniegdzie brązem i żółcią marynowanych grzybów. Nieco wyżej słoje kompotów – wiśnie, truskawki, gruszki i mirabelki. Nad nimi słoiki ze śliwkami w cukrze, marynowana papryka i sałatka warzywna. I schowane w kąciku wiśnie w spirytusie, na poprawę humoru i rozgrzanie, jak mówi pani Helena. Na samej górze to, co najlepsze – konfitury, powidła i smukłe butelki z sokiem malinowym. Tego wszystkiego pilnuje rozparta w kącie prawdziwa dębowa beczka pełna kiszonej kapusty.

Z pewnością nie będę w stanie zjeść tego wszystkiego nawet i przez dwie zimy, rozmyślała Nadia, patrząc na półki, ale przyznaję, że spodobało mi się robienie zapasów. Co ja miałam wziąć? A, mleko! Muszę nakarmić nowych mieszkańców.

Kiedy okazało się, że Błażej przyniósł małego kotka i puchatego szczeniaka, była zła. Nie planowała posiadania zwierząt. No, ale jak tu nie pokochać takich kuleczek?

Trochę już podrosły od tamtej pory. Kot, Wyrzutek, staje się coraz bardziej niezależny, ale Bies, który wygląda na skrzyżowanie wilczura ze sznaucerem, może okazać się naprawdę dobrym stróżem.

W powietrzu czuło się już jesień. Słońce świeciło, ale brakowało mu już letniej siły i intensywności. W powietrzu unosiły się nitki babiego lata, a na polach po złotych kłosach pozostały jedynie rżyska, na których resztkami ziarna pożywiają się ptaki. Antoś przychodził każdego dnia, Błażej też pojawiał się częściej niż latem. Pijali herbatę z dzikiej róży i rozmawiali. Bies wygrzewał się przy kominku, a Wyrzutek, kiedy miał dobry humor, wskakiwał Nadii na kolana, domagając się pieszczot.



Wpatrywała się w metronom stojący na biurku tuż przed nią. Zastanawiała się, jaki cel mają te miarowe uderzenia. Czy to, że denerwowały ją coraz bardziej, znaczy, że jest chora? Miała ochotę chwycić urządzenie i rzucić nim w podłogę, żeby raz na zawsze ucichło. Opanowała się resztkami sił. Miarowy głuchy dźwięk odbijał się echem po pustych ścianach gabinetu.

Co ja tu robię? – pomyślała, wpadając w panikę. Po co właściwie przyszłam? Sięgnęła do torebki i wyjęła papierośnicę.

Lekarz podniósł głowę znad czystej kartki leżącej na blacie biurka i spojrzał jej prosto w oczy.

– Proszę nie palić. – Głos miał cichy i spokojny, pozbawiony emocji. – Palenie szkodzi. Będzie pani miała brzydką cerę i słabe włosy – tłumaczył, jakby mówił do dziecka. – Ja nie palę i nigdy nie paliłem.

A i tak czuprynę straciłeś, odpowiedziała w myślach, patrząc na łysinę okoloną resztkami włosów.

– Łysienie u mężczyzn zależy od jeszcze wielu innych czynników – wyjaśnił lekarz, a ona pomyślała, że chyba czyta w jej myślach.

– Przepraszam – bąknęła, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

– Za co?

– Nie wiem – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Nie ma potrzeby przepraszać, jeśli nie ma się poczucia winy – wyjaśnił lekarz, wcale nie zmieniając tonu ani wysokości głosu. – To zwykle oszustwo. Jaki ma pani problem?

– Nie daję sobie już rady.
– Z czym?
– Ze wszystkim.
– Taaak. – Lekarz przyjrzał się jej uważniej, a ona poczuła się naprawdę chora. – A może to pani jakoś uściślić?

– To długa historia...
– Proszę śmiało, bez obaw. – Zachęcił Nadię uśmiechem, w którym, tak jak w głosie, nie było żadnych emocji. – Jestem od tego, żeby słuchać, a poza tym, jak pani wie, honorarium liczone jest za czas wizyty.

Westchnęła zrezygnowana. Dobrze, skoro już tu jest i skoro słono płaci za spędzony tu czas, spróbuje opowiedzieć lekarzowi o swoich problemach i wątpliwościach.

– Chyba nie umiem już żyć w tym świecie... – zaczęła, a potem nagle, ku zdziwieniu jej samej, słowa zaczęły wypływać coraz szybciej i szybciej. Czuła, że to, co mówi, jest chaotyczne, nieprzemysłane, że przeskakuje z tematu na temat, potem cofa się do poprzedniej myśli, ale nie mogła nad tym zapanować. Słowa płynęły nieprzerwanie, patrzyła na twarz lekarza, obawiając się, że zaraz zobaczy na niej diagnozę: chora. Ten jednak pozostawał niewzruszony.

Straciła poczucie czasu, minuty i godziny przestały mieć znaczenie. Coś w niej pękło, musiała wszystko z siebie wyrzucić.

Teraz to z pewnością zamkną mnie w domu bez klamek, pomyślała i nagle poczuła w głowie pustkę. Zamilkła tak samo nagle, jak nagle zaczęła mówić.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Jeśli nie liczyć oczywiście stukania metronomu.

– Czy może pan to zatrzymać?! – Nie umiała pohamować agresji.
– To pani nie uspokaja? – Lekarz znów utkwił w niej przenikliwe spojrzenie.
– Przeciwnie! Zaraz chyba oszaleję!
– Rozumiem. – Ręka mężczyzny powędrowała w stronę urządzenia i stukanie wreszcie ucichło.

Gówno rozumiesz! – pomyślała ze złością. Lekarz tymczasem zanotował coś na kartce, a następnie odłożył ołówek. Zauważyła, że zrobił to niezwykle dokładnie, tak że ostro zatemperowany czubek tworzył wraz z czubkami innych przyborów do pisania idealnie prostą linię.

– Proszę pani, świat niestety nie jest taki, jakbyśmy chcieli. Wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę wcześniej czy później. Jedni po dokonaniu tego odkrycia po prostu się dostosowują i ci mają właściwie problem z głowy. Inni, i pani do nich należy, próbują ze światem walczyć...

Lekarz mówił, ale ona nie słuchała. Gładkie, jednostajne zdania nie były w stanie trafić do jej umysłu. Odnosiła wrażenie, że lekarz recytuje wyuczone na pamięć formułki. Zresztą były to same frazesy i takie niby-prawdy, które znają wszyscy i nikomu jeszcze nie pomogły.

– ...nie ponosi pani winy za to, że inni marnują swoje życie. Zresztą nigdy nie będzie pani wiedziała, czy jest im z tym dobrze, czy źle...

Bła, bła, bła, pomyślała, bła, bła, bła.

Od początku wiedziała, że wizyta u psychiatry nie ma sensu. Zrobiła to, żeby nie mieć pretensji do siebie samej, że coś zaniedbała. Jak obcy człowiek, który widzi ją po raz pierwszy może rozwiązać problemy, z którymi ona boryka się tak długo? Jak człowiek, który układa ołówki równo co do milimetra i czubkami w jedną stronę, może zrozumieć, że czyjeś życie to chaos i bałagan? Jak kogoś może uspokajać metronom? No jak?!

– Powinna pani gdzieś wyjechać, odpocząć, nabrać dystansu. To wszystko jest spowodowane nadmiarem obowiązków i stresem. Trzeba się zrelaksować, może jakieś ciepłe kraje? Stać panią na to przecież...

To były pierwsze słowa, które trafiły jej do przekonania. Wyjechać, nabrać dystansu – to brzmiało dobrze.

Wstała, potrącając krzesło, które przeraźliwie zazgrzytało o podłogę. Już czuła się dobrze. Jak zawsze, kiedy wiedziała, co ma robić.

– Gdzie mogę uiścić rachunek? – spytała, przerywając lekarzowi w pół słowa. – Nie chcę dłużej marnować pańskiego cennego czasu. Inni potrzebujący pewnie czekają z niecierpliwością. – Miała nadzieję, że wyraźnie ironiczny ton tej wypowiedzi zdenerwuje lekarza.

– Rachunek wypiszą w recepcji. Tam też może pani ustalić termin następnej wizyty. – Wydawać by się mogło, że tego człowieka nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi. – Widzę, że pani czuje się lepiej. Cieszę się, że mogłem pomóc – dodał jeszcze.

Pożegnała się i po wyjściu z gabinetu pokręciła z niedowierzaniem głową. W recepcji czekał już gotowy rachunek, więc formalności załatwiła szybko za pomocą karty kredytowej. Z ulgą opuściła przychodnię.



Wieczorem zadzwoniła do sekretarki i poinformowała, że nazajutrz nie będzie jej przez cały dzień. Później wzięła kilka tabletek, bo chciała, żeby noc minęła jak najszybciej. Następnego dnia rano złożyła wizytę pośrednikowi w handlu nieruchomościami. Potem pozostała już tylko jedna sprawa do załatwienia.

Mężczyzna był bardzo zaskoczony. Wylewnie i chyba szczerze dziękował w imieniu swoim i rodziny za daną mu szansę. Przyznał też, że nie spodziewał się takiej decyzji.

– Jesteś najlepszym fachowcem, jakiego znam – ucięła krótko. – Muszę wyjechać, a chcę, żeby firmą w tym czasie zarządzał ktoś, kto wie, co robi i ma silną motywację. Twoje wynagrodzenie będzie zależało od zysków, więc myślę, że cię to zachęci do dobrej pracy.

Teraz patrząc na tego, który kiedyś tak ją pociągał i zaprzętał myśli, czuła jedynie niesmak. Nie chciała wracać do tamtych chwil, nie chciała go widzieć. Jedynym powodem do radości było to, że wreszcie czuła się wolna. Postąpiła zgodnie ze swoim sumieniem i mogła wyjechać.

– Jeśli to będzie córka, dam jej na imię Nadia – zadeklarował mężczyzna, upojony wizją dobrej posady i perspektywą dostatniego życia.

– Lepiej nie. Nie podoba mi się ten pomysł – odparła chłodno i bez pożegnania opuściła mieszkanie człowieka, który zupełnie nieświadomie już drugi raz zmienił jej życie.

- Uszanowanie pani! Nie za wcześnie jestem?
 - Nie, proszę, niech pan wejdzie.
 - Sołtys mówił, że pani remont chce robić.
 - Niezupełnie. Mam pewien pomysł, tylko pan musi mi doradzić. Nie znam się na tym zupełnie i nawet nie wiem, czy to się da zrobić.
 - Wszystko się da. Pani się nie martwi.
- Nadia poprowadziła Stolarza w stronę zabudowań gospodarczych.
- Widzi pan, chciałabym z tych budynków zrobić pomieszczenia mieszkalne. Proste, ale wygodne. I żeby w zimie dało się mieszkać.
- Mężczyzna dokładnie obejrzał pomieszczenia. Przyglądał się stropom, dotykał ścian. Szeptał coś sam do siebie, raz potakując, raz kręcąc głową przecząco. Nadia była nieco zaskoczona. Z opowiadań sołtysa o krzepie Stolarza sądziła, że ujrzy postawnego i pewnego

siebie mężczyzną. Tymczasem człowiek ten okazał się niewysoki i dosyć szczupły. Ręce miał żyłaste i nawykłe do pracy, twarz ogorzałą i poraną zmarszczkami.

– Można zrobić tak – orzekł, zakończywszy oględziny – dwa pokoje w oborze, dwa w kurniku i jeden w królikarni. Każdy na dwie osoby starczy. Łazienka wspólna, z szopy. Dziesięć osób się prześpi. Wystarczy?

– Nie wiem – szczerze odpowiedziała Nadia. – Sądzę, że tak. A światło, woda, ogrzewanie? Nie będzie z tym kłopotu?

– Pani się nie martwi.

– Od kiedy mógłby pan zacząć?

– Od dzisiaj.

– Doskonale. Tylko najpierw musimy ustalić zapłatę, prawda?

– Pani się nie martwi. Nie wezmę dużo. Dobrym ludziom tanio robię.

– A skąd pan wie, że jestem dobra? Przecież pierwszy raz mnie pan widzi. – Roześmiała się.

– Hela czasem opowiadała, to wiem, że jest pani w porządku.

– To pan jest mężem pani Heleny? – zorientowała się Nadia. – Pan Tadeusz, prawda?

– Zgadza się.

– Przepraszam, nie wiedziałam. Sołtys mówił o panu: Stolarz.

– Tak na mnie mówią, chociaż ja nie tylko stolarz, ale i murarz, dekarz, malarz.

Wszystkiego po trochu.

– A da pan radę ze wszystkim? Sam, bez pomocy?

– Pani się nie martwi. Jakby co, Błażeja do pomocy wezmę. On tu przecież często jest. –

W głosie Stolarza nie było złośliwości, po prostu stwierdzał fakt.

Podszedł do belki podtrzymującej dach obory i popukał palcem w drewno.

– Zdrowe – stwierdził. – Pani chce tu wędrowców przyjmować? – spytał wprost.

– Tak. Myśli pan, że nie powinnam?

– Niektórym się to podobać nie będzie. – Potarł siwy zarost na policzku zgrubiałym palcem. – A jak pani chce znać moje zdanie, to dobrze pani robi. Jędrzej byłby zadowolony.

– Dobrze pan go znał?

– Znałem. Czy dobrze, to nie wiem, ale razem jako dzieciaki po tym lesie ganiailiśmy. –

Uśmiechnął się do swoich wspomnień. – Nieraz ode mnie oberwał po nosie. Młodszy był to i siły mniej miał...

– Jędrzej był młodszy od pana? – zdziwiła się Nadia. – Myślałam, że to był staruszek...

– E tam. Ledwie piąty krzyżyk przekroczył i zaraz się na tamten świat przeniósł.

– Chorował na coś? Pewnie nowotwór? – próbowała zgadywać.

– Nie.

– To co? – uparcie starała się wyciągnąć więcej informacji.

– Czasami człowiek po prostu chce umrzeć. I umiera. To lepsze niż żyć na siłę, bez chęci.

– Spojrzał spod oka na Nadię. – Pani to nie grozi. Ma pani jeszcze coś do zrobienia, prawda?

– Skąd pan wie?

– Pani się nie martwi. Wszystko będzie dobrze, trzeba wierzyć.



Praca przy budowie szła gładko. Z podziwem patrzyła na postępy. Stolarz był naprawdę godnym polecenia fachowcem. Pracował cały dzień, robiąc tylko jedną przerwę – w południe.

Wtedy pani Helena przynosiła mu obiad. Jadł, a ona patrzyła. Kończył, całował żonę w policzek, mówiąc: „Dziękuję, Helu”, i wracał do pracy.

Teraz tynkował wnętrze budynku. Na podwórku był tylko Błażej, który rąbał jakieś zbędne kawałki drewna na mniejsze polana. Od dłuższej chwili patrzyła, jak kładzie drewno na pniu, podnosi siekierę i precyzyjnie uderza, rozłupując kawałek na niemal jednakowe części.

– Coś dla pani narysowałem. – Antoś podsunął jej kartkę przed oczy, zasłaniając podwórko.

Odsunęła kartkę nieco dalej od oczu i spojrzała. Rysunek przedstawiał mężczyznę rąbiącego drewno. Unosił siekierę, a mięśnie napinały się, tworząc wyraźny rysunek widoczny przez koszulkę.

– To Błażej – wyjaśnił Antoś, chociaż ona od początku doskonale wiedziała, kto był na rysunku.

– Ładnie, Antosiu, schowaj go do teczki.

– Ale to dla pani – zaprotestował chłopiec. – Pani lubi Błażeja i jak go nie ma, to pani jest smutna. Ja nie chcę, żeby pani była smutna. Błażej pójdzie, to pani popatrzy na rysunek i nie będzie się smuciła – tłumaczył swoje intencje najlepiej, jak potrafił.

– Pleciesz, Antosiu, co ci ślina na język przyniesie – powiedziała szybko i popatrzyła na pracującego chłopaka, chcąc sprawdzić, czy słyszał. Wyglądało na to, że nie, bo wciąż rąbał, nie przerywając pracy. – Leć, Antosiu i zobacz, może pan Tadeusz potrzebuje pomocy.

Antoś pobiegł do obory, a ona wzięła rysunek i zaniósła na górę.

Wbrew temu, co sądziła, Błażej słyszał wszystko. Położył na pniu kolejny kawałek drewna, uśmiechnął się do siebie i uderzył.



Postawiła wazon pełen jesiennych kolorowych liści na stole. Cofnęła się, aby z daleka przyjrzeć się swemu dziełu. Pokręciła głową z niezadowoleniem, podeszła do stołu i poprawiła bukiet. Tak, teraz było już dobrze.

Jesień na dobre zadomowiła się w Zabyciu. Do Rozstajów weszła niepostrzeżenie, pachnąc grzybami i szeleszcząc liśćmi. Była kolorowa, pełna złocistości i czerwieni, nie taka jak jej szary i ponury miejski odpowiednik.

Nadia poczuła, że zmarzły jej stopy. Próbowwała każdego dnia walczyć o swoją bosą niezależność, ale jesień była nieubłagana. W końcu nie było wyjścia – Nadia musiała ustąpić. Dziś także poczuła, że dłuższy upór może zakończyć się przeziębieniem, więc przysiadła na krześle i naciągnęła grube wełniane skarpety. Wyciągnęła stopy przed siebie i poruszała palcami. Bies podniósł głowę, przypatrując się ciekawie poczynaniom swojej pani.

– Twarzowo wyglądają, co? – Zwróciła się do psa. – A może raczej stopowo? – Zaśmiała się ze swojego pomysłu.

Pies ziewnął i odwrócił łeb.

Nadia podeszła do okna. Oczekiwała powrotu Wyrzutka, który rano domagał się wypuszczenia, a kiedy tylko uchyliła drzwi, czmychnął i dotąd się nie pojawił. Październikowe mgły ścieliły się pasmami na polach i łące. Dziś chyba wcale nie miały zamiaru się podnieść. Wśród mgły dostrzegła niewyraźną postać, która raz po raz znikwała w mlecznym powietrzu.

Może to pani jesień spaceruje po polach – rozmarzyła się. – O ile oczywiście pani jesień nosi różowe sweterki z futerkiem i obcisłe spodnie, udające skórę zebry, w co osobiście wątpię, dodała w myślach, kiedy postać wynurzyła się z mgły i Nadia ujrzała ją wyraźnie.

– Będziemy mieli gościa – poinformowała psa, który nie zareagował w żaden sposób na jej słowa.

– Proszę! – krzyknęła już po pierwszym stuknięciu do drzwi. Ponieważ nie otworzyły się, podeszła i wpuściła do środka dziewczynę.

– Miło panią widzieć – zagadnęła serdecznie, bo dziewczyna była wyraźnie onieśmielona. – Proszę usiąść, zrobię coś do picia. Cieszę się, że pani mnie odwiedziła.

– A ja nie. Ja się wcale nie cieszę – powiedziała przybyła. – Nie chcę pani w ogóle oglądać na oczy. I pani herbaty też nie chcę.

– To dlaczego pani przyszła?

– Przyszłam, żeby powiedzieć, że ja kocham Błażeja, on jest mój i żeby pani go zostawiła w spokoju – wyrecytowała jednym tchem, opuściła głowę i zaczęła głośno szlochać.

Nadia zrozumiała, że oto ma przed sobą rozhisteryzowaną nastolatkę zakochaną w innym nastolatku, która oskarża ją o romans z wybrankiem jej serca.

Koniec świata! – pomyślała. Trzeba ją uspokoić.

– Niech pani nie płacze. Makijaż się pani rozmaże – podziałało, chociaż i tak było za późno, bo policzki dziewczyny zdobiły już czarne kreski. Nadii zrobiło się jej żal. Usadziła ją w fotelu przed kominkiem i podała chusteczkę.

– A więc pani uważa, że z Błażem łączy mnie coś więcej niż przyjaźń?

– Ludzie tak mówią... – chlipnęła.

– Pani Mirko, bo tak pani chyba ma na imię. – Dziewczyna potaknęła. – Zawsze pani wierzy w to, co ludzie mówią? Może i z Antosiem mam romans? – To miał być dowcip, który rozbawi dziewczynę, ale ona odpowiedziała poważnie:

– E, on to chyba za głupi dla pani...

O, nie! Zupełna katastrofa intelektualna, pomyślała Nadia, ale postanowiła kontynuować i jak najszybciej pozbyć się dziewczyny.

– Widzę, że wreszcie zaczyna pani myśleć samodzielnie. Proszę się zastanowić, jestem dużo starsza od Błażeja, on nie jest dla mnie partnerem do romansu. Skąd pani to przyszło do głowy?

– Bo wcześniej to codziennie do sklepu zaglądał. Rozmawiał ze mną i się uśmiechał. Sama pani Ania mówiła. A teraz to tylko cały czas w Rozstajach siedzi i nawet nie przyjdzie do sklepu. – Znowu się rozsłochała i wycierając oczy chusteczką, rozmyślała tusz po całej twarzy. – Ja go kocham! Bardzo! I jakby on był z inną, to ja się chyba zabiję! To chciałam pani powiedzieć! Że mnie pani będzie miała na sumieniuuuuu!

Nieźle! Nadię coraz bardziej irytowała ta egzaltowana dziewczyna. Jednakże jej poziom intelektualny wskazywał, że bez wątpienia gotowa jest na zrobienie podobnej bzdury. Potrzebna była tu porządna terapia wstrząsowa połączona z solidną porcją perswazji. Wiedziała, jak to zrobić. Wzięła dziewczynę pod rękę, zaprowadziła do łazienki i zmusiła do spojrzenia w lustro.

– Spójrz, dziewczyno, jak ty wyglądasz. W takim stanie żaden chłopak na ciebie nie spojrzy. Umyj całą twarz, tu są moje kosmetyki – weź i zrób makijaż na nowo. I przestań wreszcie płakać.

Dziewczyna posłuchała bez protestów. Nadia westchnęła z rezygnacją, widząc, jak tamta rysuje grube kreski wokół oczu. Nie miała pojęcia o zasadach makijażu, tak jak zresztą o doborze stroju. I ona chciała być z Błażem! Przecież to największa bzdura, o jakiej Nadia słyszała od czasu przyjazdu. Musiałby być chyba ślepy, żeby zainteresować się tą dziewczyną, bo o taki gust go nie posądzała. Widząc, że dziewczyna kończy, przysiadła na brzegu wanny i rozpoczęła wykład:

– Posłuchaj mnie, kobiety starszej od siebie i bardziej doświadczonej. Nie zdobędziesz

mężczyzny, jeśli będziesz go prześladować. Oni nie lubią takich kobiet, chcą sami zdobywać. Nie pokazuj nigdy, jak bardzo ci zależy. Za nic. To po pierwsze. A po drugie, to nie warto poświęcać życia dla kogoś, kto cię nie kocha. Jeżeli jest wam pisane wspólne życie, to tak będzie, a jeżeli nie, to trudno. Chciałabyś, żeby Błażej był z tobą z litości albo ze strachu?

To, co powiedziała, było stekiem banałów i frazesów godnym rubryki z poradami w miernym piśmie dla nastolatek. Przeczucie podpowiadało jej jednak, że będzie zupełnie odpowiednie dla tej dziewczyny. I nie myliła się. Mirka słuchała uważnie, przez chwilę milczała, a później tonem osoby, której objawiła się nowa prawda, powiedziała:

– Ma pani rację. Dziękuję. Do widzenia.

– Proszę bardzo. – Nadia była ubawiona całą sytuacją i zadowolona, że tak szybko udało się jej pozbyć niewygodnego gościa.

Odprowadziła Mirkę do drzwi. Ta zatrzymała się jeszcze z ręką na klamce.

– Mogę mieć do pani prośbę?

– Słucham?

– Czy mogłaby pani porozmawiać z nim o mnie? Jakoś go zachęcić, żeby przyszedł do sklepu. Ja tam będę czekała taka niedostępna, jak pani mówiła...

O, głupoto porażająca! Ona tam będzie czekała niedostępna! Mój ty Boże!

– Dobrze, porozmawiam z nim przy okazji.

Z ulgą zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Błażej miałby spotykać się z tą głupią dziewczyną ubraną w róże i zebry? Po jej trupie! Szkoda chłopaka. Ładny, mądry... O czym miałby z nią rozmawiać, z tą czekającą niedostępna? Akurat! Pasuje do niego jak wół do karety. A co będzie, jeśli zechce? – poraziła ją nagła myśl. – W końcu jest młoda, jego rówieśnica. Trudno, obiecała. Dotrzyma słowa i porozmawia o tym z Błażejem.



Od czasu zakończenia remontu Nadia każdego dnia wypatrywała gości. Oczekiwała ich, choć jednocześnie obawiała się, czy jej pomysł był dobry, czy wędrowcy go zaakceptują. Nikt nie przyjeżdżał. Co dzień wietrzone i ogrzewane pokoje stały puste, a ona martwiła się brakiem mieszkańców. Może sierpniowy gość, malarz, rozpuścił pogłoskę, że Rozstaje nie przyjmują już wędrowców?

W połowie października przekonała się, że jej obawy były płonne.

Pojawiali się w pojedynkę, parami, a nawet w większych grupach. Wszystkie miejsca w pokojach były zajęte, czasami bywało, że nocowało nie dziesięć, ale piętnaście, a nawet dwadzieścia osób. Przyjeżdżali i wyjeżdżali, niektórzy po kilku dniach, inni po tygodniu. Była jednak stała sześciuosobowa grupa, która najwyraźniej zadomowiła się w Rozstajach i zamierzała spędzić tu zimę.

Wędrowcy byli różni: starzy i młodzi, brodaci, długowłosi, czasami wygoleni. Malarze, poeci, muzycy i zwyczajne obieżyświaty. Wędrowcy z wyboru, dla idei lub z przymusu. Nosili dredy, kolczyki w nosach lub koraliki. Jedni lubili filozofować, inni śpiewać, a jeszcze inni milczeli. W większości wędrowali mężczyźni, choć zdarzały się i kobiety. Nadia zauważyła, że kobiety traktują wędrowkę jako przygodę, odmianę przed późniejszą stabilizacją. Dla mężczyzn był to raczej sposób na życie, wyraz ich poglądów i, jak to określił sierpniowy malarz, kompleks Stachury.

Nadia gościła ich tym chętniej, że w większości byli to ludzie inteligentni, z fantazją, po prostu ciekawi. Każdy z nich miał swoje dziwactwa, ale zawsze potrafili się dogadać. Szybko

zaakceptowali Nadię jako gospodynię i chociaż niczego od nich nie wymagała, starali się odwdziżyć za gościnę. Przynosili drewno, rozpalali w piecu, a czasami układali na jej cześć zabawne piosenki lub wiersze, które wyśpiewywali podczas wspólnych kolacji.

Wędrowcy mieli ciągle kłopoty finansowe, więc Nadia prawie każdego dnia zapraszała ich na talerz gorącej zupy lub kolację. Bardzo lubiła wspólne wieczory, podczas których dom ożywał; przy stole dyskutowano o literaturze, sztuce i muzyce, a czasami po prostu żartowano z siebie nawzajem przy szklaneczce wina. Nadii, jako gospodyni, przysługiwało szczególne traktowanie, więc czuła się główną bohaterką każdego wieczoru.

Była szczęśliwa i zadowolona. Z wędrowcami zima wydawała się łatwiejsza do przetrwania.

Odkąd przybyli pierwsi wędrowcy, Błażej nie przychodził każdego dnia. Pojawiał się jednak co kilka dni i zostawał na cały wieczór. Nigdy nie brał udziału w zabawie ani w dyskusjach. Siadał w fotelu przed kominkiem i czytał lub bawił się z Biesem. Nie nawiązywał bliższych znajomości z wędrowcami, ale znał imię każdego z nich. Czasami Nadia podczas śmiechów i zabawy napotykała jego spojrzenie. Za każdym razem było w nim coś takiego, co sprawiało, że poważniała.



O obietnicy danej Mirce Nadia przypominała sobie dopiero po kilku tygodniach, kiedy jeden z wędrowców wspomniał o wizycie w sklepie, jego właścicielce i zastraszonej pracownicy. Konieczność rozmowy z Błażem na temat dziewczyny budziła w niej niesmak, ale obietnica jest obietnicą. Podczas jednego z wieczorów podeszła do Błażeja i poprosiła, żeby odwiedził ją następnego ranka. Zgodził się, ale niechętnie, co zapowiadało dodatkową trudność rozmowy.

Następnego ranka Nadia z daleka zobaczyła idącego chłopaka i poczuła, że nie wie nawet, jak zacząć. W desperacji postanowiła przedstawić sprawę wprost. Gdy tylko Błażej przestąpił próg i zakończył rytuał powitania z Biesem, zaczęła:

– Podobno nie bywasz teraz w sklepie. To prawda?

– Tak. – Nie zamierzał widać ułatwić jej zadania.

– Słyszałam, że zachodziłeś do Mirki, która tam sprzedaje, a teraz przestałeś. Czy to też prawda?

– Nieprawda. Chodziłem po chleb dla ciebie. – Siedział na krześle i wyglądał na zupełnie spokojnego i rozluźnionego.

Ona natomiast była z każdą chwilą bardziej zdenerwowana i zirytowana. Nie miała pojęcia, jak poprowadzić dalej tę rozmowę.

– Jak mogłaś sądzić, że chodzę tam do tej głupiej, wystraszonej dziewczyny? A może jesteś zazdrosna? – Uśmiechnął się lekko, a w jego oczach zobaczyła kpinę.

– Zazdrosna? Daj spokój! Była tu i oskarżyła mnie, że zabieram jej chłopaka. Groziła nawet samobójstwem. Wytlumaczyłam jej, że nic nas nie łączy, i obiecałam porozmawiać z tobą. To wszystko.

– To wszystko? – Nadal był bardzo spokojny, ale kiedy podnosił filiżankę do ust, zobaczyła, że drży mu ręka.

– Może odwiedzisz ją jednak? To nie jest zła dziewczyna, stara się być miła... Powinieneś więcej czasu spędzać z rówieśnikami, a nie siedzieć tutaj z ludźmi, którzy w większości młodość mają już za sobą.

– Rozumiem, że mam więcej nie pokazywać się w Rozstajach?

– Nie, nie o to mi chodziło. Po prostu widzę, że niezbyt dobrze bawisz się, spędzając tu wieczory. Może powinieneś spotykać się z jakąś dziewczyną?

Błażej wstał. Podeszedł do niej i położył jej ręce na ramionach. Nadia poczuła się niepewnie, czując, jak silnie zacisnęły się jego dłonie.

– Posłuchaj. I nie przerywaj mi. Ja nie przychodzę się tu bawić. Nie sprawia mi przyjemności patrzeć na to, jak z radością przyjmujesz tanie komplementy tych niby-artystów. Nie lubię, kiedy pijesz, a później jesteś taka głupio wesoła. Przychodzę tu tylko dlatego, żeby cię pilnować. Muszę wiedzieć, że wszystko jest w porządku. Nie mogę niczego ci zabronić, więc muszę przynajmniej nad tobą czuwać.

Nadia otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale chłopak jeszcze mocniej ścisnął jej ramiona, więc nie powiedziała nic.

– I nie mów mi więcej o Mirce ani żadnej innej dziewczynie. Ja już znalazłem miłość. Może nieszczęśliwą, ale moją, i nie mam zamiaru z niej zrezygnować. Myślałem o tym długo, chciałem nawet zapomnieć, ale nie potrafię. Kocham cię, Nadiu, i dziwię się, że wcześniej tego nie dostrzegłaś.

Opuścił ręce i podeszedł do okna. Nadia nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Była zaskoczona i zdezorientowana.

– Błażej, myślałam, że ustaliliśmy już zasady naszej znajomości. To, co powiedziałaś, pochlebia mi, ale...

– Ty ustaliłaś – przerwał, nie odwracając się – nie ja. I wiem, co chcesz powiedzieć. Tylko że ja nie jestem już dzieckiem. Może to byłoby dla ciebie wygodnie, ale nie jestem. Zmieniłem się. Dużo w tym twojej zasługi.

Spojrzała na niego uważnie. Miał rację. Nie widziała już tego roześmianego nastolatka, który przyjechał na rowerze, żeby wnieść paczki. Teraz było w nim coś nowego. W jego postawie, ruchach, spojrzeniu. Zachowywał się inaczej i mówił inaczej. Stał się mężczyzną.

– Błażej – powiedziała bezradnie – tu nie chodzi o twój wiek...

– A więc o co?

– Przykro mi, nie mam zamiaru wiązać się z nikim. Nie chodzi o ciebie, ale o mnie.

– Nie rozumiesz, że tu nie chodzi o żaden związek ani układ – zaczął się chłopak. – Tu chodzi o uczucie. Uczucie! O to, co do mnie czujesz... – Odwrócił się gwałtownie. – Powiedz mi prawdę!

– Lubię cię, Błażej. Ale to nie miłość. Nie kocham cię, przykro mi.

– Nie musi ci być przykro. – Sięgnął po kurtkę wiszącą obok drzwi. – Rozumiem. Mam nadzieję, że mogę tu czasami przychodzić?

– Oczywiście, jesteś zawsze mile widzianym gościem. – Czowała, że to, co powiedziała, było sztuczne i niewłaściwe, ale nie potrafiła wymyślić nic lepszego.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie za mężczyzną, który przed chwilą wyznał jej miłość. Nadia usiadła, zakryła twarz rękami i rozpłakała się bezgłośnie. Wszystko znowu było nie tak, jak powinno. Nie chciała głębiej zastanawiać się nad tym, co dzieje się między nią a Błażem. Nie była gotowa na żadne ryzyko. Bała się. Tymczasem musiała dokonać wyboru, choć wcale nie była gotowa na ponoszenie konsekwencji swojej decyzji.

II. Stawko



Pojawił się nagle. Wyszedł wprost z jesiennej mgły w październikowy poranek. Zastukał do drzwi, gdy nalewała kawę do kubka. Kubek był kremowy, malowany w małe żółte różyczki, kawa gorąca, a Nadia zamyślona.

– Proszę wejść – powiedziała, nie patrząc nawet w stronę drzwi.

– Ładny kubek – usłyszała.

– Mój ulubiony. – Niespiesznie dokończyła nalewanie, uzupełniła kubek mlekiem i dopiero wtedy odwróciła się w stronę gościa.

Stał w drzwiach, wysoki, szczupły, z włosami opadającymi w nieładzie na ramiona.

– Przyszedłem. Mogę wejść?

Skinęła głową. Mężczyzna rzucił niedbale przy drzwiach niewielki plecak.

– Napijesz się kawy? – spytała Nadia.

Po kilku godzinach rozmowy czuła, jakby znali się od dawna, jakby czekała na niego,

a jego pojawienie się było zupełnie naturalnym dopełnieniem jej życia. Spytała więc po prostu:

– Może zostaniesz?

– Jeśli pozwolisz... – Podrapał się po nieogolonym policzku.

– Pozwolę. – Roześmiała się.

I tak Sławko został w domu Nadii. Nie pytała, skąd przyszedł, kim jest. On także o nic nie pytał. Przeszłość wydawała się nie istnieć. Nadii wystarczało, że był.



Listopad przyniósł ze sobą smutek i zadumę. Już w pierwszych dniach z pomocą silnego wiatru огоłocił drzewa. Połączył w jedno popołudnia i wieczory, poranki bywały wilgotne lub mroźne. Nastrój udzielił się nawet wędrowcom, którzy ucichli i przemykali przez podwórze zadumani, w ciepłych swetrach.

Pierwszego listopada Nadia wybrała się na cmentarz, żeby odwiedzić Jędrzeja. Poszła późnym wieczorem, żeby uniknąć spotkania z ludźmi. Jej lampka była druga na kamiennej płycie. Domyślała się, kto zapalił pierwszą. Stała dłuższą chwilę przy grobie i rozmyślając, wpatrywała się w migoczące światełka. Pod tym kamieniem leżał człowiek, który miał odwagę i podjął próbę życia zgodnie z własnymi marzeniami. Tak jak ona. W końcu jednak poddał się, przestał wierzyć w swoje marzenia i odszedł. Nie został zapomniany. Tak jak na jego szczątkach wyrastają rośliny, karmią się nimi korzenie drzew, tak z jego mądrości korzystają inni – Błazej, Antoś, ona sama. I próbują żyć po swojemu, szczęśliwie. Może im się uda doprowadzić życie do szczęśliwego końca. A jeśli i oni przestaną wierzyć, tak jak wielu przed nimi?

Nadzi przyszło do głowy, że powinno się jakoś upamiętnić tych, którzy wierzyli w coś, mieli marzenia i plany, a potem stracili swoją wiarę i żyją bez niej, nieszczęśliwi, bo nie potrafią umrzeć. Trzeba powiedzieć o nich innym ludziom, żeby wiedzieli, że ktoś próbował, żeby sami też próbowali. I tak jak śmierć rodzi nowe życie, tak umarłe dusze pomogłyby stworzyć nowe, aby kontynuowały ich dzieło. Aż komuś w końcu się uda. Tylko jak to zrobić?

Nadia szczerzej otuliła się chustą. Czuła, że myśl, która przyszła jej do głowy, jest szczególnie ważna. Miała już cel. Nie знаła tylko drogi do niego.



Zanim otworzył oczy, pomacał ręką drugą stronę łóżka. Była pusta, a to oznaczało, że Nadia już wstała. Nadal nie podnosił powiek, gdyż wiedział, że będzie to bolesne. Już teraz czuł, że jego głowa waży chyba tonę. Poprzedniego wieczora nie żałował sobie alkoholu, więc nie liczył, że jego samopoczucie poprawi się przed wieczorem. Dręczyło go pragnienie, więc zdecydował się na opuszczenie łóżka. Usiadł i rozejrzał się dokoła. Otwarte okno wpuszczało do środka zimne powietrze, które wywoływało gęsią skórkę, ale łagodziło nieco ból głowy.

Zszedł na dół, gdzie zastał Nadię siedzącą przy kominku z Antosiem. Chłopak pokazywał swoje rysunki, a ona coś mu tłumaczyła.

Diabli nadali znowu tego głupka, pomyślał. Nie będę przecież przy nim się tłumaczył.

Nie lubił Antosia, bo nie wiedział, jak z nim rozmawiać ani czego można się po nim spodziewać. Nie rozumiał przywiązania Nadii do tego pomyłonego chłopaka, dziwił się, że ma taką cierpliwość do jego głupich odzywek i ciągłych pytań. Miał nadzieję, że uda mu się przemknąć do łazienki tak, aby go nie zauważyli.

– Dzień dobry panu – usłyszał. – Musiał pan się bardzo wczoraj zmęczyć, bo tak długo pan spał.

Znowu nie wiedział, czy chłopak naśmiewa się z niego, czy też jest taki naiwny. Irytacja wzmogła ból głowy. Nie odpowiedział więc.

Spędził w łazience dłuższą chwilę, trzymając głowę pod strumieniem zimnej wody. Trochę pomogło. Kiedy wyszedł, Nadia poprawiała chłopcu szalik pod szyją.

– Do widzenia, Antosiu – pożegnała go. – Dziś będę zajęta, więc możesz odwiedzić mnie dopiero jutro.

Nareszcie sobie pójdzie, z ulgą pomyślał Sławko. Najlepiej niech już nie wraca.

Sięgnął po dzbanek z mlekiem, pił długo i łapczywie, kilka kropel pociekło mu po brodzie i kapnęło na podłogę.

– Nie lubię, kiedy pijesz prosto z dzbanka – usłyszał.

Roztarł stopą krople na podłodze. Pora na przeprosiny, uznał. Podeszedł do Nadii, ujął jej dłoń i pocałował.

– Przepraszam. Chyba wczoraj przesadziłem.

Nie odpowiedziała.

– Nie gniewaj się na mnie, nie zniosę tego. – Zrobił błagalną minę, mając nadzieję, że nie będzie musiał zbyt długo kontynuować tej błazenady. Czuł pulsowanie w skroniach i było mu niedobrze.

Na szczęście Nadia nie dała się długo przeproszać.

– Rozumiem, zdarza się. Po prostu dobrze się bawiłeś, a Jędrzejowe wino jest zdradliwe.

Jędrzejowe, znowu Jędrzejowe, pomyślał z rozdrażnieniem. Wszystko tu Jędrzejowe – dom, piec, chleb, wino.

Nie chciało mu się kłócić, zapytał tylko złośliwie:

– A ty czyja jesteś? Też Jędrzejowa?

– Nie. Twoja. Tylko twoja. – Podeszła i przytuliła się do niego.

Poczuł zapach jej włosów i od tej intensywnej woni znowu skurczył mu się żołądek. Delikatnie odsunął ją, udając nagle zainteresowanie teczką z rysunkami. Przerzucił szybko kilka kartek, wziął do ręki wszystkie, usiadł w fotelu i zaczął przeglądać raz jeszcze, tym razem uważniej.

– Te rysunki są niezłe. Naiwne, ale ciekawe.

– Mówiłam ci przecież. Tylko nie chciałeś mnie słuchać.

– Ciiii...– Uciszył ją ruchem ręki. Ból głowy jakby przycichł. Sławko odłożył teczkę i zmierzwił sobie włosy, marszcząc jednocześnie czoło.

– Czy myślałaś kiedyś o tym, żeby spróbować je sprzedać?

– Jak to sprzedać?

– Normalnie, może w jakiejś galerii albo sklepiku. Ludzie lubią ładne obrazki, za parę złotych może kupią...

– Naprawdę tak sądzisz?

Pokiwał głową. Na oko obrazków w teczce było kilkadziesiąt. Chłopak nie jest bystry, więc można oddawać mu parę złotych, a resztę zatrzymać. Jemu wystarczy świadomość, że prace komuś się spodobały.

Można z tego wyciągnąć parę groszy, kalkulował w myślach. Jeżeli oczywiście ktoś to kupi. Jak by się do tego zabrać?

Z pomocą przyszła Nadia, która podchwyciła pomysł.

– Mam znajomą, która prowadzi kameralną galerię. Napiszę do niej i pošlę kilka rysunków z pytaniem, co o nich sądzi.

– Dobry pomysł! – pochwalił Sławko.
– Na razie nic Antosiowi nie powiemy. Jeżeli się uda, będzie miał niespodziankę. – Nadia z uśmiechem planowała. – A pieniądze przydadzą się na nowe bloki. Pomoże trochę rodzinie, bo u nich się chyba nie przelewa, kupi sobie nową kurtkę...
– Powoli, powoli, kochanie – zaprotestował Sławko. – Nie będzie miał z tego aż tak wiele. Zapomniałaś o prowizji.
– Jakoś to załatwię. Opiszę jego sytuację, może uda się ograniczyć prowizję do minimum.
– Nadia była coraz bardziej zaangażowana.
– Myślę o naszej prowizji – wtrącił Sławko, czując, że ból głowy powraca.
– Ty to potrafisz być zabawny! – Roześmiała się. – Gdybym cię nie znała, to mogłabym pomyśleć, że myślisz serio o zarabianiu na tym biednym chłopcu. Idę na górę napisać list. – Pocałowała go w nieogolony policzek. – Drapiesz! – dodała z uśmiechem.
W połowie schodów odwróciła się jeszcze i przechylając głowę, proszącym tonem powiedziała:
– Przejedziesz się jutro na pocztę, żeby to wysłać. Co?
Pokiwał głową zrezygnowany. Taki dobry pomysł diabli wzięli! Suchość w gardle znowu dała o sobie znać. Przymknął oczy, próbując się zdrzemnąć, ale złość nie pozwalała mu zasnąć.
To nie jest mój dobry dzień – pomyślał.



Z czasem Sławko zadomowił się w Rozstajach. Każdego ranka odwiedzał pozostałych wędrowców, którzy zupełnie naturalnie przyjęli jego obecność i zaakceptowali jako partnera Nadii. Tym łatwiejsze było porozumienie, że Sławko okazał się poetą, który co prawda nie odniósł jeszcze żadnych poważniejszych sukcesów wydawniczych, ale z dużym zaangażowaniem opowiadał o swoich planach artystycznych. Okazał się prawdziwą duszą towarzystwa, dowcipnym i inteligentnym mężczyzną, skorym do dyskusji i zabawy. Zdarzały się jednak dni, kiedy nie rozmawiał z nikim, nawet z Nadią, spędzając czas samotnie, najczęściej nie wstając wcale z łóżka. Nikomu to nie przeszkadzało, bo zarówno Nadia, jak i wędrowcy byli pełni zrozumienia dla złożoności artystycznej natury i trudów wewnętrznej walki twórczej. Wybaczano mu więc chwilowe obniżki nastroju, złośliwość i wybuchy gniewu, tym bardziej że zazwyczaj bywał miły i towarzyski.

Sławko traktował taki stan rzeczy jako normalny, w dobrych chwilach okazując wędrowcom swoją sympatię i głosząc braterstwo dusz. Dla Nadii był troskliwym partnerem, cierpliwym słuchaczem i czułym kochankiem.

A ona wprost kwitła. Przepelniona była miłością do Sławka i całego świata. Pełna energii, radości, czuła się kochana, podziwiana i rozpieszczana. Dbała o Sławka, jak umiała najlepiej, ze spokojem znosząc zmiany nastroju partnera. Czekala cierpliwie na jego nowe wiersze, które powstaną w Rozstajach. Słuchała opowieści o przyszłej sławie i sukcesach. Marzyła razem z nim.

Wieczorne zabawy odbywały się rzadziej niż jesienią. Coraz częściej wędrowcy bawili się u siebie, a Nadia i Sławko spędzali wieczory tylko we dwoje. Uwielbiała jego romantyczne pomysły – dziesiątki świec, wino, wiersze. Podniecała ją tajemniczość Sławka, chciała zrozumieć artystyczną duszę, dzielić z nim radość i trudy tworzenia. On często nazywał ją swoją muzą, mówił o miłości, natchnieniu, sztuce.

Nawet gdy miał zły dzień i bywał niemiły, Nadia czuła w jego szorstkości miłość. Wiedziała, że nie zapomni o przeprosinach, że przyjdzie, pocałuje i przytuli.

Umiał rozmawiać poważnie, ale potrafił rozbawić ją do łez. Był nieobliczalny, zmienny, inny od mężczyzn, których dotąd znała. Tak jak za dnia, tak i nocą, nigdy nie wiedziała, jaki będzie za chwilę – czuły i delikatny czy brutalny i silny. Odpowiadało jej to, niepewność dodawała życiu barw, czyniła je ciekawszym. Miłość uskrzydlała ją, dawała siłę, radość, chęć do działania. Sławko przyjmował wszystkie pochwały i dowody miłości tak spokojnie, jak przyjmować może jedynie pełen wiary w swoje możliwości artysta i pewny swej pozycji mężczyzna.

Idealnie się uzupełniali i wszystko wskazywało na to, że z każdym dniem ich związek staje się mocniejszy i szczęśliwszy. Tak przynajmniej wyglądało to z perspektywy Nadii, dla której Sławko stał się całym światem.



Z autentycznym rozrzewnieniem patrzyła, jak zapisuje na kolejnych kartkach po kilka wyrazów, a potem mnie papier. Zbierała te kartki, kiedy nie widział, prostowała, wygładzała, głaszcząc czule, i chowała. Wymyśliła sobie, że kiedyś, gdy będzie już sławny, pokaże mu je wszystkie i będą się śmiali, wspominając, jak kiedyś się męczył. Kiedy Sławko wychodził, wyjmowała zebrane kartki i po prostu na nie patrzyła. Były dowodem na jego istnienie. Te pojedyncze wyrazy, czasem wersy, nakreślił tą samą ręką, którą jej dotykał. Widząc je, upewniała się, że to nie był sen, że on zaraz wróci, że istnieje naprawdę. Dotykała papieru, którego on dotykał, żeby przelać w niego przynajmniej część ogromu miłości, która ją wypełniała. Kochała wszystko, czego dotykał, każda taka rzecz miała jego zapach i była częścią jej uczucia, każda była równie droga: kartka, ołówek, poduszka, szczoteczka do zębów.

– Czy możesz mi zrobić mocną kawę? – Sławko ze złością rzucił kolejną papierową kulę, która odbiła się od ściany i wpadła do miski z owocami. – Nic mi dziś nie wychodzi, cholera by to wzięła!

Nadia, schylając się po pusty kubek, machinalnie pogłaskała go po karku. Kiedy była blisko, nie mogła się powstrzymać, żeby go nie dotknąć. Jakby chciała się przekonać, że jest rzeczywisty.

– Przestań! – zachnął się Sławko. – Nie mam teraz ochoty na czułości.

– Przepraszam, tylko poprawiłam kołnierzyk – usprawiedliwiła się i poczuła, że czułość zalewa jej serce.

Oto on, taki, o jakim w głębi duszy marzyła. Miała świadomość, że czasami przesadza, że mężczyźni nie lubią zbyt wielu czułości, że nie potrafią jej okazywać. Była jednak pewna, że pod maską twardziela kryje się delikatność i dobroć.

Uśmiechała się lekko, myjąc kubek. Odkąd przyjechał, odkąd go pokochała, pokochała wszystko inne. Codzienne czynności przestały męczyć, bo albo ich nie zauważała, albo wykonując je, czuła, że robi to nie tylko dla siebie, ale i dla niego.

– Co z tą kawą?! – dobiegł z góry zniecierpliwiony okrzyk. – Dopiero sadzisz ziarna czy co?!

– Nie jest tak źle! – odkrzyknęła ze śmiechem. – Już niosę!

Przez chwilę szukała cukierniczki, bo Sławko miał zwyczaj zostawiać ją tam, gdzie akurat używał jej ostatnio. Tym razem była na kominku. Bawiło ją to poszukiwanie za każdym razem. Ostatnio spostrzegła, że można pokochać czyjeś wady. Gdyby ktokolwiek inny zgasił papierosa w doniczce z kwiatkiem, chybaby go zabiła, kiedy robił to Sławko – bez słowa usuwała niedopałki.

Dawniej nie wyobrażała sobie mieszkania z mężczyzną i oglądania jego skarpetek i bielizny rozrzuconej po całym domu, teraz każda jego rzecz była jej miła, każdą rzecz kochała, bo była jego.

Podawała mu kubek i patrzyła, jak pije. Wolałaby, żeby jego usta dotykały jej. Wiedziała, że to głupie, ale zazdrościła kubkowi.



Na widok Błażeja stojącego w drzwiach zrobiła tak zdziwioną minę, jakby zapomniała całkiem o jego istnieniu.

– Dzień dobry. Przepraszam, że przeszkadzam, ale listonosz wczoraj zostawił u mnie list dla ciebie, więc przyniosłem. Proszę.

– Nie bądź taki oficjalny, wejdź, proszę. Przecież wiesz, że zawsze jesteś tu mile widziany. Zrobię kawy, będzie mi przyjemniej wypić w towarzystwie niż samotnie.

– Jesteś sama?

– Nie, jest Sławko, ale jeszcze chrapie na górze. – Roześmiała się. – On zwykle pisze do późna, a potem długo śpi.

– Rozumiem. – Błażej nie wydawał się zainteresowany rozmową o Sławku, zajął się drapaniem za uchem Biesa, który dysząc, łąsił się do niego.

– Widzisz, jak pies się za tobą stęsknił? – W głosie Nadii zabrzmiał wyrzut. – Całkiem zapomniałeś o Rozstajach.

– Nie zapomniałem. Często bywam u wędrowców.

– Tak? Nie miałam pojęcia. Dlaczego nigdy do nas nie wejdiesz?

– Nie chcę przeszkadzać.

Chłód w głosie i zachowaniu Błażeja speszył Nadię. Zapanowała cisza. Chcąc czymś zająć ręce, Nadia wzięła do rąk kopertę przyniesioną przez chłopaka. Otworzyła, wyjęła list i zaczęła czytać. Coraz szybciej przebiegała oczami linijki tekstu, a na policzki wystąpił jej rumieniec.

– Udało się! To niesamowite! – krzyknęła radośnie i zaraz zamilkła, zasłaniając ręką usta i znacząco popatrzyła w górę. – Mam nadzieję, że go nie obudziłam.

Błażej nie skomentował ostatniego zdania.

– Co się udało?

– Wiesz, kilka tygodni temu wysłałam rysunki Antosia do pewnej galerii. Chciałam sprawdzić, co powiedzą na ich temat fachowcy. Okazuje się, że chociaż nie są to wielkie dzieła, to wzbudziły zainteresowanie. I wszystkie sprzedano. – Wyciągnęła z koperty jeszcze jedną karteczkę. – Zobacz, tu jest czek.

Błażej nie mówił nic.

– Nie cieszysz się? Antoś na pewno się ucieszy! Jego rysunki się podobają, on zarobił trochę pieniędzy. Może nie fortunę, ale kilkaset złotych chyba mu się przyda, prawda? No, powiedz coś!

– To nie był dobry pomysł – sucho odpowiedział Błażej.

– Dlaczego? Sławko sądzi przeciwnie. To on to wymyślił. Chciał pomóc Antosowi.

– To raczej mu zaszkodził.

– Chyba przesadzasz – zirytowała się Nadia.

– Sama się przekonasz. Pójdę już. – Dopił kawę jednym haustem i sięgnął po kurtkę wiszącą na oparciu krzesła.

Z góry dało się słyszeć kroki zmierzające w kierunku schodów.
– Zaczekaj. – Zatrzymała go Nadia. – To Sławko. Poznacie się. – Przytrzymała Błażeja za rękaw kurtki.
– Sławko! – krzyknęła. – Zejdź, mamy gościa.
Mężczyźni stanęli naprzeciw siebie.
– To Błażej, który bardzo mi pomógł, kiedy tu przyjechałam – przedstawiła chłopaka. – A to Sławko, poeta.
Żaden nie wyciągnął ręki, więc Nadia, starając się zagadać niezręczną sytuację, zaczęła mówić szybko:
– Błażej przyniósł list w sprawie Antosia. Prawdziwy sukces! Wszystko sprzedane!
– Dlaczego listonosz nie przyniósł listu do Rozstajów? – zapytał Sławko, patrząc na Błażeja.
– Bo zimno i nie chciało mu się iść, a ja i tak codziennie koszyk od sołtysowej tu przynoszę – spokojnie odpowiedział chłopak, wytrzymując spojrzenie mężczyzny.
– Czy to ważne dlaczego? – zniecierpliwiła się Nadia. – Zobacz Sławko, tu jest czek. Na okaziciela. Będziemy mogli pojechać z Antosiem i pomóc mu w zrobieniu zakupów. Wspaniale, prawda?
– Dlaczego my? – z wyraźną irytacją zapytał Sławko. – Czy on nie ma ojca i matki? Zarobił, daj mu ten czek, i tyle.
– No, nie wiem... – Z powątpiewaniem pokręciła głową. – Czy oni poradzą sobie z czekiem? Może powinniśmy jednak pomóc?
– Ja z nim pojedę – wtrącił nieoczekiwanie Błażej, zakładając czapkę. – Daj Antosiovi ten czek i powiedz, żeby do mnie przyszedł.
– Dziękuję ci.
– Do widzenia. – Błażej poklepał jeszcze psa na pożegnanie i wyszedł.
Sławko stał nadal na środku pokoju z założonymi na piersi rękami.
– Jesteś na ty z tym wiejskim chłopakiem?
– Daj spokój, o co ci chodzi? Jestem, czy to coś złego?
– To chyba lekka przesada. Opiekujesz się wiejskim głupkiem, spoufalasz z miejscowym nastolatkiem... Ciekawe, co na to ludzie?
– Nie obchodzi mnie, co mówią ludzie – zdenerwowała się Nadia.
– A co mówią o mnie, też cię nie obchodzi? Jesteśmy razem, więc powinnaś trochę rozważniej się zachowywać. – Widząc jej złość, zaczął łagodzić sytuację. – Sama rozumiesz, że kiedy coś wydam, to będą przyjeżdżać tu różni i pytać. Powinni usłyszeć o naszej miłości, o tym, jak bardzo jesteśmy szczęśliwi. To będzie dla mnie dużo lepsze niż plotki, chyba rozumiesz?
– Tak – odpowiedziała Nadia.
– Jesteś mądrą dziewczynką. – Pocałował ją w policzek. – Nie masz czego żałować. Ten chłopak wyglądał na nieokrzesanego wieśniaka. Patrzył na mnie jakoś dziko.
Sławko zdjął koszulkę, w której spał, i rzucił ją na stół.
– Idę do łazienki. Będziesz tak miła i zrobisz nam jakieś pyszne śniadanko?
– Je już jadłam.
– To zrób coś dla mnie, a ty potowarzyszysz mi przy stole. Porozmawiamy, przecież lubisz?
– Dobrze, jak chcesz.
Sławko wszedł do łazienki i zaraz wystawił głowę przez uchylone drzwi, dodając:
– Na ciebie też jakoś dziwnie patrzył. Może być jajecznicą.
Po chwili szum wody dochodzący zza drzwi wraz z pogwizdywaniem oznajmił, że

Sławko rozpoczął poranną toaletę. Nadia rozgrzała tłuszcz na patelni i zaczęła rozbijać jajka.

Ta z pozoru zwyczajna czynność była dla niej czymś ważnym. Jajecznicą dla niego. Jajecznicą, dzięki której zaspokoi głód, nabierze sił. Zaczynała rozumieć kobiety, które całe swoje życie poświęciły wyłącznie dbaniu o dobro mężczyzny. Kiedyś śmiała się z takich kobiet, teraz wiedziała, dlaczego to robiły. Kochały. Rozumiała je, bo też kochała. I nawet w jajecznicę wkładała serce.

Zachowuję się jak pensjonarka, zachichotała w duchu.

Zima na wsi jest cudowna! – stwierdziła Nadia, wracając z długiego spaceru z Biesem.

Zeszłej nocy zaczął padać gęsty śnieg i zasypał okoliczne pola i las. Teraz z nieba leciały już tylko drobne płatki, a mróz iskrzył się na gałęziach drzew. Spacerowała już ponad godzinę i chociaż słupek termometru wskazywał tylko kilka kresek poniżej zera, to poczuła, że zmarzły jej uszy i czubek nosa.

– Pora wracać – zdecydowała. – Bies, idziemy do domu. – Gwizdnęła na psa i zaczęła biec. Pies ruszył za nią z głośnym szczekaniem.

Wpadli do domu, gwałtownie otwierając drzwi. Nadia ze śmiechem zaczęła otrzepywać śnieg z włosów i tupać nogami.

– Czy znajdzie się kubek herbaty dla zmarzniętej kobiety? – krzyknęła wesoło.

Cisza.

– Halo, Sławko! Wróciłam! Gdzie jesteś?!

Cisza.

W tej ciszy weszła na górę. Zobaczyła, że Sławko leży na łóżku kompletnie nagi. Dopiero kiedy podeszła bliżej, usłyszała tłumiony poduszką szloch.

– Ty płaczesz? – spytała – Dlaczego? Co się stało?

Usiadła na brzegu łóżka. Czuła się zupełnie bezradna. Obok niej leżał i płakał dorosły, prawie czterdziestoletni mężczyzna. Nie wiedziała, co ma robić.

– Widziałeś? Spadł śnieg – zagadnęła, żeby coś powiedzieć.

Sławko odwrócił się gwałtownie i usiadł w zmiętej pościeli. Włosy opadały mu kosmykami na twarz, nie próbował ich odgarnąć. Ona to zrobiła. Spojrzała mu w oczy i raz jeszcze spytała:

– Co się stało?

– Nic – odpowiedział cicho, a po kilku sekundach powtórzył: – Nic się nie stało. Ciągle nic się nie dzieje. Nie mogę pisać. Nie potrafię. – Opadł na plecy i patrząc na belki na suficie, powtarzał: – Nie mogę nic napisać. Nic, nic, nic. – Po policzkach płynęły mu łzy.

Nadia miała ochotę pogłaskać go po twarzy, ale nie była pewna, jak to przyjmie.

– Sławko – powiedziała łagodnie. – Nie możesz tego tak bardzo przeżywać. Nigdy nie pisałam wierszy, ale sądzę, że nie robi się tego ot tak. To podobno przychodzi samo, kiedy chce. Może powinieneś poczekać? Może zbyt tego pragniesz?

Cisza. Znowu ta cisza.

– Nie mogę nic napisać. To już koniec. Mogę sobie w tyłek wsadzić moje marzenia. Nic, nic, nic.

– Nie mów tak, Sławko. To tylko chwila, a nie koniec świata. Minie, musisz wierzyć. Może mogłabym ci jakoś pomóc?

Sławko z furią zerwał się z łóżka.

– Pomóc?! Ty?! Przecież ty przez cały czas mi przeszkadzasz! Tupiesz, śpiewasz, wciąż czegoś chcesz! – Zupełnie nagi chodził z wściekłością wokół Nadii, machając rękami. – Rozpraszasz mnie, nie mogę się skupić w tym domu! – Podnosił z podłogi kolejne części swojej garderoby i rzucał nimi w Nadie. – Wszystko mam od ciebie! To i to, i jeszcze to! Sławko, herbatka – przedrzeźniał ją – Sławko, obiadek! Opiekunka się znalazła, cholera jasna! Jakoś do tej pory nic nie miałem i pisałem! A teraz zasypałaś mnie tymi rzeczami, cały mój talent zasypałaś, ty głupia kobieto! Mam w dupie te wszystkie rzeczy. Ja chcę tworzyć, chcę, żeby o mnie pisali, mówili!

– Ale, Sławko... – próbowała przerwać jego monolog.

– Cicho! – wrzasnął. – Żadne Sławko! Gdzie są te spodnie, w których przyjechałem?

– W szafie, ale po co ci...

– Cicho! Słyszałaś, cicho bądź! Nic nie mów! – Szarpnięciem otworzył drzwi szafy i wyciągnął leżący na dnie plecak. Po kolei wyrzucał ubrania z półek na podłogę, niektóre pakując do plecaka.

– Co ty robisz? – spytała Nadia, chociaż знаła odpowiedź.

– Odchodzę. Mam dość ciebie, tego domu, twoich gości i zwierząt!

Zaciągnął sznurki plecaka, założył stare spodnie i sweter. Odchodził, naprawdę odchodził. Nadia chwyciła go za rękę, chciała zatrzymać, ale odtrącił ją tak mocno, że upadła na podłogę. Zszedł na dół. Słyszała, jak wkłada buty i kurtkę, przeciągłe miauknięcie świadczyło, że Wyrzutek wszedł mu w drogę. Trzaśnięcie drzwi. Odszedł.

Nadia rozejrzała się dokoła, popatrzyła na rozrzuconą pościel i ubrania. Teraz ona płakała.



Wróci. Wierzyła, że wróci. Czekala. Godziny mijały, a ona leżała w ciemnościach, nadsluchując. Każde skrzypnięcie, każdy szelest dawał nadzieję. I zaraz potem cisza ją odbierała. Bała się nawet poruszyć, żeby szelest pościeli lub skrzypnięcie łóżka nie zagłuszyły odgłosu, na który czekała. Odgłosu jego kroków.

Wrócił. Nie zastukał do drzwi. Po prostu nacisnął klamkę, jakby był pewien, że będą otwarte. Zbiegła szybko po schodach, bojąc się, że odejdzie, że nie będzie chciał czekać.

Wszedł zmarznięty, na głowie i ramionach miał śnieg, a spodnie przemoczone aż do kolan.

– Wróciłem – oznajmił. – Nie mogę żyć bez ciebie. Wpuścisz mnie?

Odsunęła się, robiąc przejście. Sławko wniósł ze sobą mróz i zimowy wiatr. Otrząsnęła się, przez chwilę wydał jej się obcy i niebezpieczny. Ale przecież na niego czekała.

To przez ten zimny powiew, pomyślała.

– Powiedziałaś, że nie wrócisz...

– Wybacz, Nadiu. Naprawdę chcę z tobą być, tylko że to jest trudne. Nie chciałem cię urazić ani skrzywdzić, ale cóż, czasami trzeba wyrzucić z siebie to, co złe.

– Trudno jest wybaczyć...

– Nie jest łatwo żyć z artystą. Musisz to zrozumieć. Kiedy już zostanę uznanym twórcą, będziemy żyć szczęśliwie. Kupię ci, co tylko zechcesz, żeby pokazać, jak bardzo cię kocham. Na razie muszą wystarczyć ci słowa, bo wiesz, że nic nie mam...

– Sławko, wiesz, że nie chcę od ciebie niczego. Tylko nie odchodź już i postaraj się mnie nie ranić.

– Przepraszam – powiedział i wziął Nadię na rękę.

Co za melodramat, pomyślał. Aż niedobrze się robi od tej słodyczy. Gdybym tylko miał jakiś wybór... – Wnosił ją na górę po ciasnych schodach, bo to wydało mu się najszybszym sposobem dotarcia do ciepłej pościeli.

Teraz jeszcze trochę czułości i wszystko będzie w porządku. Dam jej to, czego chce, nie ma problemu. Może nawet ją pokocham. To dobrze wygląda – artysta i miłość jego życia.

Jednak nie może beze mnie żyć, pomyślała Nadia, tuląc się do niego. Zrozumiał to i wrócił. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Był zimny, pachniał potem i alkoholem, a kiedy wciągnęła powietrze, poczuła coś jeszcze, coś nieuchwytnego, ale przyjemnego, coś, co ją pociągało.

Wystarczyło, żeby jej dotknął, a przez całe ciało przebiegł dreszcz. Zaczynał się od karku i biegł coraz niżej wzdłuż kręgosłupa. Droga na piętro wydawała się zbyt długa, schodów było zbyt wiele, chyba nie wytrzyma dłużej oczekiwania. Chciała, żeby już jej dotykał, żeby ból oczekiwania zmienił się w ból spełnienia. Pragnęła go i nie czuła z tego powodu wstydu. Pragnęła go ze wszystkich sił.

Będę się musiała nauczyć żyć z artystą. Uśmiechnęła się do siebie i szczęśliwa zamknęła oczy.



– Pani Nadiu! Pani Nadiu!

– Antosiu, co się stało? Dlaczego tak krzyczysz? – Wpuściła chłopca do środka i zaczęła

rozpinać mu kurtkę. – Ty płaczesz? Ktoś ci zrobił coś złego?

– Co się tutaj dzieje? – Sławko właśnie wyszedł z łazienki owinięty w pasie ręcznikiem w kwiatowy wzór. – Czego się mażesz, chłopie? Dorosły mężczyzna, a beczy jak dziecko. – Skrzywił się z niesmakiem.

– Przestań! Jak możesz tak mówić! – oburzyła się Nadia.

– Dobra, dobra – powiedział ugodowo, nie chcąc, żeby wypominała mu słabość sprzed tygodnia. – No, mów Antoni, kto ci zrobił krzywdę. Załatwimy to po męsku. – Poklepał chłopaka po plecach.

– Mama... – wyjąkał Antoś przez łzy.

– Mamie coś się stało?

– Mama... mi nie wierzy. Nie chce moich pieniędzy...

Nadia i Sławko wymienili spojrzenia ponad głową chłopca.

– Dlaczego?

– Nie wierzy, że zarobiłem. – Podniósł głowę i spojrzał na Sławka, szukając u niego potwierdzenia swych słów. – A przecież zarobiłem. Sam, prawda?

– Tak – potwierdził Sławko.

– A mama nie chce. Miało być na święta. Chciałem, żeby się cieszyła. A ona ciągle nie chce i każe mi powiedzieć prawdę. No, skąd je mam. – W głosie Antosia brzmiała rozpacz. – Przecież zarobiłem, ja mamy nie kłamię.

Sławko podrapał się po głowie, poprawiając jednocześnie drugą ręką opadający ręcznik. Czuł, że powinien coś zrobić, to do niego zwracał się chłopak. Nadia także patrzyła wyczekująco.

– To może pójdziemy do twojej mamy i wszystko jej wytłumaczymy...

– Naprawdę? – Chłopak natychmiast się uspokoił. – Pan pójdzie? I pani Nadia?

– Tak.

– To pan musi się ubrać, bo na dworze jest zimno – poradził rzeczowo Antoś.

Sławko pokręcił z niedowierzaniem głową i wznosił oczy ku niebu. Ten chłopak najwyraźniej uważa wszystkich za intelektualnie równych sobie. Zobaczył, że Nadia uspokajająco kiwa ręką, więc bez słowa poszedł się ubrać. Miał ochotę wycofać się z pochopnie złożonej propozycji, bo nie uśmiechała mu się wcale rozmowa z jakąś wieśniaczką, ale wiedział, że ani Antoś, ani Nadia nie pozwolą mu na to. Zresztą Nadia wyglądała na tak zadowoloną z jego postępowania, że nie mógł zrezygnować.

Po chwili cała trójka wędrowała przez śnieżne zasy w kierunku wsi. Nic nie mówili, bo ostry mroźny wiatr wpychał powietrze z powrotem do gardła, zanim zdolali wypowiedzieć choć słowo.

Antoś prowadził, za nim szła Nadia, która rozglądała się dookoła, podziwiając zimowy krajobraz. Pochód zamykał Sławko; zgarbiony, z gołą głową i rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie spodni. Szli dość długo, bo okazało się, że dom Antosia jest na drugim końcu wsi. Kiedy dotarli do celu, Sławko był szczęśliwy, że znalazł się w ciepłym pomieszczeniu i miał nadzieję, że rozmowa potrwa na tyle długo, że zdąży się rozgrzać.

Otrzepli buty w niewielkiej sieni i weszli za Antosiem do kuchni. W pomieszczeniu było ciepło i smakowicie pachniało. Przy kuchni stała wysoka szczupła kobieta, ostrzyżona prosto i krótko, ubrana w niebieską podomkę. Mieszała coś w garnku drewnianą łyżką.

– Dzień dobry – przywitała ją Nadia.

– Dzień dobry – odpowiedziała kobieta, odkładając łyżkę na brzeg kuchni. – Państwo do mnie?

– Mamo, to jest pani Nadia i pan Sławko – pośpieszył z wyjaśnieniem Antoś.

– Wiem, synku, kto to jest – ciepło zwróciła się do syna. – Idź teraz posprzątaj w pokoju,

a ja spokojnie z państwem porozmawiam.

Antoś posłusznie wyszedł. Kobieta starła ściereczką niewidzialny kurz ze stołu i krzesel.

– Siadajcie państwo. Może herbaty zrobić?

– Dziękujemy – odpowiedziała za obydwoje Nadia. – Nie chcemy przeszkadzać. My tylko na chwilę. Chcieliśmy wytłumaczyć, że Antoś...

– Wiem, co chcieli państwo powiedzieć – przerwała spokojnie, ale stanowczo matka Antosia. – Ja to wszystko wiem i wierzę synowi. Zresztą on nie zrobiłby nic złego.

– Ale Antoś mówił, że pani mu nie wierzy. Było mu bardzo przykro.

– Skarżył się na mnie, tak? – Kobieta podeszła do Nadii. – A nie mówił, że inni też nie wierzą, że się z niego śmieją?

– Nie mówił.

– No to ja pani powiem, żeby pani wiedziała, jaką krzywdę mu zrobiła. Jak przyjechał z miasta w nowych butach i kurtce, to zaraz zaczął dumny chodzić po wsi. Każdemu mówił, że sam na to zarobił tym rysowaniem. A ludzie, jak to ludzie. Wyśmiali głupka. – Usiadła przy stole i oparła głowę na rękę. – Jakbym ja powiedziała, że mu wierzę, to on by nadal się na pośmiewisko wystawiał. A tak to może się zniechęci. – Podniosła głowę i spojrzała na Nadię z wyrzutem. – Nie wiem, dlaczego wykorzystuje pani jego naiwność i wmawia mu, że jest artystą. Przecież dobrze pani wie, że on nie jest taki jak inni. On we wszystko wierzy. Jak pani może?

– Ależ myli się pani – zaprotestowała Nadia. – Ja bardzo lubię Antosia i nie chcę jego krzywdy. On naprawdę dobrze rysuje, chciałam mu jakoś pomóc, sprawić, żeby poczuł się doceniony.

– Proszę mnie posłuchać – włączył się nieoczekiwanie do rozmowy Sławko. – Ja jestem artystą i potrafię odróżnić bohomyzy od dobrego dzieła. Nie twierdzę, że Antoś jest geniuszem, bo nim nie jest. Ma jednak talent i nie powinien go marnować. Może prości ludzie tutaj nie znają się na sztuce i nie potrafią tego docenić, ale fakt, że pani syn może zarobić na swojej pracy trochę grosza, powinien panią przekonać.

– Mnie, proszę pana, na pieniądzech nie zależy, tylko na szczęściu mojego dziecka. Może pan tego nie rozumie, bo pan nie ma dzieci...

Nadia pochyliła głowę.

– Nie musi być pani złośliwa. Ja rozumiem pani obawy. Proszę jednak uwierzyć, że naprawdę zależy mi na szczęściu Antosia, jakby był moim własnym dzieckiem.

Kobieta wstała i podeszła do drzwi, sprawdzając, czy nie ma za nimi Antosia. Wróciła do stołu i usiadła przy nim wyprostowana.

– Antoś nie jest pani synem, tylko moim. Ja jestem prosta kobieta i na sztuce się nie znam, za to na życiu tak. Wiem, że bogaci ludzie lubią bawić się kosztem biednych. Państwo już się zabawiliście. Zrobiliście z mojego syna pośmiewisko, a jemu daliście nadzieję. Nic dobrego z tego nie będzie. Pani się wydaje – zwróciła się do Nadii – że jak pani ma wielką firmę, to może pani mieszać się w życie każdego i zmieniać je tak, jak się pani podoba, tak?

– Skąd pani wie? – Nadia ze zdumienia otworzyła szeroko oczy.

– Anka, sklepowa, mówiła. Mnie tam to nie interesuje. Ja chcę tylko spokojnie żyć razem ze swoim dzieckiem. Może biednie, ale spokojnie. Tyle mam państwu do powiedzenia i proszę, żeby jego rysunków więcej nie sprzedawać.

Wstała, dając gościom do zrozumienia, że wizyta jest zakończona.

– Czy pozwoli pani Antosiewi na odwiedzanie Rozstajów? – spytała Nadia prosząco.

– Jeżeli będzie chciał... Ja synowi przyjemności nie odmawiam. Kocham go i jeśli gdzieś jest dobrze traktowany, to nie zabraniam mu chodzić.

– Rozumiem i dziękuję. Oczywiście obiecuję zastosować się do pani prośby. Proszę mi wierzyć, ja naprawdę chciałam dobrze i nie miałam pojęcia, że to się tak skończy.

– Wierzę pani, ale ja wiem najlepiej, co jest dobre dla mojego dziecka. – Wyciągnęła rękę. – Do widzenia.

Sławko skinął głową, wychodząc, i mruknął coś, co miało być pożegnaniem. Milcząc, szli dłuższą chwilę. Sławko objął Nadię ramieniem.

– Wzięłaś winę na siebie, a to przecież był mój pomysł – wykrzyknął wprost do jej ucha, żeby przekrzyczeć wiatr, który przybrał na sile i niósł ze sobą tumany śniegu.

Wzruszyła ramionami.

– Czy to prawda, co mówiła o twojej firmie? – krzyknął znowu.

Nie odpowiedziała. Nie słyszała nawet jego słów, bo myślała o Antosiu, jego matce i sprzedaży rysunków. Przypomniała sobie, co mówił na ten temat Błazej. On wiedział, co się stanie. Znał wieś, rozumiał jej mieszkańców. Żałowała, że nie spytała go o radę.

Postanowiła, że położy się wcześniej spać. Po powrocie do domu wymówiła się od wieczornej rozmowy bólem głowy i poszła na górę. Sławko zrobił jej herbaty z sokiem malinowym i przyniósł do łóżka termoфор zrobiony z butelki z gorącą wodą, zawiniętej w ręcznik. Przez chwilę miała wyrzuty sumienia, że tak go martwi, ale ostatecznie doszła do wniosku, że przyda się jej trochę męskiej troskliwości. Sama nie wiedziała, kiedy zasnęła. Przebudziła się na chwilę, gdy Sławko wchodził do łóżka.

– Jak się czujesz? Może napijesz się gorącej herbaty?

– Nie trzeba. Już mi lepiej. Strasznie zimny jesteś. Przytul się, ja cię zagrzeję.



Nadia nie miała racji. Nie było lepiej, wręcz przeciwnie – było dużo gorzej. Następnego ranka pojawiła się gorączka i kaszel, który przez kolejne dni nasilał się. Sławko namawiał Nadię, żeby wezwała lekarza, ale ona uparcie odmawiała, a ponieważ każde zdenerwowanie wywoływało atak kaszlu, Sławko musiał ustąpić.

Teraz było już lepiej. Siedział przy kuchennym stole, przed nim stał kubek pełen mocnej kawy. Zastanawiał się, jak udało mu się przetrwać cztery poprzednie dni. Prawie nic nie jadł, z braku czasu i zdenerwowania zapomniał o posiłkach i gdyby nie pani Helena, która odwiedzając Nadię, wmuszała w niego jedzenie, to pewnie nie jadłby wcale.

Całe dni spędzał przy jej łóżku. Czuł się odpowiedzialny za kobietę, która udzieliła mu schronienia, nie pytając o nic. Był przerażony swoją bezradnością, tym, że nie potrafił pomóc w żaden konkretny sposób. Wykonywał więc polecenia Nadii i pani Heleny, mając nadzieję, że kobiety wiedzą, co robią.

Nadia wciąż prosiła o herbatę z sokiem z malin, a kiedy gorączka narastała – o zimne okłady. Pani Helena przyniosła syrop sosnowy własnej roboty i gęsie pióra, z których dym miał odpędzić katar. Sławko uważał to za zabobon, ale bez protestów palił pióra przy łóżku Nadii i starał się nie myśleć o śmierdzącym dymie, który wydzielali.

Cała ta sytuacja wydawała mu się sceną z filmu o ludowym znachorze. Ale po raz pierwszy w życiu czuł się zaangażowany w akcję. Nie potrafił, jak to miał dotąd w zwyczaju, jedynie obserwować z boku toczących się wypadków. Współczuł Nadii i był zły, że musi tak cierpieć. Starał się być troskliwy, dbać o nią i robił to z własnej woli, nie po to, żeby osiągnąć jakiś cel.

Dzisiaj po raz pierwszy zauważył poprawę. Nie kasłała tak często, gorączka była

niewielka. Teraz Nadia spała, a on postanowił spokojnie napić się kawy, napoju, dzięki któremu dał radę prawie nie spać przez cztery doby. Liczył na chwilę spokoju i odpoczynku, więc ciche pukanie do drzwi zirytowało go. Tym bardziej że doskonale wiedział, kto jest po drugiej stronie. Przychodził każdego dnia i pytał o zdrowie Nadii. Patrzał przy tym tak, że Sławko czuł się nieprzyjemnie. Denerwował go ten gówniarz, pozujący na dorosłego mężczyznę, jego beczelność i odczucie, że chłopaka i Nadię coś łączy, choć nie bardzo wiedział co. Niechętnie podniósł się z krzesła i powoli, rozmyślnie każąc chłopakowi czekać, podszedł do drzwi i otworzył.

– Jak ona się dzisiaj czuje? – zapytał Błażej, pomijając grzecznościowe formułki.

– Jest lepiej.

Chłopak pokiwał głową, a napięcie znikło z jego twarzy.

– Nie musisz przychodzić każdego dnia, chłopcze – dodał Sławko.

– Może. Ale będę przychodził.

– Po co?

– Będę sprawdzał, czy pan się nią dobrze opiekuje. – Choć chłopak mówił spokojnie, Sławko czuł, że narasta w nim agresja.

– Nie musisz się martwić, synu. Dbam o nią, bo ją kocham.

– Czyżby? – Błażej spojrział mu prosto w oczy.

Tego było już dla Sławka za wiele. Miał ochotę uderzyć, poczuł, że pięść sama się zaciska. Stojący przed nim chłopak był jego wzrostu, ale nieco szczuplejszy. Spokój i zdecydowanie, które widział w jego zielonych oczach coraz bardziej go złościły. Kto dał mu prawo dyktowania Sławkowi, co ma robić.

– Zjeżdżaj, gówniarzu! – nie wytrzymał. – I żebym cię tu więcej nie widział.

Zatrzasnął drzwi i stał jeszcze chwilę wpatrzony w drewniany prostokąt. Nie był zadowolony z tego, co zrobił, ale zbyt zmęczony, żeby się nad tym zastanawiać. Czuł się tak, jakby przegrał.

Z kubkiem kawy stanął przy oknie, obserwując biel ciągnącą się aż do granicy lasu. Tego dnia nie było wiatru, świat jakby zamarł w zimowym bezruchu. Ten spokój, choć malowniczy, trochę przerażał.

Zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy powiedział głośno o miłości do Nadii. Stało się to niespodziewanie, wydawało mu się, że zrobił to ktoś inny, nie on.

To tylko współczucie, nie miłość – tłumaczył sobie. – Jestem już za stary na takie bzdury. Nie dam się zrobić w żadne kochanie, przywiązanie, stabilizację.

Od dawna znał swój cel. Widział swoją drogę i zmierzał po niej wprost. Nie miał najmniejszego zamiaru poświęcać swoich planów i marzeń dla romantycznych uniesień. Jego zdaniem były niepotrzebne i nie przynosiły nic dobrego.

Zaraz będzie chciała zrobić ze mnie męża – pomyślał ze złością. – Już doprowadza mnie do szału swoją opiekuńczością. Niech sobie ona kocha do woli, proszę bardzo, ale ode mnie niech niczego nie wymaga.

Nie miał najmniejszej ochoty na zmiany. Marzenia o życiu artystycznym bohemy, o sławie, byciu poetą, prawdziwym artystą – tylko to go interesowało. Owszem, chciał się jej odwdziaczyć, ale nic poza tym. Dobry uczynek to jeszcze nie miłość.

Był zły na Nadię, że zachorowała, na tego wiejskiego chłopaka, który wymusił na nim wyznanie, i na siebie, że pozwala sobie na wątpliwości. Te bzdury mogą przeszkodzić mu w realizacji planów.

Czuł, że musi jakoś rozładować napięcie. Przyniósł ze spiżarni butelkę wina, odkorkował i pociągnął wprost z butelki duży łyk.

Już lepiej – pomyślał. – Tego właśnie potrzebowałam.

Następną godzinę spędził, pijąc i rozmyślając. Udawał, że nie słyszy dobiegającego z góry kaszlu Nadii. Nie chciał jej teraz widzieć.



Zegar wskazywał za kwadrans północ. W wigilijną noc Nadia siedziała w fotelu owinięta ciepłym kocem. Na kolanach wygodnie ułożył się Wyrzutek, który najedzony i w dobrym humorze pozwalał łaskawie drapać się za uchem i nawet od czasu do czasu pomrukiwał.

Wędrowcy poszli na pasterkę. Sławko postanowił im towarzyszyć. Namawiał też Nadię, ale ta wymówiła się niedawną chorobą. Sławko nalegał przez chwilę, tłumacząc, że powinni pokazywać się razem, ale ona nie miała ochoty na bezsensowne, jej zdaniem, demonstracje. Proponowała, żeby razem zostali w domu, ale Sławko urażony odmową postanowił mimo wszystko posłuchać kolęd w wiejskim kościółku. Nadia nie miała mu tego za złe, bo uważała, że nie wszystko i nie zawsze muszą robić razem. Udając, że nie widzi obrażonej miny, poprawiła mu szalik pod szyją i ucałowała na pożegnanie.

Wigilia w tym roku była cudowna, wspominała minione godziny. Bałam się, że coś nie wyjdzie, bo tyle wysiłku włożyłam w przygotowania i tak sobie wszystko wymarzyłam, a los lubi być złośliwy.

Nie mogła mieć żadnych zastrzeżeń. Tradycji stało się zadość; była odpowiednia liczba potraw, siano pod obrusem, opłatek i dodatkowe nakrycie. Nawet wędrowcy byli dziś w uroczystym nastroju, który z czasem przemienił się w świąteczną radość.

Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie wspólnego śpiewania kolęd, do którego, wyjąć, aktywnie włączył się Bies.

Teraz patrząc na świerkowe gałązki, stroiki i ogromną żywą choinkę, która zajmowała sporą część pokoju, czuła się naprawdę świątecznie.

– „Cicha noc” – zanuciła – „święta noc”...

Z lubością wciągnęła zapach piernika i pomarańczy, którego drzwi spiżarni nie zdołały powstrzymać przed rozejściem się po całym domu.

Kiedy Sławko wróci, zapalimy świece i zjemy pomarańcze, postanowiła.

Przyzwyczała się do jego nieobecności. Od czasu, kiedy wyzdrowiała, często wychodził. Twierdził, że spaceruje, szukając natchnienia. Mówił, że potrzebuje kontaktu z ludźmi, że musi wiedzieć, jak żyją i co czują. Nie miała nic przeciwko temu, tym bardziej że dzięki spacerom stał się spokojniejszy. Poza tym dbał o nią bardzo, czasami był tak miły, że aż nie mogła znaleźć w nim tego Sławka, którego kilka miesięcy temu poznała. Jego zachowanie wyglądało na szczere, ale jakoś do niego nie pasowało. Czuła, że zmienił się podczas jej choroby, nie wiedziała jednak dlaczego. Wydawało jej się, jakby znała dwóch Sławków, jednego wcześniej, a drugiego teraz, i czuła, że każdy z nich był jednocześnie szczery i nieszczery. Dziwne to było uczucie, ale nie wypytywała o nic, bo wszystko wskazywało na to, że ich wspólne życie zaczyna się wreszcie normować.

Jędrzej miał rację, doszła do wniosku, każdy na świecie ma swoją parę. Cała sztuka w tym, żeby ją odnaleźć.

Ciepło bijące od kominka i mruczenie Wyrzutka uspiły ją. Sądziła, że spała tylko krótką chwilę, ale kiedy spojrzała na zegar, zobaczyła, że dochodzi już czwarta. Sławka nie było. Sądząc z odgłosów na podwórzu, wędrowcy już wrócili.

Może jest u nich? – zastanawiała się, ale niepokój nie zniknął.

Zarzuciła chustę na głowę i ramiona i poszła sprawdzić. Wędrowcy powitali ją wesoło i hałaśliwie. Nie, nie ma go, odłączył się w kościele i później już go nie widzieli. Nie ma powodu do zmartwienia, mówili, znajdzie się. Jeśli Nadia ma ochotę, może z nimi zostać, wspólnie będą świętować Boże Narodzenie.

Odmówiła. Krążyła niespokojnie od okna do okna z nadzieją, że go zobaczy. Mijały minuty i kwadranse, zabawa u wędrowców skończyła się, a Sławka wciąż nie było.

W pewnej chwili Bies zerwał się ze swojego legowiska przy kominku i podbiegł do drzwi, cicho piszcząc i machając ogonem.

Wraca, pomyślała z ulgą i pobiegła otworzyć. Za drzwiami stał Błażej, podtrzymując uwieszona u jego ramienia Sławka.

– Gdzie go położyć? – zapytał zdyszany. – Na górę nie dam rady go zanieść.

– Może zsunę dwa fotele?

– Niech będzie, byle szybko. Ciężki jest jak cholera, a ciągnę go kawał drogi.

Wspólnymi siłami udało im się rozebrać i ułożyć mężczyznę na prowizorycznym posłaniu. Było to trudne, gdyż chwilami Sławko bełkotał coś niezrozumiale i żywo gestykułował. Na szczęście, gdy tylko poczuł pod głową poduszkę, zapadł w głęboki sen. Nadia okryła go kocem.

– Piliście razem?

Błażej wzruszeniem ramion skomentował bezzasadność tego pytania.

– Wracałem od kolegi. On siedział w śniegu przy płocie sołtysa i spał. Miał szczęście, że szedłem, bo do rana z pewnością zamarzłyby tam. Jest chyba ze dwadzieścia stopni mrozu.

Nadia dopiero teraz zorientowała się, że Błażej wciąż stoi w kurtce i mokrych butach.

– Przepraszam, nie zaproponowałam ci nawet nic ciepłego do picia. To wszystko bardzo mnie zaskoczyło. Wiesz, Sławko zazwyczaj jest w porządku – tłumaczyła. – Nie zdarzają mu się takie przygody...

Błażej przerwał jej wyjaśnienia.

– Chętnie napiję się herbaty.

– Oczywiście.

Usiedli przy stole naprzeciw siebie. Początkowo żadne z nich nie odzywało się, a jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu było chrapanie Sławka. Z czasem napięcie opadło i zaczęli rozmowę. Wymienili nowinki z okolicy, rozmawiali o wędrowcach, zimie. Poruszyli wiele niezobowiązujących tematów i z pozorów rozmowa wyglądała na zwyczajną wymianę zdań między znajomymi, jednak zapowiedź czegoś innego była coraz bardziej wyczuwalna. W końcu zabrakło neutralnych tematów i znowu zapanowała niezręczna cisza. Pierwszy przerwał ją Błażej:

– Prawie świta. Pewnie jesteś zmęczona. Pójdę już.

– Posiedź jeszcze, jeśli chcesz.

– Posiedziałbym, gdybyś ty tego chciała.

– Błażej, nie zaczynaj... Czuję się niezręcznie, kiedy tak mówisz.

– W porządku – uciął.

Wstał, sięgnął po kurtkę i wkładając ją, coś sobie przypomniał.

– Nadiu, jeszcze chwilę, dobrze? Mam dla ciebie prezent pod choinkę. Proszę.

Przyjęła paczuszkę i otworzyła ją. W środku była ramka wykonana z nieokorowanego brzoźowego drewna.

– Dziękuję. Jest piękna. Sam zrobiłeś?

– Tak. Chciałbym, żebyś włożyła do niej rysunek Antosia.

Spojrzała zdziwiona.

- Który rysunek?
- Może ten, który lubisz najbardziej.

Nadia zrozumiała. Wiedziała, o którym rysunku mówi. Sytuacja znowu zaczynała wymykać się spod kontroli. Gorączkowo myślała, jak odzyskać nad nią panowanie.

Do diabła, pomyślała. – Kiedyś z łatwością radziłam sobie z trudniejszymi rozmowami.

Wreszcie postanowiła. Stosując zasadę ataku jako najlepszej obrony, zapytała z ironią:

– Swoją drogą, to bardzo chciałabym wiedzieć, jaki to przypadek sprawił, że idąc od kolegi, miałeś przy sobie prezent dla mnie?

Błażej uśmiechnął się, jakby spodziewał się takiego pytania.

– Miałem nadzieję, że nie zauważysz tej nieścisłości, ale liczyłem się też z tym, że będę musiał powiedzieć prawdę. Byłem na pastercie i widziałem jak on – ruchem głowy wskazał na śpiącego Sławka – wychodzi z sołtysem. Chciałem ci przynieść prezent, gdy go nie będzie, ale po drodze spotkałem kumpli. Nie mogłem się wymigać, zatrzymali mnie dłużej. No, to postanowiłem zostawić prezent pod drzwiami, bo byłem pewien, że on już wrócił. A dalej to już było tak, jak mówiłem.

– Nie powinieneś tu przychodzić, kiedy Sławka nie ma. To nie wygląda dobrze, ludzie zaczęliby gadać.

– Nadiu, nie poznaję cię. – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Ty przejmujesz się ludzkim gadaniem? Ty, taka odważna, samodzielna i niezależna? Co się dzieje? – Podeszedł, odgarnął włosy Nadii i podniósł jej głowę do góry, zmuszając, żeby na niego patrzyła.

– Przestań, nie mów tak. Nic nie rozumiesz. Jestem ze Sławkiem, to zobowiązuje. Nie powinieneś dawać mi prezentów. Poza tym jest mi głupio, bo ja nie mam nic dla ciebie. – Ostatnie zdanie prawie wyszeptowała.

– Masz – powiedział i pochylił się nad nią.

Pocałował ją mocno, boleśnie, zachłannie.

– To jest mój prezent. I nie miej wyrzutów sumienia – zaśmiał się ponuro – w Wigilię to nie grzech. W dodatku jeszcze pod jemiolą. – Wskazał wiszące na ścianach gałązki. – To taka wiejska tradycja.

Nadii udało się nareszcie złapać oddech.

– Jesteś pijany! – powiedziała z oburzeniem, bo w oddechu Błażeja wyczuła alkohol. – Chyba się zapominasz! Wynoś się stąd natychmiast!

Błażej pokiwał głową na znak, że zrozumiał. Popatrzył na nią, a jego spojrzenie było teraz smutne i zrezygnowane.

– Nie zapomniałem się. Na twoje szczęście, Nadiu. I nie jestem pijany. Przynajmniej nie tak jak on. Wypiłem z kolegami kilka kieliszków. To też wiejski zwyczaj, a ja przecież jestem wiejskim chłopakiem.

Wyszedł. Nie zatrzymywała go. To nie miało sensu. Lepiej będzie, jeśli oboje jak najszybciej zapomną o tym wieczorze. Podeszła do Sławka i szczerzej otuliła go kocem. Pomyślała, że powinien mniej pić, a więcej pracować, bo inaczej jego marzenia o sławie nie mają szans na spełnienie. Stanęła nad śpiącym mężczyzną i przyglądała się jego twarzy, włosom, dłoniom.

Tu wszystko miało być proste, pomyślała, a wcale takie nie jest. Czasami mam wrażenie, że nawet bardziej pogmatwane niż dawniej.

W zamyśleniu dotknęła palcami ust, na których czuła jeszcze smak Błażeja.

- Muszę wyjechać na kilka dni.
- W porządku.
- Nie zapytasz dokąd i po co?
- Dokąd i po co?
- Ostatnio sporo napisałem. Dobrze mi idzie. Chciałbym spotkać się z kilkoma wydawcami, może uda mi się coś popchnąć. Nie cieszysz się?
- Cieszę.
- Jakoś tego po tobie nie widać. – Wyrzut w jego głosie był wyraźny.
- Chcesz się kłócić?
- No wiesz! Chciałem tylko się upewnić, czy nadal interesuje cię moja osoba. Widzę, że nie masz nastroju do rozmowy.
- Nie mam.

– Od kilku tygodni nie masz.
– A ty nie wiesz dlaczego, tak?
– Teraz ty chcesz się kłócić. Jak długo masz zamiar jeszcze się dąsać? Przeprosiłem przecież z tysiąc razy. I staram się wszystko naprawić, nie widzisz?
– Widzę.
– Beznadziejnie się zachowujesz. Powinnaś mnie teraz wspierać, jestem bliżej sukcesu niż kiedykolwiek.
– Robię, co mogę, ale musisz się pospieszyć, bo wino niedługo się skończy.
– Naprawdę byłabyś nieszczęśliwa, gdybyś po raz kolejny nie wypomniała mi dawnych grzechów. Wyolbrzymiasz sprawę – typowo kobiece podejście. Kilka kieliszków po kolacji jest korzystne dla zdrowia.
– Czy ja coś mówię?
– Daj już spokój, przestań, jak słowo daję. – Podeszedł do stojącej przy oknie kobiety, objął ją i pocałował w szyję. – Wiesz przecież, jak bardzo cię kocham.
Nie odpowiedziała i nie poruszyła się. Pocałował jeszcze raz, dłużej.
– Moja muza – wyszeptał jej do ucha. – Tylko dzięki tobie tworzę, ty jesteś moim natchnieniem. Wiesz przecież, że się staram, docen swojego artystę, no...
– Sławko...
– Tak?
– Kiedy wyjeżdżasz?
– Jutro rano – wymruczał i delikatnie ugryzł ją w ucho. – Chodź na górę, musimy się sobą nacieszyć. Nie będę cię widział przez kilka dni. Pomyśl, jaka z ciebie szczęściara... Wkrótce moje wielbicielki będą walić drzwiami i oknami, ale ty będziesz tą jedyną... Widzisz, już się uśmiechasz!



Ile to jest kilka dni? Dwa, trzy, a może pięć? Sławko nie wracał już prawie tydzień i Nadia musiała przyznać, że z każdym dniem tęskniła coraz bardziej. Snuła się z kąta w kąt, nawet długie spacerunki z Biesem nie pomagały. Miała wyrzuty sumienia, że ostatnio tak chłodno go traktowała. W gruncie rzeczy nie miała mu nic do zarzucenia. Od czasu wigilijnej nocy właściwie był bez zarzutu. Prawie się nie odzywał i nie wychodził. Dużo pisał, niewiele spał i jadł. Trzeba przyznać, że nie ułatwiała mu pracy, ale jej samej też nie było łatwo wybaczyć i zapomnieć pijatykę z sołtysem. Myślała nawet o rozstaniu ze Sławkiem, ale nie mogła zdobyć się na poważną rozmowę. Odłożyła ją do czasu, kiedy skończy tomik, nie chciała stać się przyczyną jego porażki.

Teraz cieszyła się, że nie podjęła pod wpływem impulsu żadnej radykalnej decyzji. Dopiero kiedy wyjechał, zrozumiała, jak pusto i smutno bez niego w Rozstajach. Wolała już humory Sławka niż samotność. Kiedy był, zawsze coś się działo; rozstawiał w całym domu kubki po kawie i kieliszki, wciąż znajdowała gdzieś niedopałki i pomięte kartki papieru. Denerwowało ją to, ale wystarczyło, że podeszedł, uśmiechnął się po swojemu – i już wybaczała. Sławko potrafił być tak uroczy, wiedział, co zrobić, żeby ją rozbawić i zmusić do zapomnienia o przyczynie złości.

Fakt, często się kłócili. Chwilami miała wrażenie, że cały związek to tykająca bomba, która w każdej chwili może wybuchnąć. Wiedziała, że Sławko ma wiele wad, ale miała świadomość, że sama też nie jest bez winy. Zawsze chciała postawić na swoim, nie lubiła

kompromisu. Poza tym, prawdę mówiąc, po raz pierwszy zamieszkała z mężczyzną. Dotychczasowe związki traktowała lekko, nie angażując się głębiej; zresztą trwały krótko i były raczej częścią taktyki w interesach.

Może to ja nie potrafię z kimś być? – zastanawiała się, rozczesując włosy przed lustrem. – Może powinnam być bardziej wyrozumiała? Czepiam się szczegółów, a przecież nie ma ideału. Sama nie jestem bez wad. A Sławko się stara, wciąż powtarza, że mnie kocha. To przecież najważniejsze, reszta nie jest istotna. Niech już nareszcie wróci! Zaczniemy jeszcze raz, teraz na pewno się uda.

– Oboje tego chcemy, więc musi się udać. – To zdanie powiedziała głośno i z przekonaniem do kobiety, która patrzyła na nią z lustra, a ta uśmiechnęła się do niej.

Poczuła nagle, że Sławko wróci zaraz. Przeczucie zmieniło się w pewność. Zeszła na dół i bez wahania sięgnęła po chleb. Zaczęła przygotowywać kanapki. Z pewnością będzie głodny. Ledwie zdążyła nakryć do stołu i zaparzyć w czajniczku świeżą herbatę, a już usłyszała skrzypienie schodków prowadzących do drzwi. Nie czekała, aż zapuka. Otworzyła natychmiast i rzuciła mu się na szyję.

– Poczekaj chwilę! – Powstrzymał ją, rozbawiony tym spontanicznym powitaniem. – Zdejmę chociaż buty. Śnieg się topi, na drodze błoto po kostki.

– Udało się? – zapytała, patrząc, jak rozwiązuje sznurowadła i odstawia zabłocone buty na gumową wycieraczkę.

Sławko zdjął powoli kurtkę, czapkę i szalik i powiesił je na wieszaku.

– Niby nie ma mrozu, ale ziąb jak nie wiem co. Autobus się spóźniał, wymarzęm się na przystanku jak diabli.

– Udało się? – powtórzyła niecierpliwie.

Stanął na środku pokoju i rozłożył ręce.

– Można powiedzieć, że tak. Możesz mi pogratulować! – oznajmił z uśmiechem.

– Naprawdę?! – Rzuciła mu się w ramiona, piszcząc z radości. – Wydajesz tomik?

– Nie tak od razu, muszę nad nim jeszcze trochę popracować – ostudził nieco jej zapał. – Na razie kilka wierszy i pozytywna opinia krytyka w poczytnym piśmie. Początek bardzo dobry, reszta to tylko kwestia czasu.

– Musimy to uczcić – zadecydowała Nadia. – Może zaprosimy wędrowców i zrobimy ci kameralny wieczór poetycki? Co ty na to?

– Dziś zgadzam się na wszystko. Jestem przygotowany na świętowanie. – Podeszedł do drzwi, gdzie zostawił plecak, podniósł go z wysiłkiem i rozpoczął wyjmowanie zawartości na stół. Nadia policzyła w myślach butelki.

– Czy to nie zbyt wiele dla kilku osób? Nie masz chyba zamiaru...

Chwycił ją w pasie, podniósł i okręcił kilka razy wokół siebie.

– Nie złość się, dzisiaj jest mój dzień. W takie święto chyba mi nie zabronisz kilku kieliszków? – I nie czekając na odpowiedź, dodał: – Pójdę zaprosić wędrowców, a ty przygotuj nam coś pysznego, dobrze?

Wziął po jednej butelce do każdej ręki, wsunął nogi w buty i nie zawiązując nawet sznurowadeł, wyszedł.

Za moment Nadia usłyszała okrzyk, który świadczył o tym, że nowina i podarunek Sławka ucieszyły mieszkańców dawnej obory. Doświadczenie podpowiadało jej, że nie wystarczy tego na długo i wkrótce całe towarzystwo przeniesie się do domu. A to oznaczało, że ma niewiele czasu na przygotowanie czegoś do zjedzenia.



Było dobrze po północy, kiedy wreszcie zostali sami. Obrzuciła wzrokiem stół pełen talerzy z resztkami jedzenia i niedopałkami, przewracanych kieliszków, pustych butelek i rozlanej kawy. Wśród tego wszystkiego z głową opartą na rękach spał Sławko. Westchnęła i postanowiła, że sprzątanie zostawi na następny dzień.

– Sławko, obudź się, idziemy na górę. – Potrząsnęła mężczyzną.

– Nieładnie tak gości samych zostawiać – mruknął półprzytomny.

– Goście już dawno poszli. Pora do łóżka. – Stanowczy ton przychodził jej z trudem, była zmęczona.

– Do łóżka? – żywo zareagował Sławko i próbował wstać.

Zachwiał się, więc podtrzymała go i pomogła wejść po schodach. Usiadł na łóżku, patrząc dookoła mętym wzrokiem. Najwyraźniej nie był w stanie się rozebrać, więc Nadia, chcąc się jak najszybciej położyć, zaczęła rozpinać mu koszulę. Zrozumiał jej intencje zupełnie inaczej. Przyciągnął Nadię do siebie i próbował pocałować. Ale trafił w oko i cofnął się ze zdziwioną miną.

– Co ci się stało z ustami? – zapytał, zionąc jej prosto w twarz oparami alkoholu i tytoniu.

– Nic, połóż się, pijany jesteś.

– O, co to, to nie – bełkotał i chwiejnie kręcił głową. – Jestem trzeźwy i chcę się z tobą kochać. Chodź do mnie, moja muzo... – Po raz kolejny próbował przyciągnąć ją do siebie.

– Przestań, jesteś niemily!

– Ty też nie lepsza. – Sławko mocował się z zamkiem od spodni – Dobrze, że chociaż znajomych masz przyjemniejszych.

– Jakich znajomych? – W jej głowie zapaliła się ostrzegawcza lampka.

– Normalnych. – Suwak dał się wreszcie odsunąć i Sławko najwyraźniej zamierzał odpocząć po dużym wysiłku, bo zwiesił głowę i zamknął oczy.

– Sławko, nie śpij! – Szturchnęła go. – O kim mówiłeś?

– Najpierw śpij, a potem nie śpij... Sama nie wiesz, czego chcesz. – Kolejne szturchnięcie przywróciło go nieco do przytomności – Odnalazłem kilka osób, które pamiętają pewną panią prezes. Byli zaskoczeni informacją o jej załamaniu nerwowym. – Czknął głośno. – Chętnie pomogli jej partnerowi i opiekunowi. – Zaśmiał się i uwolnił z nogawki lewą nogę. – Przyznaj, że nieźle to wymyśliłem, nie?

Nadia zamrugała szybko kilka razy. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszała.

– Zrobiłeś ze mnie wariatkę!

– Bez przesady, załamanie nerwowe to jeszcze nie świr. – Sławko mocował się z drugą nogawką. – Poza tym chyba możesz się trochę dla mnie poświęcić. – Zostawił nogawkę i zajął się skarpetką. – Możesz mi pomóc? Chcę się położyć – oświadczył tonem rozkapryszonego dziecka.

Machinalnie zdjęła mu skarpetę. Chciała, żeby już zasnął, żeby nic więcej nie mówił. Nie mogła uwierzyć, że to zrobił. Nie chciała uwierzyć.

On tymczasem zmienił zdanie i zamiast się położyć, chwycił ją za rękę i pociągnął na siebie.

– Moja muza – bełkotał, śliniąc jej szyję. – Dzięki tobie będę sławny. Chodź, wynagrodzę ci to...

Poczuła niesmak i złość. Próbowała go odepchnąć, ale był silniejszy. Przez kilka minut mocowała się, odwracając jednocześnie głowę, żeby nie czuć jego oddechu. Wreszcie udało się.

– Jesteś obrzydliwy! – wrzasnęła. – Zrobiłeś mi takie świństwo, okłamałeś, a teraz chcesz

się ze mną kochać?!

– Zawsze chcę. – Czknienie. – Jesteś taka pociągająca. – Czknienie.

– Może jeszcze powiedziałeś im, gdzie mieszkam?

– Powiedziałem, ale nie przyjadą. Po co, jeśli nikogo nie poznajesz? – Roześmiał się, jakby usłyszał dobry dowcip. – Cieszysz się? Utulisz w nagrodę swojego Sławka? – Szarpał ją za rękaw.

– Nie dotykaj mnie!

– Ohoho, panna obrażalska. Cóż ci się takiego stało? – Sławko zrobił urażoną minę. – Wszystko potrafisz zepsuć, nawet moje święto. – Najwyraźniej zaczynał wchodzić w fazę pijackiego rozżalenia. – Kobiety są beznadziejne...

Bełkocząc coś jeszcze pod nosem, położył się na kołdrze i zasnął. Nadia nie zasnęła do rana.



Luty nie przyniósł ostrych mrozów, lecz pluchę i roztopy. Wyglądało na to, że zima była ostra, ale krótka. Świat za oknem wyglądał szaro i ponuro, unurzany w błocie i resztkach brudnego śniegu. Nawet Bies nie miał ochoty na długie spacery i nie w smak mu były wędrówki z Nadią. Ona sama też wolałaby posiedzieć przy kominku, tyle że nastrój w Rozstajach był jeszcze gorszy niż pogoda na zewnątrz. Rozmowy ze Sławkiem przychodziły jej z trudnością, jemu chyba także, więc ograniczali się tylko do niezbędnej wymiany zdań. Prawdę mówiąc, nawet ku temu nie było zbyt wielu okazji, bo omijali się, jak mogli.

Sławko wciąż wychodził. Wracał o różnych porach, najczęściej nocą, w różnym stopniu upojenia. Czasami zasypiał natychmiast, zsuwając jedynie fotele, które stały się teraz jego posłaniem, innym razem jeszcze długo po powrocie hałasował w kuchni, szukając jedzenia i głośno wyrażając swoje opinie o świetle. Nadia mogła się jedynie domyślać, że wciąż świętuje swój sukces literacki, ogłaszając go po kolei każdemu mieszkańcowi wsi, który zaoferuje coś mocniejszego. Nie obchodziło jej to zupełnie. Ten wciąż nieogolony, nigdy całkiem trzeźwy mężczyzna był kimś obcym. Nie wiedziała już, dlaczego mieszka z nim pod jednym dachem. Coraz rzadziej martwiła się, kiedy długo nie wracał. Czasami nawet cieszyła się, że go nie ma.

Pewnego dnia pani Helena zwróciła uwagę na to, że Nadia schudła. Lustro potwierdziło jej słowa. Stała się na powrót smutną, szarą kobietą, z tą tylko różnicą, że kiedyś musiała doskonale to maskować, a teraz nawet nie chciało jej się tego robić.

Żyła w stanie ciągłego lęku. Bała się, że ci, od których uciekła miesiąc temu, znajdą ją tutaj. Bała się kolejnych kłótni ze Sławkiem. Czowała, że jest znowu w punkcie wyjścia, ale kiedyś strach ją mobilizował, a teraz powodował apatię.

Wykonywała tylko niezbędne czynności, mechanicznie i bez zaangażowania. Teraz na przykład przyszła po drewno i od paru chwil stała przed stertą porąbanych kawałków, zapominając, że powinna napełnić koszyk.

– A nasza gospodyni dzisiaj nie w humorze. Smutna taka... – zagadnął jeden z wędrowców, pojawiając się nieoczekiwanie obok.

– E tam, przesada, wcale nie. – Spróbowała się uśmiechnąć.

Lubiła tego mężczyznę, małego grubaska w wełnianej czapce z wielkim pomponem i zawsze tych samych dzinsowych ogrodniczkach. Nie wiedziała dokładnie, jaką dziedziną sztuki się para, ale mówić potrafił bez końca.

– Artysty nie da się oszukać. Zresztą, moja droga, mieszkamy na jednym podwórku

i wiele widzimy...

– I co o tym myślisz? – zapytała wprost.

Potrzebowała głosu z zewnątrz, opinii, rady.

– Nie oczekuj, że powiem ci, co masz robić. – Gestem zaprosił ją, żeby usiadła na kawałku drewna, a sam usiadł obok. – Sama musisz zdecydować o swoim życiu. To może banalnie brzmieć, ale jest prawdziwe, moja droga.

– Ale ja nie wiem, co robić... – Bezradnie pokiwała głową.

– Wiesz, wiesz, tylko sama przed sobą nie chcesz się do tego przyznać. Mam rację, moja droga? Boisz się? – Poprawił czapkę, wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i podsunął Nadii.

– Zapal sobie, bo widzę, że na płacz ci się zbiera.

Miał rację. Pociągnęła nosem i przyjęła papierosa.

– Dzięki. Znałeś Jędrzeja?

– Tak, dlaczego pytasz?

– Wiesz, że mówił o konsekwencjach, które trzeba ponieść, kiedy dokonamy wyboru?

– Ale mówił też, że zawsze można zacząć od nowa. Ja też tak myślę. Sam zaczynałem kilka razy, zanim wybrałem właściwie. Życie nie jest proste, moja droga, ale nikt nie musi nieść krzyża, który mu ciąży. Ktoś kiedyś zrobił to za nas, dając nam możliwość wyboru.

– Przecież ja już wybrałam. – Wzruszyła ramionami.

– Wiesz dlaczego Jędrzej nazwał to miejsce Rozstajami?

– Bo schodzą się tu trzy drogi.

– Właśnie. I możesz sobie jedną z nich wybrać. A kiedy poczujesz, że to nie ta, zawsze możesz tu wrócić i masz jeszcze dwie. To proste, moja droga.

– Fajny jesteś, wiesz? Bardzo mi pomogłeś.

– Nie ma sprawy. – Przydepnął niedopałek. – A teraz zaniosę ci to drewno, bo ogień całkiem wygaśnie.

Przez chwilę w milczeniu wkładali szczapy do koszyka.

– Chciałabym jeszcze o coś zapytać.

– Słucham, wal śmiało.

– Czy Sławko zawsze był taki? Wiesz, o co mi chodzi?

– Wiem, ale nie znam odpowiedzi na to pytanie.

– Jak to? Przecież przyjeżdżałeś już do Jędrzeja.

Koszyk był pełen. Mężczyzna wziął go i zaczęli iść w stronę domu.

– Ja tak, ale on przyjechał tutaj po raz pierwszy.

Przystanąła zdumiona.

– Dziwisz się? Nie wiedziałaś? Myśleliśmy, że przyjechał do ciebie, że jesteście parą od dawna... – Podsunął czapkę do góry i otarł pot z czoła. – Chcesz powiedzieć, że poznałaś go dopiero jesienią?

Skinęła głową.

– Tym lepiej dla ciebie, moja droga.

Postawił koszyk przed drzwiami, podniósł rękę w geście pożegnania i odszedł – mały człowieczek w wysokiej czapce – zostawiając ją z niemłą świadomością, jak niewiele wie o człowieku, z którym jest związana.

Chociaż widok Błażeja siedzącego w pokoju zaskoczył ją, nie okazała tego.

– Jeżeli przyszedłeś mnie zabić – wzrokiem wskazała na nóż, który trzymał – to proszę bardzo, nie krępuj się. Mam taki dzień, że mogłoby to być prawdziwym wybawieniem.

– Też masz pomysły! – oburzył się. – Przykładam go, bo chyba będę miał guza.

Podniósł grzywkę, ukazując oczom Nadii rozcięty i puchący łuk brwiowy.

– Co się stało? Wypadek?
– Można to i tak nazwać. – Uśmiechnął się. – Zderzyłem się z czyjąś pięścią.
– I przyszedłeś się pożalić? – spytała zgryźliwie.
– Nie. Przyszedłem, bo muszę ci coś powiedzieć.
– Nie zaczynaj. Nie mam czasu na głupstwa. Nie męcz mnie, dobrze? Mam dość kłopotów bez twoich wyznań. – Podeszła do zlewu i zmoczyła ściereczkę zimną wodą.
– Weź, będzie skuteczniejsza niż nóż. I ja będę czuła się bezpieczniej. – Uśmiechnęła się blade. – Pogadajmy po prostu, co?
– Nadiu...
– Nie dzisiaj, proszę. Opowiedz mi, co się dzieje we wsi. Twoje opowieści zawsze poprawiają mi humor.
– Właśnie po to przyszedłem. Powinnaś wiedzieć, że po wsi chodzi ten twój Sławko...
– A nie może?
– ...chodzi i pije za pożyczone pieniądze. Obiecuje, że ty je oddasz.
– Co?!
– To. Ale to jeszcze nie wszystko. Im więcej pije, tym bardziej krytykuje ciebie, wędrowców, wszystko, co dzieje się w Rozstajach. Mówi, że nie jesteś całkiem normalna i że on tu wszystko zmieni, bo wiosną zostanie twoim mężem.
– Wyjdz! – Palcem pokazała mu drzwi.
– Ja mogę iść, ale takie są fakty. Pomyślałem, że powinnaś je znać.
– Fakty?! Raczej wymysły twojej chorej wyobraźni. Zgoda, Sławko zbyt dużo pije, mnie też się to nie podoba, ale z resztą to już przesadziłeś!
– To wszystko prawda! – Błazej zacisnął zęby tak mocno, że mięśnie na policzkach drżały.
– Prawda jest taka, że jesteś kłamcą. Żyjesz jakąś chorą miłością do mnie i z zazdrości gotów jesteś wymyślić niestworzone historie. Przestań mnie wreszcie nachodzić! Mówiłam, że mam dość kłopotów bez ciebie!
Ten wybuch złości zupełnie pozbawił Nadię sił. Opadła na krzesło i wzięła głęboki wdech.
– Skoro jesteś taka głupia, to od tej pory radź sobie sama. – Cierpliwość i spokój Błazeja wyczerpały się. – Chciałem tylko, żebyś wiedziała, co się dzieje. Wierz w to albo nie, jak sobie chcesz. To już nie moja sprawa. – Rzucił ze złością ściereczkę na stół. – Co do urojeń, to ciekawe, dlaczego wydaje ci się, że wciąż cię kocham? Może już dawno mi przeszło...
– I bardzo dobrze! – krzyknęła ze złością za wychodzącym chłopakiem.
Ściereczka leżąca na stole była ubrudzona krwią. Nadia wzięła ją i zamoczyła w misce z zimną wodą. Przyłożyła chłodną dłoń do czoła i stała zamyślona.



Potrzeba rozmowy ze Sławkiem była tak paląca, że Nadia nie mogła zasnąć. Czekwała na jego powrót, ale kiedy wreszcie przyszedł, zrozumiała, że rozmowa z nim w tej chwili nie ma sensu. Był tak pijany, że nie poszedł nawet do łazienki, tylko od razu rzucił się na swoje prowizoryczne pościelenie i zasnął.

Musiała poczekać do rana, choć wiedziała, że teraz i tak już nie zaśnie. Leżała wpatrzona w sufit, odliczając kolejne godziny.

Sławko obudził się skacowany i zły. Czuł głód, ale na samą myśl o przełknięciu

czegokolwiek robiło mu się niedobrze. Powoli, starając się nie poruszać głową, zszedł do spiżarni. Zdjął z półki słoik z kiszonymi ogórkami, odkręcił pokrywkę i łapczywie pił zalewę prosto ze słoika. Po kilku łykach poczuł się trochę lepiej. Przyłożył zimny słoik do głowy i wycofał się z powrotem do kuchni. Na widok Nadii opartej o kuchenny blat powiedział:

– Co się tak przyglądasz? Stęskniłaś się czy co?

– Musimy porozmawiać.

– Lepiej zrób coś z tym kundlem. Szczeka od świtu, a mnie czaszka pęka.

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? Musimy porozmawiać.

– Akurat dzisiaj? Przez miesiąc nie masz na to ochoty i nagle teraz? – Otworzył okno i krzyknął w stronę psa: – Zamknij się! – po czym z powrotem przyłożył do głowy słoik z ogórkami.

– Wczoraj był tu Błażej – zaczęła.

– Przyszedł naskarżyć, że zły Sławko dał mu w mordę, co? – przerwał jej ze złością.

– A dałeś?

– Owszem. – Sławko wyciągnął ogórka ze słoika, przez chwilę uważnie oglądał go ze wszystkich stron, wreszcie ugryzł. – Twój rycerz stanął w obronie damy swego serca – powiedział z pełnymi ustami – ale przekonał się, że nie warto mnie obrażać.

– Mówisz serio?

– Dzisiaj tylko serio. Nie czuję się na siłach żartować. – Przełknął resztę ogórka. – Mmm, dobre. Sama robiłaś?

– Błażej mówił, że pożyczasz pieniądze – nie pozwoliła na zmianę tematu. – Że nazywasz mnie wariatką, że źle mówisz o Rozstajach. Czy to prawda?

– O, widzę, że jesteś w bojowym nastroju!

Zdjął koszulę i spodnie, w których zasnął wieczorem i rzucił ubranie na podłogę.

– Nasłuchiwałaś się plotek i chcesz awantury. Na mnie dzisiaj nie licz. Idę się wykąpać.

Nadia kilkoma szybkimi krokami pokonała odległość dzielącą ją od drzwi łazienki i odcięła mu drogę do pomieszczenia.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Kochanie, nie męcz. Lepiej zajmij się obiadem, bo czuję, że po kąpieli będę mógł już coś zjeść. – Stanowczym ruchem odsunął ją na bok, wszedł do łazienki i przekręcił klucz.

– Wyłaż! – Nadia próbowała przekrzyczeć szum lejącej się wody. – Żądam odpowiedzi! To konieczne! Musimy porozmawiać!

– Nie widzę potrzeby! – odkrzyknął.

– Jeśli natychmiast nie wyjdiesz, to idę pakować twoje rzeczy!

Drzwi uchyliły się i Sławko wystawił zza nich głowę.

– Myślę, że powinnaś wziąć coś na uspokojenie. Nerwy ci puszczają. – Wyciągnął rękę i poklepał Nadię po policzku. – Nie histeryzuj, bo jeszcze ktoś pomyśli, że jesteś wariatką. A tego byś chyba nie chciała, co? No!

W tym momencie Nadia podjęła decyzję. Miejsce wściekłości i żalu zajął spokój. Powoli odwróciła się i weszła na górę. Już zupełnie bez emocji otworzyła szafę i po kolei wyjmowała ubrania Sławka. Była zdecydowana na doprowadzenie swojego zamiaru do końca. Fakt, że wreszcie się zdecydowała, przywrócił jej siłę. Skończyła pakowanie i ustawiła plecak przy drzwiach. Sama usiadła przy stole, opierając dłonie na blacie, wyprostowana i poważna.

– Uaaa! Czuję się jak młody bóg! – radośnie oznajmił Sławko, wychodząc z łazienki. – Kąpiel mnie uleczyła. Znowu mogę ruszać na podbój świata. – Przezeszał palcami mokre włosy i ruszył w stronę Nadii, zostawiając za sobą mokre ślady stóp na podłodze.

– To się dobrze składa, bo musisz już iść. Spakowałam cię. Rzeczy są tam. – Wskazała na

plecak.

Jej słowa sprawiły, że zatrzymał się w pół kroku. Wzrokiem podążył za palcem Nadii. Widok bagażu zirytował go.

– Prosiłem cię, żebyś się uspokoiła, prawda?

– Owszem. Twoje odejście mnie uspokoi. Ubierz się, chyba nie zamierzasz wyjść owinięty ręcznikiem?

Sławko ze złości rzucił ręcznik w kierunku Nadii.

– Bierz! To przecież twój. – Zdenerwowany zaczął ubierać się w rzeczy porozrzucane przed kilkunastoma minutami na podłodze.

Ręce mu się trzęsły, nie mógł poradzić sobie z guzikami.

– Że też zawsze musisz popadać w jakieś skrajności! Zwariować można!

Zostawił koszulę rozpiętą i zajął się spodniami.

– Czy ty wiesz, kobieto, jak trudno z tobą wytrzymać pod jednym dachem?!

– Właśnie zamierzam uwolnić cię od tych przykrych doświadczeń. I cieszę się, że również dla ciebie będzie to pożądanym rozwiązaniem. – Dokładnie złożyła ręcznik i odłożyła go na brzeg stołu. – Już od dawna wydawało mi się, że nie pasujemy do siebie. Skoro i ty tak uważasz, to wszystko staje się proste. Widzę, że jesteś już gotowy – stwierdziła, kiedy Sławko zakończył nakładanie skarpetek. – Zatem żegnaj.

Podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko.

Sławko zrozumiał, że sytuacja jest poważna.

– Nadia, daj spokój – powiedział i próbował zamknąć drzwi. – Możemy pogadać, jeśli tak bardzo ci na tym zależy, chociaż uważam, że nie ma potrzeby. Jak chcesz, mogę nawet przeprosić twojego wiejskiego wielbiciela.

– Wyjdz. – Nadia wystawiła plecak za próg.

– Całkiem zwariowałaś! Gdzie ja mam teraz pójść?! Przecież wiesz, że mam tylko ciebie.

– Widząc, że nie wzbudzi litości, zmienił natychmiast taktykę. – Nigdzie nie idę! Wybij to sobie z głowy! Myślisz, że możesz mnie ot tak sobie wyrzucić?!

– Myślę, że mogę. – Nadia popchnęła mężczyznę, który nie spodziewając się ataku, stracił równowagę i musiał zrobić kilka kroków w tył, żeby ją odzyskać.

To wystarczyło. Znalazł się za drzwiami, które Nadia szybko zamknęła. Przekręciła klucz w zamku, oparła się plecami o futrynę i odetchnęła z ulgą.

Sławko nie dawał za wygraną. Walił pięściami w drzwi i krzyczał:

– Nadia! Wpuść mnie! Przecież ja cię kocham! – Przerwał na chwilę, czekając na skutek wyznania. Zaraz potem zaczął na nowo: – Życ bez ciebie nie mogę! Otwórz!

Nadia usiadła po drugiej stronie drzwi i zakryła uszy rękami.

W końcu musi przestać, pomyślała.

Zauważyła buty Sławka, stojące obok wieszaka, i wiszącą nad nimi kurtkę. Wyobraziła sobie, jak stoi po drugiej stronie w samej koszuli i skarpetkach. Roześmiała się.

Nie będę aż tak okrutna, zdecydowała rozbawiona.

Wzięła obie rzeczy i podeszła do okna.

– Sławko! – krzyknęła. – Coś zostawiłeś! – Wyrzuciła kurtkę, za nią buty i szybko zamknęła okno.

Widziała, jak biegnie w jej stronę. Nie zdążył. Pozbierał to, co Nadia wyrzuciła, podniósł głowę i zobaczył ją śmiejącą się zza szyby. Grymas wściekłości wykrzywił mu twarz.

– Jeszcze zobaczysz! – wrzasnął. – Nie uda ci się tak łatwo mnie pozbyć!

Włożył buty i kurtkę, zarzucił plecak na ramiona. Ruszył w stronę bramy. Podbiegł do niego Bies, machając ogonem.

– Wynocha, kundlu! I powiedz tej wariatce, że jeszcze się spotkamy.
Zatrzaskał ze złością furtkę, zasunął suwak kurtki i ruszył w stronę wsi.

III. Cmentarz



Marcowy świat wyglądał jak czarno-biały film. Wszystko dookoła miało różne odcienie szarości, wiosna nie zdążyła jeszcze przemycić ani kawałka zieleni. Antoś od rana siedział przy oknie, odwzorowując krajobraz na kawałku papieru, a Nadia pomyślała, że można by sądzić, iż to natura tym razem zapatrzyła się na rysunki chłopaka.

Szła powoli w stronę lasu. Minęła drzewa owocowe, starając się nie patrzeć na ich огоłocone z liści gałęzie. Nie lubiła tego widoku, bo wydawało jej się, jakby drzewa wyciągały ręce do swoich partnerów po drugiej stronie ścieżki w rozpaczliwej i bezskutecznej próbie połączenia się.

Jej życie i stan psychiczny powoli wracały do normy. Sławko zniknął i nie dawał znaku życia, Antoś znowu ją odwiedzał, a ona sama zaczęła lepiej spać. Nie znaczyło to jednak, że wszystko było w porządku. Nie było i Nadia doskonale o tym wiedziała.

Mam w sobie smutek, rozczarowanie, żal, niechęć do świata i samotność – rozmyślała,

brnąć błotnistą ścieżką. – Nie uwolniłam się od nich. Znalazły mnie nawet tutaj. Wciąż rozpamiętuję swoje życie i nie mogę zrozumieć, dlaczego ciągle jest mi źle. Może stanę się zgorzkniałą kobietą z pretensjami do wszystkich o swoje nieudane życie?

Doszła do rzeczki i zatrzymała się na mostku, opierając ręce o balustradę. Patrzyła, jak woda leniwie przepływa pod nim i płynie w dal.

– Płynie sobie i nie musi się zastanawiać nad niczym. Ma wytyczony szlak i konkretny kierunek. I nie zatrzymasz jej, choćbyś chciał. – Nie zdawała sobie sprawy, że wypowiada swoje myśli na głos.

– To jedna z możliwości. Płynąć jak woda, z nurtem. Można ją wybrać, tylko to nie dla ciebie. Sama wiesz, próbowałaś. Ona jest dla tych, którzy nie mają wątpliwości, nie rozglądają się, nie zastanawiają. A ty czujesz, pytasz, szukasz...

– A co jest dla mnie?

– Kto to wie? Przekonać się możesz tylko ty sama. Wiesz o tym...

– Nie mam siły ani ochoty. Nie chcę już szukać, błędzić, trudzić się...

– Za duży bagaż chcesz wziąć ze sobą. Ciągniesz go, a to męczy. Wyrzuć to, co niepotrzebne, a siły powrócą...

– Jak to się wszystko skończy? Kiedy?

– To proste. Możesz odnaleźć swoją drogę i iść nią szczęśliwa do końca albo porzucić marzenia. Jeśli jednak stracisz w nie wiarę, nie będziesz miała sił, żeby dalej szukać. To też jest jakiś koniec.

– To co robić?

– Wybrać. To, co czujesz, bez względu na konsekwencje. W każdej chwili można wybierać, każda decyzja to lęk, ale i wielkie szczęście. Najgorzej jest, jeśli nie chcemy wybierać i wolimy tkwić w miejscu, niż wrócić na rozstaje i spróbować jeszcze raz...

– Jędrzej?! – Nadia oderwała wzrok od wody i rozejrzała się dokoła. Nikogo nie było. Z kim więc rozmawiała? Kto jej odpowiadał? – Jędrzej... – powtórzyła cicho.

Wyrzuć to, co niepotrzebne, a siły powrócą, powtórzyła w myślach.

Przypomniała sobie, dlaczego uciekła, pomyślała o tym, co czuła przy grobie Jędrzeja. Te krótkie chwile, przebłyski myśli, kiedy wiedziała, co powinna zrobić. Przenośnia, symbol, którego używała dla określenia celu swojego wyjazdu. „Niektórzy nie wiedzą, że umarli i żyją dalej, inni wiedzą, że umarli i bardzo się z tym męczą do końca życia...”.

Myśli galopowały, żadna nie zatrzymywała się na dłużej, ale wszystkie tworzyły jakąś całość, łączyły się... Nadia stała zwrócona w stronę lasu, ręce kurczowo zaciskała na poręczach mostka. Przed sobą miała łąkę, która ubiegłej wiosny tak ją zachwyciła, a teraz była wielkim szarym kawałkiem ziemi.

– To będzie cmentarz – powiedziała głośno i wyraźnie. – Pochowam tu tych, którzy choć nadal żyją, to dawno już umarli.

Odwróciła się i tak szybko, jak pozwałała na to rozmokła ścieżka, ruszyła do domu.

Na podwórku spotkała Antosia. Ucieszył się na jej widok.

– Pani Nadiu, dobrze, że pani już jest. Muszę iść do domu, bo obiecałem mamie, że jej dziś pomogę.

– Oczywiście, Antosiu, idź. – Myślami była zupełnie gdzie indziej, nie słuchała nawet tego, co mówił.

– Pani Nadiu, ja chciałem pokazać rysunek. – Podetknął jej kartkę.

Spojrzała przelotnie, ale zaraz przyjrzała się uważniej. Na rysunku były dwa rzędy drzew, a w głębi, między nimi, Antoś narysował kobietę stojącą na mostku. Rozpoznała siebie. Najbardziej uderzające było jednak coś innego. Chłopak po raz pierwszy użył kolorowej kredki.

Kobieta na mostku była otulona czerwoną chustą.

– Podarujesz mi ten obrazek, Antosiu? – zapytała.

– Podoba się pani?

– Tak.

Uśmiechnął się szeroko i szczerze. Już po chwili biegł drogą, od czasu do czasu odwracając się i machając jej ręką na pożegnanie.

Nadia weszła do domu i, nie zdejmując nawet butów, szybkimi krokami pokonała schody prowadzące na piętro. Rysunek Antosia przypięła do ramy lustra wiszącego nad toaletką. Usiadła na brzegu łóżka i długo przyglądała się kobiecie w czerwonej chuście.



Początkowo myśl o przeproszeniu Błażeja wydawała się jej po prostu głupia. Nie lubiła przeproszać nikogo, a już z pewnością nie mężczyzn, i to młodszych od siebie. Sytuacja, w której tłumaczy się nastolatкови, będzie krępująca dla obu stron i zupełnie nietypowa. Odrzucała więc ten pomysł. On jednak powracał. Prawdę mówiąc, zawiniła, wyrzuciła go z domu i obraziła, a on przecież powiedział prawdę i chciał jej pomóc. Doszła do wniosku, że jeżeli ma czuć się dobrze ze sobą, to musi przeprosić. Postanowiła zapomnieć o różnicy płci i wieku. W końcu spokój sumienia jest ważniejszy od ambicji i stereotypów. Tak naprawdę to bała się spotkania z Błażem. Czuli, że rozmowa nie będzie łatwa, bo ich wzajemne relacje do łatwych nie należały.

Wszystko byłoby dużo prostsze, gdybym była mężczyzną, westchnęła.

Antoś wysłany kilka godzin temu z zaproszeniem do Błażeja wciąż nie wracał. Nie miała pojęcia, co to oznacza. Przyjdzie czy nie? A może nie chce wcale z nią rozmawiać?

Może tak będzie nawet lepiej? – pomyślała, ale czuli, że to nieprawda. Musi go zobaczyć, chociaż na chwilę. Oczywiście tylko dlatego, żeby wyjaśnić swój błąd. Nie dopuszczała myśli, że mógłby nie przyjść. Brakowało go w Rozstajach.

Otarła czoło mokrą ręką i sięgnęła po kolejną rzecz z leżącej na podłodze sterty.

Trochę się tego nazbierało – stwierdziła. – Nic dziwnego, skoro nie prałam od kilku tygodni.

Pranie było czynnością, o której często zapominała. Dotychczas większość rzeczy oddawała do pralni, a pozostałe po prostu wrzucała do pralki, którą włączała raz w tygodniu. Tu nie miała żadnej z tych możliwości, brudne rzeczy wkładała do wiklinowego kosza i dopiero wtedy, gdy półki w szafie świeciły pustkami, przypominała sobie o tej gospodarskiej czynności.

Nie lubiła prac, tak jak nie lubiła większości domowych obowiązków, niemniej jednak przy namaczaniu, tarcu i wyżymaniu dobrze jej się myślało.

– Głupia Nadia, głupia Nadia – nucila pod nosem w takt wymyślonej melodyjki. – Nawarzyłaś piwa, to musisz je wypić. – Wystukała takt otwartą dłonią na powierzchni wody, rozbryzgując pianę dookoła. – Wszystko będzie dobrze...

– Widzę, że już jest nie najgorzej.

Drgnęła wystraszona. W tej samej sekundzie rozpoznała głos. Błażej.

– Mogłam się spodziewać, że jak zawsze mnie wystraszysz. Pojawiasz się jak duch.

– Ja za to wcale nie spodziewałem się zaproszenia.

Stał w drzwiach, kilka kroków od niej, ale czuli bijące od niego ciepło. Ręce trzymał w kieszeniach, nie zdjął nawet kurtki, jakby dając do zrozumienia, że jego wizyta nie potrwa długo.

– Wiem, właśnie o tym chciałam porozmawiać. – Nadia wytarła ręce i przez stertę ubrań wykonała krok w kierunku chłopaka. – Właściwie chciałam cię przeprosić. – Wyciągnęła w jego stronę rękę pachnącą proszkiem do prania.

– Czy to wszystko? Mogę już iść? – zignorował wyciągniętą dłoń.

Nie patrzył na nią, wzrok miał utkwiony w okolicach wieszaka na ręczniki.

– Nic mi nie powiesz? – Była zdziwiona i rozczarowana. To miał być koniec rozmowy?

– A czego oczekujesz? Chcesz, żebym powiedział, że nie ma sprawy, że się nie gniewam?

– Nie wiem, chyba tak – odpowiedziała szczerze. – Taką miałam nadzieję...

– O, tak, pewnie! I jeszcze dodaj, że liczyłaś na to, że wszystko będzie jak dawniej.

Powinniśmy znowu być przyjaciółmi. Pani na Rozstajach i chłopak na zawołanie. Nic z tego. Muszę cię rozczarować. Nie ma szans.

– Dlaczego?

– Nie zadawaj takich pytań. Nie jesteś przecież idiotką. Jesteś tylko egoistką, która ocenia ludzi pod kątem ich przydatności w danej chwili. Sławko odszedł, to będzie Błażej, tak? Czy przez ostatnie miesiące chociaż raz o mnie pomyślałaś? O tym, gdzie jestem i co robię? Założę się, że nie!

– Myślałam. – Popatrzyła na podłogę i przygryzła dolną wargę. – Często myślałam.

– Akurat! – drwiąco zaśmiał się Błażej. – Już się wzruszam. Teraz powinno być pojednanie z wesołą muzyczką w tle. Tylko że to jest życie, Nadiu, a nie amerykański film. Sorry!

Nadia usiadła na klapie sedesu i podparła brodę rękami.

– Rozumiem, że nie dasz mi szansy? Pomyśl, co mówił Jędrzej...

– Ty mnie nie szantażuj Jędrzejem, dobra?! – zachnął się Błażej. – Nie znałaś go i wiesz o nim tylko tyle, ile ja ci powiedziałem. – Kucnął przed Nadią, a błoto z jego butów zaczęło mieszać się z wodą rozlaną na podłodze, tworząc brudną kałużę. – A teraz powiem ci coś jeszcze. Mówił o tym, że każdy ma prawo do spokoju i szczęścia, ale żyjąc po swojemu, musimy pamiętać o najważniejszej zasadzie – nie krzywdzić innych ludzi.

Podniósł się gwałtownie, odrzucając w tył włosy.

Jak wspaniale wygląda, przemknęło Nadii przez głowę, a na plecach poczuła dreszcz.

– Będę leciał. Cześć! Mam dużo nauki, w tym roku moja ostatnia szansa.

– Bez przesady. – Chciała go zatrzymać, za wszelką cenę zmienić zakończenie tej rozmowy, więc podchwyciła temat: – Na drugim razie świat się nie kończy. Zresztą przez rok od matury nie mogłeś wszystkiego zapomnieć.

Czuła, że z niewiadomej przyczyny zbiera jej się na płacz. Może lepiej byłoby, gdyby jednak już sobie poszedł.

– Jaki rok?! Ja maturę zdawałem cztery lata temu. Powinienem już kończyć studia, a nie dopiero zaczynać.

– Jak to? Przecież mówiłeś, że Antoś jest twoim rówieśnikiem...

– Prawie rówieśnikiem. A to chyba różnica.

– Myślałam...

– Tak, wiem, myślałaś, wymyślałaś. Trzeba było patrzeć i odczuwać albo pytać wprost. A tak, to stworzyłaś sobie jakiegoś Błażeja. Błażej przyjdzie, Błażej pomoże, wyrzucę, przeproszę, on wróci, bo mu zależy. A tu się nie sprawdziło. Nawet nie jest takim gówniarzem, jak myślałaś. I masz problem. Przepraszam, ale nie mogę ci pomóc.

Nadia wstała i ze złości tupnęła bosą nogą. W oczach miała łzy i z całych sił próbowała je powstrzymać.

– Nie tak miała wyglądać ta rozmowa!

Błażej spojrział na stojącą przed nim kobietę. Bosa, z mokrym dołem spódnicy, stojąca wśród porozrzucanych ubrań w kałuży brudnej wody. Przez krótką chwilę miał ochotę ją uścisnąć, przytulić, pocieszyć. Zrobiło mu się smutno.

– Wiem, ale inaczej być nie może. Pójdę już.

– Spieszysz się?

– Umówiłem się z Mirką.

– Spotykasz się z nią?

– Czasami. Miałaś rację, to miła dziewczyna.

– Cieszę się. – Próbowwała się uśmiechnąć, ale wiedziała, że wyszedł jej raczej jakiś nieokreślony grymas.

Nie odpowiedział. Odwrócił się i poszedł w kierunku drzwi. Słyszała, jak mówi coś pieszczotliwie do psa.

– Błażej! – Pobiegła za nim. – Przecież możemy być znajomymi, przyjaciółmi...

Poklepał Biesa po łbie i popatrzył na Nadię.

– Ludzie to nie zabawki. Nie możesz ich zmusić, żeby robili, co chcesz.

– Nie chcę cię przecież do niczego zmuszać. Po prostu chciałabym, żebyś czasami przyszedł i porozmawiał ze mną. Tylko o to mi chodzi. Rozumiem twoje rozczarowanie, wiem, że oczekujesz czegoś więcej, ale chcę być z tobą szczerą.

– Nie próbuj wciągnąć mnie w melodramatyczne sceny. Nie lubię takich kobiecych sztuczek ze łzami i prośbami. Bądź normalna, naturalna, co? – Pokręcił z politowaniem głową. – Sama widzisz, że są między nami różne uczucia, ale szczerości w tym nie ma. I zapamiętaj wreszcie: niczego od ciebie nie oczekuję.

– Tak, ciekawe! – Posądzenie o stosowanie kobiecych sztuczek zawsze działało na Nadię jak płachta na byka. Tym razem także wywołało złość. – A jeszcze kilka dni temu biłeś się o mnie!

– Nie o ciebie – powiedział twardo – tylko o prawdę. Poza tym ten facet od dawna mnie wkurzał. Przestań fantazjować, to nie miało z tobą nic wspólnego, mówiłem przecież.

– Wszyscy faceci są tacy sami! – krzyknęła w bezsilnej złości. – Beznadziejni i nieczuli! Ty też! – Przez kilka sekund zastanawiała się, co dodać do swojej wypowiedzi. – Głupi jesteś i nic nie rozumiesz!

– Jeśli z tą myślą będzie ci łatwiej... – Otworzył drzwi, przez które, korzystając z okazji, wślizgnął się Wyrzutek.

– Nigdy już nie przyjdiesz?

– Tego nie powiedziałem. Poza tym, w razie potrzeby możesz wezwać mnie przez Antosia. Do widzenia.

Bies podszedł do Nadii i poszturchiwał ją łbem, domagając się drapania za uchem. Poglaskała go machinalnie. Nie mogła uwierzyć, że rozmawiała z Błażejem.



Z kabiny ciężarówki wyskoczył mężczyzna. Zszedł na pobocze, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł dokładnie z błota czarne lakierki. Dopiero kiedy przywrócił im blask, wyprostował się i rozejrzał, chcąc się upewnić, czy dobrze trafił. Nie do końca przekonany, wyjął z wewnętrznej kieszeni czarnej marynarki kartkę i studiował ją uważnie dłuższą chwilę, patrząc to na nią, to na dom, przed którym się zatrzymał. W końcu schował dokument, przecesał włosy wyjętym z tylnej kieszeni spodni żółtym grzebieniem, poprawił krawat i zdecydowanym ruchem

otworzył furtkę. Odpowiedzią na stukanie do drzwi było szczekanie psa. Po chwili głos z głębi domu krzyknął:

– Spokój, Bies!

Szczekanie psa ustało jak nożem uciął, drzwi otworzyły się i stanęła w nich ta, której szukał.

– Witam panią. Widzę, że udało mi się trafić.

– Dzień dobry. Nie spodziewałam się panów tak wcześnie. – Nadia spojrzała na zegar wiszący obok kominka.

– Umówieni byliśmy na dziewiątą. Jeszcze mi się nie zdarzyło spóźnić. Solidna firma jestem.

– Tak, to widać. – Uśmiechnęła się. – I taki pan elegancki. – Zmierzyła go od czarnych lakierków poczawszy, przez białe skarpety, spodnie zaprasowane w kant, krawat w nieokreślony wzór w odcieniach fioleto, aż po czubek głowy z przedziałkiem i gładko przyczesaną grzywką.

– Nie co dzień trafia mi się taki dobry klient. Klientka, znaczy. Widzi mi się, że pani miała liczną rodzinę, mam rację? To którą do cmentarza?

– Nie jedziemy na cmentarz. Tu będziemy wszystko montować.

– Przed domem? – spytał rzeczowo.

– Nie, tam dalej, na łące za rzeczką.

Pokiwał głową na znak, że rozumie. Nadię zadziwił spokój, z jakim przyjął informację o budowaniu nagrobków na łące.

– Nie dziwi pana, że tam?

– Różne mi się już rzeczy zdarzały. Klient nasz pan. Jak płaci, co mi się należy, to ja nie pytam. Jak do tej łąki dojechać?

– Do samej łąki to chyba nie da rady. – Zastanowiła się. – Tylko do tych drzew.

– To niedobrze. Nie chce mi się tak daleko nosić. Dużo tego wszystkiego i ciężkie. Może drogą i z boku da radę, co?

– Niestety, tam nie ma żadnej bramy...

– To nie problem. – Machnął ręką. – Płot niewysoki, jak mi się uda podjechać blisko, to wyładuję bez problemu.

– A pan tak sam przyjechał?

– Skąd! Mam ze sobą dwóch takich, co we wszystkim pomagają. Nie opłaca mi się osobnych wynajmować do niesienia klientów w ostatnią drogę – przy tych słowach zniżył głos i zrobił smutną minę, pochylając jednocześnie głowę; widać było, że zna swój fach – a innych do roboty. – Powrócił do poprzedniego tonu. – Nie kalkuluje mi się. Sam też pomogę, tylko ubranie zmienię, żeby mi się wyjściowy garnitur nie pobrudził.

– Lubi pan żywe zwierzęta czy tylko zabawki? – Za plecami kobiety ukazał się wysoki uśmiechnięty przyjaźnie chłopak.

– Chyba lubię – odpowiedział mężczyzna, nie okazując zdziwienia tym niespodziewanym pytaniem. – Chociaż na co dzień to raczej z ludźmi mi się zdarza pracować. I to raczej martwymi.

– Roześmiał się z własnego dowcipu.

– To dlaczego pan ciągle mówi o misiach?

– Antosiu! – stanowczo przywołała go do porządku Nadia, starając się opanować śmiech.

– Nie przeszkadzaj nam teraz, omawiamy ważne sprawy.

Chłopak zniknął w głębi domu.

– Syn? – zapytał mężczyzna.

– Nie, znajomy – odparła Nadia nieco urażona posądzeniem o posiadanie dorosłego syna.

– Jak długo potrwa praca?

– Widzi mi się, że do samego wieczora. I tak dzisiaj tylko osiem przywiozłem, bo więcej mi się nie udało tak szybko zrobić. Reszta będzie za tydzień.

– Nie ma problemu. Oznaczyłam już miejsca, tak jak pan prosił.

– Dobrze, ale ja przyjdę jeszcze po panią, jak rozładujemy. Pani jeszcze raz pokaże, żeby mi się nic nie pomyliło.

Mężczyzna odszedł. Nadia patrzyła, jak kroczy przez podwórko i drogę, wysoko podnosząc nogi, żeby uchronić buty przed błotem. Przypomniała sobie pytanie Antosia i parsknęła śmiechem. Pytanie było może nie na miejscu, ale obserwacja niewątpliwie prawdziwa. „Mi się” wsiadł do ciężarówki i samochód ruszył na tyły Rozstajów.

– Co ten pan będzie robił na łące? – Antoś wyglądał na żywo zainteresowanego sprawą.

– Cmentarz.

– Prawdziwy? – Podniecenie Antosia objawiało się ciągnięciem Nadii za rękaw.

– Prawdziwy.

– I groby będą? Takie jak przy kościele?

– Będą. Niezupełnie takie same, ale będą. – Zmierziła chłopakowi włosy. – Nie szarp mnie, Antosiu, bo mi rękę urwiesz.



Dwaj młodzi mężczyźni siedzieli oparci o płot. Jedli kanapki, popijając gorącą herbatą, którą nalewali ze stojącego obok termosu. Odgryzali duże kęsy i milcząc, poruszali szczękami. W pierwszej chwili można było wziąć ich za bliźniaków, bo robocze kombinezony, szerokie karki i nieproporcjonalnie małe w stosunku do nich, ogolone prawie na лыso głowy czyniły z nich niezwykle podobnych. Dopiero kiedy skończyli posiłek i wstali, Krzychu zobaczył, że różnią się wzrostem, a poza tym jeden z nich miał wydatny nos i silnie rozbudowaną szczękę. Podeszedł do robotników i zagadnął:

– Mały odpoczynek?

– No. – Nie byli rozmowni, ale Krzychowi to nie przeszkadzało.

– Ciężka robota, co nie?

– No.

– Widać z daleka. Przyszedłem spytać, może pomoc się przyda? Parę groszy piechotą nie chodzi, nie?

– No.

– To szefa trzeba spytać – poinstruował drugi, dłubiąc palcem w zębie. – Tam jest.

– Dzięki.

Krzychu poszedł dalej wzdłuż płotu na spotkanie idącemu mężczyźnie.

– Szefie, robota by się dla mnie nie znalazła?

– Nic z tego, chłopie. Mam już dwóch, więcej mi się nie opłaca.

– Papierosa? – Krzychu wyciągnął wymiętą paczkę z kieszeni koszuli. Odmowę przyjął spokojnie, z obojętnością człowieka, który zna odpowiedź, zanim zada pytanie.

– Rzuciłem. Zdrowie mi się od tego psuło. Kaszlałem, aż mi się płuca chciały wyrwać.

– A co tu będzie?

– Groby.

– Jak groby? Przecież to nie cmentarz?

– Teraz jeszcze nie, ale wieczorem już tak. No, do roboty wracam, bo mi się spieszy, żeby skończyć. A tam widzę, chłopaki siedzą. No, ruszać mi się! – krzyknął w stronę pomocników

i odszedł.

Krzychu stał jeszcze chwilę, obserwując pracujących. Przyglądał się kamiennym płytom, które wyładowywali.

– Trzeba ojcu powiedzieć – mruknął do siebie.



Nadia nie mogła się doczekać zakończenia pracy. Co kilka godzin chodziła na łąkę, żeby zobaczyć postępy, ale kamieniarz dał jej do zrozumienia, że bardziej przeszkadza niż pomaga, więc pozostało jej czekanie.

Raz po raz rozkładała na stole plan, na którym narysowała rozmieszczenie płyt. Na początek, po długim kilkudniowym namyśle, zamówiła piętnaście. Na rysunku rozmieściła je nieregularnie, w różnej odległości i bez określonego porządku. Miała wrażenie, że symetria i schemat nie pasowały do tego miejsca. Nagrobki musiały być różne, tak jak różne były historie osób, które upamiętniały. Miejsca jej nie brakowało, więc mogła pozwolić sobie na realizację wizji bez ograniczeń. Kiedy usłyszała:

– Udało mi się skończyć. Jeszcze dowód odbioru musi pani podpisać. Żeby mi się w papierach zgadzało.

Podpisała dokument bez żadnych pytań i prawie zaciągnęła i wepchnęła kamieniarza do ciężarówki. Nie mogła się doczekać jego odjazdu, tak bardzo chciała zobaczyć efekty jego pracy.

Wreszcie samochód ruszył i mogła bez przeszkód iść na łąkę. Co też bez wahania uczyniła, nie zważając na błoto, wieczorny chłód i ścielące się już na polach mgły. Pobiegnęła przez sad i mostek, później musiała trochę zwolnić, robiąc sobie w duchu wyrzuty za zimowe zaniedbanie kondycji, wreszcie dotarła do celu. Były. Stały tam, gdzie wyznaczyła miejsca. Osiem poziomych płyt. Różnego rodzaju i koloru, ale w pewnym sensie jednakowe, bo na każdej płycie wyryte było wyłącznie imię. Żadnych nazwisk ani dat. Proste, równe litery.

Doszła do wniosku, że o tej porze roku nie mogła wybrać lepszej godziny na oglądanie cmentarza. Latem, kiedy trawa będzie zielona, gdy zakwitną kwiaty, z pewnością będzie tu pięknie nawet w samo południe, ale teraz najlepszy był wieczór. Mgła ścieląca się po ziemi ukrywała jej szarość, a ciemna linia lasu na horyzoncie dopełniała obrazu tajemniczości.

Patrząc na urzeczywistnioną ideę, Nadia doznała uczucia spełnienia. Zyskała pewność, że jej decyzja była słuszna, że to właśnie miała w życiu zrobić. Teraz będzie mogła żyć spokojnie, po swojemu, wolna od tego, co dotychczas przeszkadzało, z czym nie mogła się pogodzić, przed czym uciekała.

– Piękny widok – usłyszała.

Przez chwilę wydawało jej się, że tak jak niedawno na mostku, był to głos płynący z niej samej, ale widok wędrowca opartego o balustradę przywrócił ją do rzeczywistości. Mężczyzna tym razem nie miał czapki z pomponem, lecz ukrywał brak włosów, z którym nie mógł się pogodzić, pod chustką w czerwone róże.

– Wyglądasz jak pierwszy wiosenny kwiatuś – rzekła ze śmiechem.

– Dobrze, że nie jak idiota. – Odwzajemnił uśmiech. – To wiosenne nakrycie głowy podarowała mi miła wieśniaczka znudzona moim marudzeniem o braku owłosienia. – Poglaskał chustkę pulchną ręką. – A ty, widzę, wzięłaś się ostro do działania, moja droga, tak?

– Próbuje nowej drogi, wiesz, o czym mówię?

– Jasne. I doszłaś do wniosku, że ta droga prowadzi na cmentarz?

– Tak wyszło.

– Jesteś pewna, moja droga? – Przykucnął, wziął do ręki leżący na ścieżce patyczek i zaczął kreślić nim w błocie jakieś wzory.

– Czego?

– Że wyszło.

– Tak. To ma być taki cmentarz symbol. Pomniki pamięci tych, co stracili nadzieję, wiarę, marzenia. Ostrzeżenie dla innych, rozumiesz, przecież jesteś artystą...

– Duże wyzwanie – ocenił krótko. – I pomysł kontrowersyjny. Ostro pojechałaś. – Podniósł się i odrzucił patyk, który z głośnym pluskiem wpadł do rzeczki. – A czy pomyślałaś, moja droga, co zrobisz, jeśli się nie uda? Ludzie nie lubią, gdy ktoś narusza ich spokój, zbyt nachalnie chce ich uświadomić. Ja to wiem, każdy artysta wie.

– Musi się udać – z przekonaniem oświadczyła Nadia. – Zresztą to, co robię, nie musi się nikomu podobać. To moja ziemia i moja sprawa. Nie mam zamiaru niczego robić na siłę. Nie chcę zakłócać nikogo spokoju, tym bardziej że ja też go potrzebuję przede wszystkim.

– Ja jednak czuję, że nie będzie tak łatwo, jak ci się wydaje. Nie znasz ludzi, moja droga.

– Znam lepiej, niż ci się wydaje. Znam ich, ale wierzę, że można jeszcze coś zrobić, zmienić. Sam mnie do tego zachęcałeś, nie pamiętasz?

– Pamiętam i widzę, że wzięłaś sobie moje słowa do serca. Może nawet za bardzo. – Wytarł ręce o swoje nieśmiertelne ogrodniczki. – Może faktycznie niepotrzebnie cię zachęcałem. Rób, co ci serce dyktuje, moja droga.

Stali jeszcze przez chwilę, patrząc na groby. Wkrótce stało się tak ciemno, że nie można było ich dostrzec.

– Uczysz ze mną dzisiejszy dzień kieliszkiem wina? – spytała wędrowca.

– Nie odmówię. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wstąpię po resztę chłopaków. Byłoby im przykro, że stracili okazję do świętowania.

– Jasne. Dzisiaj mam naprawdę dobry dzień. Nie mam ochoty na wieczór w samotności. Chodź, im szybciej zaczniemy, tym dłuższa będzie zabawa.

Pociągnęła wędrowca za szelkę do spodni. Nie oponował i ramię w ramię poszli w stronę zabudowań.



– Czym mogę służyć? – Mirka stanęła bliżej lady i uśmiechnęła się.

– Czyś ty całkiem zgłupiała?! – wrzasnęła Anka, wchodząc do sklepu tylnymi drzwiami.

– No co, przecież sama pani tak kazała do klientów, pani Aniu.

– Do klientów, a nie do głupka. Bez przesady. A ty czego chcesz? – spytała Antosia, który z uśmiechem przysłuchiwał się rozmowie.

– Mamusia prosi o margarynę. Będzie piekła szarlotkę. Pyszna robi, mogę pani przynieść kawałek.

– W nosie mam twoją szarlotkę. – Anka wzruszyła ramionami. – Lepiej mi ty powiedz, czy to prawda, że ta Nadia z Rozstajów cmentarz na polu robi?

– Prawda. Bardzo ładny. Prawie taki jak ten przy kościele – objaśniał z zapalem.

– I groby tam są?

– Są.

– A krzyże?

– Krzyży nie ma – zasmucił się Antoś. – Ale i tak ładny. Mogę zapytać panią Nadię, czy pani może obejrzeć – zaproponował.

– A idźże ty! – zachnęła się Anka. – Ani mi to w głowie! Bierz, co trzeba i zmiataj do domu, no!

– Dziękuję. Do widzenia. – Antoś zapłacił i wyszedł.

– Że się taka Boga i ludzi nie boi! – Anka zwróciła się w stronę Mirki. – Słyszałaś, cmentarz urządzi!

– Słyszałam, pani Aniu.

– Na niepoświęconej ziemi. Wiadomo, może ona tam naprawdę trupy grzebie?

– Chyba nie, pani Aniu, bo skąd by je wzięła? – ośmieliła się wyrazić swoją wątpliwość Mirka.

Ance chyba trafił do przekonania ten argument, ale machnęła ręką.

– Wszystko jedno. I tak skandal. Ciekawe, czy ksiądz już wie? Może trzeba mu powiedzieć? – Perspektywa wizyty na plebanii była jej wyraźnie miła. – I tak miałam mszę zamówić za nieboszczkę teściową... – Przysiadła na ławie. – Ona to chyba naprawdę jest stuknięta. Miał ten Sławko rację. Ten, co go wyrzuciła, wiesz?

– Wiem, pani Aniu.

– On to mądrze mówił, mój Marian też by tam zaraz porządek zrobił. Tylu chłopów tam całą zimę siedzi i tylko jedna baba. Wiadomo, co tam się dzieje? I jeszcze cmentarz teraz... A w kościele to ani razu nie była. Może to satanistka albo jakaś inna sekta?

– Chyba nie, pani Aniu...

– Co ty tam możesz wiedzieć?!

– Wiem, bo byłam w Rozstajach.

– Co?!

– Jesienią, jak mi wtedy pani radziła. Rozmawiałam z nią i była bardzo miła. I normalna. Doradziła mi, co zrobić, żeby zdobyć chłopaka i to mi się sprawdziło. – Mirka zamilkła nagle i zaczerwieniła się.

– A, wiem, widziałam. – Anka dała do zrozumienia, że nic nie umknie jej uwadze. – Spotykasz się z tym Tkaczykiem, tak?

– Nie, Błażej to mi tylko opowiadał, jakie są dziewczyny w mieście. On tam był na egzaminach.

– A po co ci wiedzieć takie rzeczy, jak ty tutaj siedzisz cały czas?

– Bo ja, pani Aniu, to się z tym Piotrkim, co paczki przywozi, umówiłam. I może on mnie kiedyś do miasta zaprosi, to powinnam wiedzieć, jak mam wyglądać. – Czerwień na policzkach Mirki nabierała coraz głębszego odcienia.

– Ty lepiej uważaj na niego. On ci prędzej dzieciaka zrobi, niż do miasta zabierze. A ja cię tu z brzuchem trzymać nie będę, pamiętaj! Co by ludzie powiedzieli!

– Dobrze, pani Aniu, będę uważała.

– Ja lecę na plebanie. Po drodze jeszcze do Doroty Borczakowej wpadnę, może coś więcej wie o tym cmentarzu. – Anka już myślami powróciła do najbardziej interesującej ją sprawy. – Ty tu interesu pilnuj i o chłopakach nie myśl, bo się przy liczeniu pomylisz i będę musiała ci z pensji potrącić.

– Dobrze, pani Aniu.



Dowiedział się o wszystkim od Mirki. Początkowo próbował udawać sam przed sobą, że nic go to nie obchodzi, ale doskonale zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Co innego spacer

po lesie z rozwianymi włosami, co innego opieka nad Antosiem, wędrowcy, wolny związek z artystą, ale cmentarz to zupełnie inna sprawa. Tego ludzie nie przemilczą. Kilka dni bił się z myślami, rozdarty między tym, co sobie postanowił, a tym, co czuł. W końcu zdecydowała złość. Złość, że znowu wkroczyła w jego myśli, że nie potrafi zlekceważyć jej kłopotów.

Czuł się wprost napompowany złością. Miał nadzieję, że to pomoże mu w prowadzeniu rozmowy w odpowiednio chłodny sposób, że ukryje w ten sposób swoje uczucia.

Dom był pusty. Na stole dostrzegł parujący jeszcze dzbanek z herbatą – znak, że wyszła niedawno. Kot spał zwinięty w kłębek na fotelu, na rozwieszonym nad kuchnią sznurku suszyła się bielizna Nadii. Zatrzymał na niej wzrok. Wyobrażał sobie, jak w niej wygląda, wyobrażnia podsuwała mu kolejne sceny. Przełknął głośno ślinę i odegnął, nie bez trudu, te myśli. Próbował znowu przywołać gniew, ale on nie chciał powrócić.

To bez sensu, zezłościł się, nie powinienem wcale tu przychodzić.

Bies z głośnym szczekaniem uganiał się po całym podwórku za kilkoma srokami. Wędrowców nie było widać, widocznie jeszcze spali. Nadia mogła być tylko w jednym miejscu. Na cmentarzu.

Nie mylił się. Z daleka zobaczył ją, jak przechadza się między kamiennymi płytami. Widział, że porusza ustami, ale nie słyszał, co mówi.

Z daleka naprawdę wygląda na szaloną – pomyślał. – I chyba jest szalona, chociaż nie w ten sposób, o jakim myślą ludzie.

Zobaczyła go i zaczęli iść ku sobie. Zaciśnął zęby, ona twarz miała spokojną, rozświetloną jakimś wewnętrznym blaskiem.

– Czyś ty całkiem zwariowała? – zapytał bez wstępów. – To najgłupszy pomysł, o jakim słyszałem. Co ci strzeliło do głowy? Nudzisz się czy co?

– Nie posyłałam po ciebie Antosia.

– Cała wieś aż huczy od plotek. – Udał, że nie słyszy złośliwości. – Już masz kłopoty, ale i tak to dopiero początek. Podobno Bochenkowa już była u księdza. Czy ty wiesz, co to znaczy?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi – oświadczyła beztrąsko. – Pięknie tu, prawda? No, przyznaj!

– Nie no, ty naprawdę nic nie rozumiesz! Ludzie gadają, że jesteś wariatka. Inni znowu, że należysz do sekty. – Potrząsnął Nadią, aż włosy opadły jej na twarz. – Będą kłopoty, słyszysz?

– A od kiedy ty przejmujesz się tym, co ludzie mówią. Kiedyś na przykład mówili, że mam romans z pewnym młodym człowiekiem, a sam wiesz, że to nieprawda. Później pewien facet też wiele gadał i nic z tego nie wynikło...

Czuł, że traci cierpliwość. Miał wrażenie, że specjalnie lekceważyła jego słowa, że z premedytacją chce wyprowadzić go z równowagi. Po raz kolejny pomyślał, że niepotrzebnie przychodził. Zrezygnowany odgarnął jej włosy i ujął twarz w dłonie.

– Nadiu, po co to wszystko?

– Naprawdę chciałbyś wiedzieć?

– Tak.

– Ja nie zwariowałam.

– Wiem, tylko...

– Mogę podać ci powody, dla których tak postępuję, opowiedzieć o moim cmentarzu. Tylko że to długa opowieść. Jeżeli przyszedłeś tutaj, to może przyjmiesz też moje zaproszenie i porozmawiamy w domu?

– A mocna kawa będzie?

– Będzie. A może dołożę coś jeszcze...

Błazejowi, nie wiedział sam dlaczego, przypomniała się wisząca na sznurze bielizna.

– ...na przykład konfitury – dokończyła Nadia.
Uśmiechnął się do swoich myśli.
Do milczącej przez całą drogę pary na podwórku dołączył Antoś.
– Dzień dobry, cześć! Udała się szarlotka?
– Wczoraj piekłam ciasto według przepisu mamy Antosia – wyjaśniła Błażejowi. – Wyszła dobra, ale nie tak pyszna jak tamta. – Mrugnęła porozumiewawczo.
– Jasne, że nie. Mama robi najlepszą na świecie!
Błażej był szczęśliwy. Tu, z tą dwójką chciałby spędzić resztę życia. Popatrzył w bok, żeby przypadkiem nie odczytali z oczu jego myśli.
W domu Nadia zakrzętała się przy kuchni. Kątem oka widział, jak pospiesznie zbiera rzeczy ze sznurka. Zajął miejsce w jednym z foteli i wyciągnął nogi przed siebie. Dyskretnie rozpiął guzik od spodni, które przez zimę stały się nieco przyciasne.
Zrzucę to, kiedy zacznę jeździć na rowerze, pocieszał się.
Antoś usiadł na kolorowym dywaniku przed kominkiem i zajął się zabawą z kotem.
– Chciałeś wiedzieć wszystko o cmentarzu? – przypomniała Nadia, stawiając na stoliku tacę z kawą i szarlotką.
Pokiwał głową.
– To było tak. Z początku wymyśliłam go jako symbol. Miałam tu pozbyć się wszystkich trosk, kłopotów i lęków. Najbardziej męczyło mnie to, że ludzie zaprzędają się codzienności, walce o byt, pieniądзом i po drodze gubią samych siebie. Znałam wielu takich. I sama też byłam taka – sukces, praca, kariera. I kasa. Miałam wszystko. Tylko że nie czułam się z tym szczęśliwa, więc postanowiłam uciec tutaj. Stać mnie było na to. Mogłam być spokojna o codzienny byt. Chciałam miejsca, gdzie rozpocznę nowe życie, zapomnę o tym, co widziałam.
Rozlała kawę do kubków, jeden podała Błażejowi, drugi wzięła sama.
– Ale nie mogłam. Dopiero teraz się udało. Wiele pomogło mi to, co słyszałam o poglądach Jędrzeja. Naprowadziło mnie na trop. I wizyta na jego grobie, i rozmowy z wędrowcami. Wszystko po trochu – przerwała na chwilę.
W ciszy słyhać było trzaskanie drewna w kominku. W końcu na nowo podjęła opowieść:
– Można powiedzieć, że jest tak: na tym cmentarzu pogrzebałam bagaż, który mi ciążył – wspomnienia o tych wszystkich, którzy zaprzędali swoje marzenia. Te groby to także symbol ich śmierci, mimo że żyją nadal. Śmierci ich dusz. To chyba najważniejsze, jeśli chodzi o cmentarz. Czy to wszystko bardzo głupio brzmi?
– Nie, ale ludzie nie będą chcieli słuchać.
– Nie pytam o ludzi, ale o ciebie. Czy rozumiesz, dlaczego to robię?
– Rozumiem, ale ty powinnaś rozumieć, że będziesz miała kłopoty i powinnaś postępować rozważnie.
– Mam zamiar mówić wszystkim prawdę. Ostatecznie nie robię nic niezgodnego z prawem. Nie zabijam ludzi, nie zjadam ich i nie zakopuję żywcem. Nie robię nikomu krzywdy, po prostu żyję po swojemu.
– Pamiętaj, że Jędrzej też chciał żyć po swojemu. Był silny, a jednak nie wytrzymał. A on nie prowokował ludzi.
– Ja nie prowokuję.
– Owszem. Robisz cmentarz.
– I będę go broniła.
– Wygląda na to, że się uparłaś. Wobec tego będę musiał częściej tu zaglądać. – Westchnął, ale w kącikach ust czaił mu się uśmiech.
– Skoro to mają być kłopoty, które przepowiadałeś, to nie mam nic przeciw nim.

– Ja też nie – wtrącił się Antoś. – Lubię, jak Błażej przychodzi, bo jest weselej.
Nadia i Błażej wybuchnęli śmiechem.
Jednak dobrze, że przyszedłem, pomyślał Błażej.

– Antosiu, czy to ma być żart? – W głosie Nadii dźwięczały nutki gniewu. – Pierwszy kwietnia dopiero za tydzień.

Spojrzała znad kartki prosto w oczy chłopaka. Patrzył wyczekująco, ale w jego oczach nie czaił się żart ani drwina. Wiedziała zresztą, że Antoś zawsze jest szczery i nie potrafi ukrywać prawdziwych uczuć. Niepotrzebnie się uniosła, ale rysunek, który jej przed chwilą wręczył, zupełnie wyprowadził Nadię z równowagi.

Na rysunku był jedynie zajmujący całą stronę nagrobek, na którym widniał napis: Antoś. Nie ulegało wątpliwości, że to wzorowany na płytach z cmentarza Nadii nagrobek Antosia. Dlaczego go narysował? Zadała mu głośno to pytanie.

– Bo powinien tam taki być. – To stanowcze oświadczenie niewiele wyjaśniło.

– Dlaczego?

– Sama pani mówiła, że to dla tych, którzy porzucili swoje marzenia. I że oni żyją, ale to

nie przeszkadza i mogą mieć tu grób. Ja zrozumiałem, co pani mówiła – zapewniał.

– Chyba niezbyt dobrze, Antosiu.

Chłopak posmutniał. Nie mogła tak zakończyć rozmowy. Tak naprawdę to przecież dobrze pojął ideę, którą chciała wcielić w życie.

– Antosiu, nie smuć się. Popatrz na mnie i posłuchaj. – Przysiadła na pniu do rąbania drewna. – Dokładnie rzecz biorąc, to dobrze rozumiałeś moje słowa, ale źle je zinterpretowałeś.

– To znaczy co?

– To znaczy, że ty nie możesz mieć pomnika na moim cmentarzu.

– Bo jestem głupi, tak?

– Nie, dlatego, że nie jesteś taki jak tamci ludzie.

– Właśnie jestem – upierał się.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Kiedyś wszyscy mówili, że jestem głupi i ja też tak myślałem. Potem pani sprzedała moje rysunki i myślałem, że jestem mądry, ale oni powiedzieli, że cały czas jestem głupi. I pani już nie sprzedaje rysunków, no to chyba jest prawda, co mówią. – Przez chwilę zastanawiał się nad dalszą wypowiedzią. – Marzyłem, że mogę być mądry, a teraz już nie marzę.

– Wszystko pokręciłeś, Antosiu. – Nadia była wstrząśnięta tym, co usłyszała.

Myślała, że sprawa rysunków nie była dla chłopca tak bolesna. Nie zdawała sobie sprawy, że będzie tkwiła w nim aż tak długo.

– Nie jesteś wcale głupi. Jesteś inny, ale to nie znaczy, że głupi. Zrozumiałeś doskonale, o co chodzi z moim cmentarzem, chociaż ci, którzy uważają się za mądrych, nie potrafią zrozumieć. Nie marzyłeś, żeby się zmienić. Chciałeś tylko, żeby ludzie inaczej cię oceniali. To coś zupełnie innego. Powiedz, Antosiu, lubisz rysować?

– Pani wie, że lubię.

– A teraz, kiedy nie sprzedajemy rysunków, tak samo lubisz czy mniej?

– Tak samo.

– No więc widzisz, Antosiu, robisz to, co lubisz. Niewielu osobom trafia się takie szczęście. Trzeba się tym cieszyć. To, co mówią ludzie, nie jest ważne. Może być przykre, ale nie może sprawić, że przestaniesz robić to, co lubisz. Rozumiesz?

– Chyba tak. – Zastanowił się, marszcząc brwi. – Jakbym nie rysował i umiał tak udawać jak aktorzy w telewizji i udawał, że jestem mądry, a ludzie by mi uwierzyli i też mówili, że jestem mądry, a ja bym dalej udawał i nie rysował, to wtedy miałbym grób, tak? – wyrecytował jednym tchem.

– Mniej więcej – ze śmiechem przytaknęła Nadia.

Musiała przyznać, że tłumaczenie, choć chaotyczne i nieco pokrętne, można było uznać za dowód zrozumienia jej intencji.

– Widzisz, jaki jesteś rezolutny. Potrafisz myśleć i wyciągać wnioski. Wielu ludzi tego nie potrafi.

– To nie muszę nic udawać?

– Ani mi się waź! – Pogroziła mu palcem. – Nigdy nie udawaj. Trzeba być sobą, to najlepsza metoda.

– Na co?

– Na szczęście. A przynajmniej tak mi się wydaje. – Wstała z pnia i otrzepała tył spódnicy. – Właściwie wybierałam się na spacer. Idziesz ze mną?

– Na cmentarz?

– Skąd wiedziałeś? – Roześmiała się. – Chyba za dobrze mnie już znasz! Może powinieneś mnie rzadziej odwiedzać, co?

– Nie, pani Nadiu, nie! – zawołał prosiącym tonem, choć w jego oczach widziała, że zrozumiał żart.



– Bezbożnica!

– Wariatka!

Nadia stanęła. Widząc z daleka grupę kobiet rozmawiających przed sklepem, poczuła się niepewnie. Chciała nawet zawrócić, ale jedna z nich zauważyła ją i wskazała palcem. Reszta zamilkła i tylko patrzyła. Nie było wyjścia – musiała przejść obok kobiet. Ruszyła więc. Kiedy mijała grupę, towarzyszyła jej cisza. Czowała, że kilkanaście par oczu przygląda się uważnie. Spojrzenia paliły ją w plecy. Pragnęła jak najszybciej zniknąć z pola ich widzenia. Wtedy to usłyszała.

– Bezbożnica!

– Wariatka!

Nie mogła udawać, że nie słyszy. Nie chciała. Odwróciła się i zapytała:

– Panie coś do mnie mówiły?

Spojrzały po sobie niepewnie. Wreszcie jedna, najodważniejsza, wysunęła się pół kroku naprzód.

– Dokąd się pani wybiera? Może do młodego Tkaczyka w odwiedzinie?

Pozostałe zachichotały

– Idę na cmentarz.

– Przecie ma swój, to po co jej nasz? – zwróciła się tamta w stronę pozostałych.

– Idę na grób Jędrzeja.

– Takiej to powinni wstępu na nasz cmentarz zakazać! – Anka Bochenkowa postanowiła włączyć się do rozmowy. Stanęła w drzwiach sklepu z rękami na biodrach. – Widział to kto, żeby taka na święconą ziemię włąziła!

Stojące kobiety widocznie zgadzały się z tą opinią, bo kiwały potakująco głowami.

– Jaka? – Nadia próbowała zachować spokój, ale nie zamierzała też łatwo się poddać.

– Jeszcze ma czelność się pytać! – wrzasnęła Anka. – Wartości najświętsze szarga, w kościele jej nikt nie widział i jeszcze się pyta! Groby na łące robi! Pewnie taka! – Ruchem ręki przy czole jednoznacznie oceniła stan umysłu Nadii.

– Jeśli panie chcą, to mogę opowiedzieć o tym, co robię i wyjaśnić dlaczego. Plotki nie zawsze mówią prawdę – zaczęła Nadia, ale nie dane jej było skończyć, bo kobieta, która pierwsza się odezwała, nie zamierzała dłużej czekać z ujawnieniem swojej opinii.

– Wynos się ze wsi! – powiedziała zjadliwie. – Nie chcemy tu takiej.

Zrobiła krok ku Nadii, reszta kobiet za nią.

– Wstyd!

– Demoralizacja!

– Chłopów ma z dziesięciu, może i naszych się jej zachce!

Nadia zaczęła się bać. Kobiety podchodziły coraz bliżej, ponad ich ramionami widziała Ankę na sklepowych schodach, która jeszcze podgrzewała atmosferę, krzycząc:

– Kota i głupka w domu trzyma jak czarownica jakaś. Niech uważa, bo ją jeszcze ktoś podpali. Dawniej tak się te sprawy załatwiało.

Nadia nie wiedziała, co robić. Nie mogła się ruszyć, strach ją paraliżował. Kobiety były coraz bliżej, prawie już czuła ich oddechy.

Przecież mnie nie zabiją, pocieszała się w myślach. W biały dzień, w środku wsi.

– Rozum wam odjęło, głupie baby?! – Męski głos podziałął jak smagnięcie batem. Cofnęły się i rozstąpiły. Na drodze stał Stolarz z grubym kijem w dłoni.

– Co wy tu same sprawiedliwość chcecie wymierzać? Sądy od tego są.

– My na sądy nie będziemy czekać, same skończymy z tą Sodomą i Gomorą! – krzyknęła Anka ze sklepowych schodów, grożąc pięścią.

– Interesu idź pilnować – odpowiedział ostro Stolarz – żebym z Marianem nie musiał porozmawiać, jak przyjedzie.

– On by to samo powiedział. – Anka chciała mieć ostatnie słowo, ale wycofała się i weszła do sklepu.

Reszta kobiet pozbawiona przywódczyni zaczęła się rozchodzić. Stolarz stanął przy Nadii i czekał, aż wszystkie pójdą.

– Dziękuję panu. Nie wiedziałam, co robić. Wystraszyły mnie.

Nie odpowiedział. Na pooranej zmarszczkami twarzy nie było uśmiechu.

– Jeszcze raz dziękuję. Do widzenia.

Postanowiła zawrócić. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu. Obiecywała sobie w myślach, że już nigdy sama nie przejdzie przez wieś.

– Podobno ktoś w nocy szybę w Rozstajach wybił? – usłyszała głos Stolarza, kiedy była już w pewnej odległości od niego.

– Tak – potwierdziła, przystając.

– Pani się nie martwi. Przyjdę jutro i wstawię nową.

– Dziękuję.

Odeszła. Stolarz stał jeszcze chwilę, patrząc na sklepowe okna.

– No i czego się tak gapi! – denerwowała się Anka, obserwująca przez okno dalsze wydarzenia. – Stary dziad! A ty co tak stoisz?! – wrzasnęła na Mirkę. – Cukier trzeba na półkach porozstawiać!

– Tak, pani Aniu. – Dziewczyna natychmiast zaczęła wykonywać polecenie.

– Aleśmy jej dały popalić. – Anka uśmiechnęła się na wspomnienie niedawnych wydarzeń. – Szkoda, że Stolarz przeszkodził, nie?

Mirka nagle przerwała pracę i odwróciła się w stronę pracodawczyni.

– Nie należało, pani Aniu.

– Jak to nie? Sama wiesz, co wyprawia w tych swoich Rozstajach.

– To jej ziemia, pani Aniu. I jej prawo. Nic złego ludziom nie robi.

Anka poczerwieniała z wściekłości.

– Może mi jeszcze powiesz, że nie mam racji, co?! Może będziesz mnie pouczać?! Niedoczekanie! Ja cię o zdanie nie pytam! Ty tutaj masz pracować!

– Przecież pracuję, pani Aniu.

– Jeszcze dyskutujesz?! Z łaski cię trzymam, bo pożytku z ciebie żadnego! – Tak się zaperzyła, że przy każdym słowie przyskały z jej ust drobinki śliny. – Zwalniam cię! Wynocha! I już się nie pokazuj! – Palcem wskazała drzwi. Idź do tej wariatki! Może ona cię przyjmie!

– Dobrze, pani Aniu. – Dziewczyna rozpięła guziki fartucha, zdjęła go i starannie powiesiła. – Dobrze, że mnie pani zwalnia. Piotrek już dawno mówił, żebym odeszła, ale bałam się, że sobie pani sama nie poradzi. Dom, sklep...

– Już ty się o mnie nie bój!

– To idę. Piotrek obiecał, że mi pracę w mieście znajdzie. Do widzenia.

– Pracę w mieście – przedrzeźniała Anka. – Chyba mycie kibli. Głupia dziewczucha!



Kwiecień nie zaczął się dobrze. Zajście przed sklepem Nadia wolałaby wyrzucić z pamięci. Nie powiedziała o tym Błażejowi, bo nie chciała znowu słuchać wyrzutów i ostrzeżeń. Sama już zrozumiała, że będzie ciężko. Wydarzenia zaczęły układać się w logiczną całość. Najpierw rozbita szyba. Myślał, że to przypadek, nieuważne dzieciaki podczas zabawy wybiły i uciekły. Potem kobiety. Na wspomnienie ich twarzy otrząsnęła się. Wtedy zrozumiała. Dwa przypadki to już nie przypadki. Zaczęło się. Walka o cmentarz. A dzisiaj jeszcze Stolarz i pani Helena. Westchnęła, wspominając rozmowę z nimi.

Przyszli oboje, jeszcze przed dziewiątą. Pani Helena od razu wzięła się za porządki. Nadia tłumaczyła, że można to odłożyć do przyszłego tygodnia, bliżej świąt, żeby nie robić dwa razy, ale pani Helena zdawała się głucha na jej argumenty. W czasie, gdy Stolarz oprawiał nową szybę, ona szorowała, czyściła, myła. Kiedy skończyła, wypity razem herbatę, gawędząc o sprawach gospodarskich, żeby skrócić czas oczekiwania na zakończenie pracy przez pana Tadeusza.

– Dziękuję państwu bardzo – powiedziała Nadia, kiedy herbata została wypita, a w oknie lśniła nowa szyba. – Kiedy znów mnie pani odwiedzi, pani Heleno?

– Właśnie chciałam powiedzieć, że ja już nie będę przychodzić. – Kobieta nerwowo szarpała brzeg bluzki.

– Dlaczego?

Helena rozpaczliwie spojrzała na męża, szukając u niego wsparcia.

– Ja tak postanowiłem. – Stolarz objął żonę ramieniem.

– Nie rozumiem...

– Rozumie pani – sucho odparł Stolarz. – Wie pani, co się dzieje. Już pani zapomniała o tym, co było wczoraj?

– Nie zapomniałam. – W ustach Nadii zabrakło śliny, oblizwała wargi językiem. – Ale miałam wrażenie, że pan ich nie popiera. Bronił mnie pan przecież. Chyba się pan ich nie boi?

– Ja to ja. Czy się boję, czy nie, to moja sprawa. – Stolarz wyprostował się dumnie. – Robię, co chcę. Ale moja Hela nie jest taka silna. A do sklepu musi chodzić i we wsi żyć. Nie będzie przychodziła, boby ją tamte zjadły.

– Panie Tadeuszu...

– Niech mnie pani nie próbuje przekonywać. Jestem mężem Heli i jestem za nią odpowiedzialny. Znam swoje obowiązki. I już zdecydowałem.

– Pan nie popiera tego, co robię, prawda?

– Co pani robi, to pani rzecz. Ja się nie mieszam. Tylko innych niech pani w to nie wciąga, żeby przez panią nie cierpieli.

Nadia pokiwała głową. Miała łzy w oczach. Rozumiała racje Stolarza, ale czuła się zdradzona. Nie spodziewała się, że oni...

Teraz, choć przypominała sobie tę scenę kolejny raz, znowu poczuła, że ma mokre oczy. Otarła je chusteczką.

Przydałoby się coś na poprawę humoru, pomyślała i przypomniały jej się wiśnie w spirytusie. Nie zdążyła jednak dojść do spiżarni, powstrzymało ją ciche pukanie.

Ktoś jeszcze? O tej porze? Nie dosyć jak na jeden dzień?

Za drzwiami stała Mirka.

– Mogę wejść? – spytała konspiracyjnym szeptem.

Nadia bez słowa otworzyła szerzej drzwi. Nie miała pojęcia, czego dziewczyna od niej

chce.

– Przyszłam wieczorem, żeby ludzie nie widzieli. Nie gniewa się pani?

– Nie. Co cię sprowadza?

– Chciałam podziękować za te rady, wie pani, co byłam poprzednio.

– Nie ma sprawy.

– Udało się, zadziałało.

– Tak, słyszałam, że spotykasz się z Błażem.

Nie zapraszała dziewczyny dalej, ale tamta sama usiadła na krześle, więc Nadii nie pozostało nic innego jak usiąść naprzeciw niej. Dziewczyna kontynuowała:

– E tam, Błażej to tylko o pani mówi albo o studiach, albo o Jędrzeju. Nudy. Ja mam innego chłopaka. I teraz jak mnie pani Ania zwolniła, to on mnie do miasta weźmie, tam poszukam pracy. I do tej wiochy już nigdy nie wrócę. Przyszłam się pożegnać. Mogę? – Wskazała na miseczkę z czekoladkami.

– Proszę, poczęstuj się. Dlaczego pani Ania cię zwolniła?

Dziewczyna rozwinęła czekoladkę i włożyła do ust. Papierek wrzuciła do miseczki z pozostałymi słodyczami.

– Prawdę mówiąc, to przez panią – machnęła uspokajająco ręką – Ale to nic, nawet dobrze.

– Jak to przeze mnie? – Nadia chciała poznać szczegóły.

– No bo powiedziała jej, że pani jest fajna i nie robi nic złego. A mi pani pomogła. – Kolejna czekoladka znikła w ustach dziewczyny, a papierek wylądował w miseczce. – Dlaczego pani tu przyjechała, na to zadupie?

– Chciałam uciec i schować się przed ludźmi.

– Tutaj? – Dziewczyna zachichotała. – Naprawdę jest pani trochę dziwna. Przecież tu ludzie wszystko o innych wiedzą. Nic się nie ukryje. W mieście przecież łatwiej się ukryć, nikt się nie zna, nie? – Kolejna czekoladka. – W ogóle w mieście jest fajniej. I mój Piotrek dobrze zarabia, stałą pracę ma. Bluzkę mi w prezencie kupił. – Wypięta dumnie pierś. – Fajna, co nie?

Nadia przytaknęła bez przekonania, bo trudno jej było okazać entuzjazm dla białego napisu „hot girl” na wściekle różowym tle.

– Niech pani lepiej stąd ucieka, jak ja. Inaczej te baby panią zamordują, serio. Ja się już zdecydowałam.

– Każdy ma swoją drogę – mruknęła Nadia pod nosem.

Dziewczyna nie usłyszała.

– O rany, zjadłam pani wszystkie czekoladki, przepraszam. – Podniosła się zmieszana, potrącając stół. – Pójdę już.

– Nie szkodzi. Słodycze są dla gości – uspokoiła Nadia. – Zaczekaj jeszcze chwilę, dobrze?

Mirka usiadła, a Nadia poszła na górę. Po kilku minutach zeszła i podała dziewczynie kopertę.

– Weź to. Na kopercie jest adres i nazwisko. Idź do tej pani i daj jej mój list. Ona znajdzie dla ciebie pracę.

– Jejku, serio? – Dziewczyna rzuciła się Nadii na szyję. – Pani jest naprawdę fajna. Bardzo dziękuję!

– Daj spokój. – Nadia uwolniła się z objęć Mirki. – Życzę ci powodzenia.

– Nie dziękuję. Pa! – Dziewczyna okręciła się na pięcie i wybiegła, stukając klockowatymi obcasami. Chyba już się nie przejmowała, że ktoś ją zobaczy.



Dwaj chłopcy skradali się cicho do płotu. Kiedy dotarli do miejsca, w którym ogrodzenie zarośnięte było od strony drogi gęstymi krzewami, odetchnęli z ulgą. Wiedzieli, że są bezpieczni, niewidoczni od strony domu. Jeden kiwnął głową, drugi zrozumiał natychmiast, o co chodzi. Wyciągnął z kieszeni kurtki procę i załadował kamień. Nie zdążył nawet wycelować, bo nagle obaj chłopcy poczuli czyjeś ręce chwytające ich w pól. Chcieli krzyknąć, ale inne ręce zakryły im usta. Próbowali się opierać, lecz przeciwnicy byli silniejsi. Opór nie miał sensu.

Chłopcy zostali zaciągnięci na pole po drugiej stronie drogi. Tam napastnicy posadzili ich wprost na ziemi i ujawnili się.

Ich też było dwóch. Ogolony na łyso z mnóstwem rzemyków na szyi i tatuażem przedstawiającym chińskiego smoka odezwał się pierwszy:

– Wiemy, co chcieliście zrobić. Wybiliście w tym domu już trzy szyby w ciągu tygodnia, ta miała być czwarta.

– To nie my, psze pana – próbował się bronić jeden z chłopców.

– Cisza! – wrzasnęła zniecierpliwiona druga mężczyzna, który dla odmiany miał długie blond włosy zaplecione w mnóstwo drobnych warkoczyków. – Mamy zdjęcia.

– Ojciec będzie musiał zapłacić za szkody – powiedział pierwszy.

– A wam tyłki skroi – dodał drugi.

Chłopcy rozplakali się.

– Chyba że obiecacie...

– ...że nigdy więcej nie zbliżycie się do tego domu.

– Obiecujemy – pociągając nosem, oświadczył chłopak z procą.

– Jeśli nie dotrzymacie słowa, to wasi starzy dowiedzą się o wszystkim...

– ... a my wyślemy wam ogromny przekaz złej energii.

– Dotrzymamy słowa! Niech pan nas puści! – prosili płaczliwie.

– No to jazda! – wrzasnęła nagle łyso.

Chłopcy pognali ile sił w nogach w kierunku Zabycia.

– Ale dowaliłeś z tą złą energią! – Łyso śmiał się do rozpuku.

– Co chcesz, dobrze wyszło, widziałeś, jak uciekali, nie? – bronił się blondyn.

– A swoją drogą to przesadzili gówniarze. Trzy szyby w ciągu kilku dni.

– To przez te groby.

– Myślisz?

– No.

– Prawdę mówiąc, to nie spodziewałem się po niej czegoś takiego. Miła jest, ale żeby taki performans wałnąć... no, no!

– Udało się jej, fakt. Latem trzeba tu jakiś plener zorganizować. Temat – marzenie.

– Chyba że ją w wariatkowie zamkną.

– No. Ale jak nie zamkną, to zapowiada się na niezłą artystkę. Pierwsza próba i taka udana prowokacja. Ja bym miesiąc myślał i bym nie wymyślił.

– Mnie się widzi, że jej się aż za bardzo udało. I dlatego będę się stąd zbierał. Kwiecień się zaczął, coraz cieplej, pora ruszać.

– Myślisz?

– No, tak myślę. Mogę podziwiać jej talent z daleka. Bo tutaj to się niedługo tłoczno zrobi. A ja tłoku nie lubię, mam duszę samotnika. – Roześmiał się.

– Ale gówniarzy wypłoszyliśmy.

– Należało im się.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. – Ksiądz, zapukawszy uprzednio, uchylił drzwi i zajrzał do wnętrza domu.

– Chwileczkę, już schodzę! – usłyszał okrzyk z góry. – Proszę się rozgościć!

Usiadł na krześle, składając złożone ręce na kolanach. Korzystając z nieobecności gospodyni, rozejrzał się uważnie.

Czysto i schludnie. – Pokiwał w zamyśleniu głową.

– Nie spodziewałam się, że ksiądz mnie odwiedzi – zagadnęła Nadia od schodów.

– A czego się spodziewałaś, moje dziecko? – Spojrzał w jej stronę.

– Że mnie ksiądz wyklnie z ambony na niedzielnej mszy.

Przewidywał taką reakcję. Od zawsze służył w wiejskich parafiach, wiele widział i słyszał. Z czasem posiwiiał, ale umysł miał trzeźwy i zdrowie dopisywało. Do tej pory zawsze radził sobie, ku zadowoleniu swoich zwierzchników, z ludzkimi kłopotami. Nauczył się

cierpliwości i spokoju, znał także mechanizm obrony za pomocą drwiny, złości lub agresji. Ta kobieta prezentowała go w najczystszej postaci.

– Nie zwykłem nikogo wyklinać. Nie mnie oceniać, ale Jemu. – Wzniósł oczy do góry.

– To po co ksiądz przyszedł?

Nie od razu odpowiedział. Raz jeszcze rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Niewiele się tu zmieniło, chociaż, przyznaję, widać kobiecą rękę.

– Ksiądz bywał u Jędrzeja?

– Owszem, z kolędą zachodziłem.

– A do mnie ksiądz nie zaszedł – raczej stwierdziła, niż zapytała.

– Nie wiedziałem, czy jestem mile widziany – spokojnie odparł ksiądz. – Nie widuję cię w kościele, drogie dziecko.

– Jeśli nawracanie mnie jest prawdziwym celem tej wizyty, to niepotrzebnie się ksiądz fatygował. – Nadia skrzyżowała ręce na piersiach. – Ja jestem osobą wierzącą. Na swój sposób, ale wierzącą.

– Tym lepiej, moje dziecko. – Pokiwał głową. – Szybciej dojdziemy do porozumienia. Taką przynajmniej mam nadzieję. – Wskazał na drugie krzesło. – Może usiądziesz, uspokoisz się i porozmawiamy?

Nadia czuła, że nie chodzi o zwykłą pogawędkę. Zrozumiała jednak, że ma do czynienia z dobrym i mądrym człowiekiem. Choć gość nie wyglądał jak gruby dobroduszny wiejski proboszcz z obrazków i filmów, to wyczuwała, że ma dobre intencje i przynajmniej będzie próbował ją zrozumieć.

– Przepraszam księdza za ten nie najlepszy początek. Ostatnio mam złe dni, jestem trochę zdenerwowana i przewrażliwiona.

– Nie szkodzi, moje dziecko. – Na twarz wypłynął mu dobroduszny uśmiech wypracowany podczas długoletniej posługi.

– Czy ksiądz napije się czegoś?

– Chętnie. Trochę mnie droga zmęczyła. Z kościoła tu kawałek, a po siedemdziesiątce zauważyłem, że jakby coraz dalej.

– Proponuję herbatę i konfitury z wiśni. Może usiądziemy na tarasie? Dziś tak ciepło... Za chwilę wszystko przygotuję.

Kiedy już usiedli i wymienili zdawkowe uprzejmości na temat gospodarstwa, Nadia powróciła do tematu, który pragnęła mieć jak najszybciej za sobą.

– Nie odpowiedział ksiądz na moje pytanie. Co księdza skłoniło do odwiedzenia Rozstajów?

– Słyszałem...

– Doniesiono księdzu – sprostowała.

– Słyszałem – podkreślił ksiądz – że mieszkasz z wieloma mężczyznami. Kościół nie pochwała takich zachowań.

– Ksiądz ma niedokładne informacje. Ja mieszkam tu, a oni tam. – Wskazała na zabudowania po drugiej stronie podwórka. – Głodnego nakarmić, spragnionego napoić, słyszał ksiądz o tym? Gościnność to chyba nie grzech?

– Nie zaprzeczysz chyba, że jeden z nich jednak mieszkał w domu?

– To prawda.

– Życia w grzechu też Kościół nie pochwała.

– Prawdę powiedziawszy to za dużo tego grzechu nie było. – Niełatwo było jej wspominać tamten okres. – Przeważnie był zbyt pijany na inne grzechy.

Ksiądz pokiwał głową.

– Rozumiem, moje dziecko, ale on do kościoła przychodził. Spowiadał się, żałował swoich grzechów. A ty w nich tkwisz i skruchy u ciebie nie widzę.

– Boże, co za pokrętna logika. – Rozzłościła się Nadia. – Nieważne, co robisz, byle się wypowiadać.

– Nie używaj imienia... – Ksiądz przeżegnał się.

– Tak, wiem. Przepraszam.

Przez chwilę milczeli. Ksiądz nałożył sobie porcję konfitur. Nadia dołąła herbaty do filiżanek.

– Pyszne. – Obliznął łyżeczkę i odłożył na brzeg talerzyka. – A co z tym cmentarzem na łące?

– To nie jest prawdziwy cmentarz, tylko symbol. – Poczuli, że ksiądz nareszcie zdecydował się przejść do sedna.

– Ale tak nazywasz to miejsce. Słyszałem...

– Donieśli...

– ...że twierdzisz, jakoby miały to być groby dusz. To prawda?

– Tak.

– Kościół ma zupełnie inny pogląd na sprawę dusz, moje dziecko.

– Ja Kościołowi nie bronię mieć swoich poglądów i myślę, że Kościół nie powinien mi zabraniać posiadania własnych. – Znowu ogarnęła ją złość, ale postanowiła podjąć próbę wyjaśnienia. – Zapraszam księdza na krótki spacer i opowiem księdzu pewną historię.

– Mam ją traktować jak spowiedź?

– Nie, to zwyczajna opowieść. Nawet, że tak powiem, z księdza branży. – Roześmiała się. – Jest chłopak i jest dziewczyna – zaczęła.

Jest chłopak i jest dziewczyna. Poznają się, zakochują w sobie. Spędzają ze sobą prawie całe dnie, rozmawiają. Są szczęśliwi i nierozłączni. Wszyscy stawiają ich za wzór – taka miłość nie zdarza się co dzień. Ona dba o niego, on przynosi kwiaty, szczęście kwitnie. I tak jest przez kilka lat. Zbliża się matura, zakochani uczą się razem, planują wspólne studia, przyszlą pracę, chcą całe życie spędzić ze sobą. Jednym słowem: idylla.

Tuż przed maturą dziewczyna zachodzi w ciążę. Mówi o tym przyszlemu tacie. Wspólnie opracowują zmianę planów – ślub zaraz po maturze, praca, zaoczne studia. Wiedzą, że będzie ciężko, ale wierzą w powodzenie.

Zaraz po maturze chłopak znika. Dziewczyna szaleje, szuka, dzwoni do jego rodziców. Ci informują, że chłopak wyjechał, nie chcą zdradzić dokąd. Dziewczyna mówi o ciąży, ale rodzice chłopaka jednoznacznie oznajmniają, że nic ich to nie obchodzi. Ona rozumie, że sama musi podjąć decyzję. Postanawia urodzić i wychowywać dziecko.

Po roku chłopak nagle odwiedza ją. Jest klerikiem. Mówi, że poczuł powołanie, a rodzice doradzili mu, żeby go nie odrzucał. Wybrał seminarium, ale zamierza wywiązywać się z obowiązków. Będziełożył na utrzymanie córki i będzie ją odwiedzał. Oczywiście w tajemnicy.

Dziewczyna rozumie jego wybór, tym bardziej, że sama jest osobą wierzącą. Akceptuje sytuację i zgadza się, aby „wujek” odwiedzał jej córkę. Wciąż jednak w duszy liczy na to, że chłopak zmieni decyzję. Szczególnie że nigdy wcześniej nie wykazywał zainteresowania karierą duchownego.

Zbliżają się terminy święceń, ostatecznego wyboru. Chłopak wyznaje, że nie wie, co ma robić, bo kocha dziecko, dziewczynę chyba też. Przyznaje, że bał się odpowiedzialności, a rodzice doradzili mu, jakie ma podjąć kroki, żeby uniknąć zobowiązań. Ona jest wściekła, każe mu dokonać wyboru.

Po kilku dniach on dzwoni i sucho informuje, że zostaje w Kościele. Rodzice marzyli zawsze o synu księdzu, a on nie chce zawieść pokładanych w nim nadziei. Prosi też dziewczynę o dyskrecję, bo ujawnienie, że ma dziecko, przekreśliłoby jego plany. Powołuje się na dawny związek i dobro dziecka.

Dziewczyna obiecuje dochować tajemnicy. Wychowuje córkę, nie zdradzając, kto jest jej ojcem. Pracuje, prowadzi dom, uczy się. I każdego dnia modli się, żeby z jakiegoś powodu Kościół go odrzucił. Jej bogiem stał się Bóg mściwy, Bóg zemsty.

Chłopak służy w dużej parafii, dobrze wypełnia swoje duszpasterskie obowiązki. Nie chce tylko prowadzić katechezy.

– To już cała historia – zakończyła Nadia. – A to są ich groby. – Wskazała na dwie płyty umieszczone obok siebie.

– Magda, Tomasz – odczytał ksiądz. – Czy oni umarli?

– Nie, żyją nadal. Znam ich oboje, chodziłam z nimi do jednej klasy. Żyją, choć ich dusze już umarły. Jego – kiedy zrezygnował z dziecka, jej – kiedy przestała wierzyć w miłość.

– Smutna historia – westchnął ksiądz.

Stał jeszcze chwilę przy kamiennych płytach, a potem zrobił nad nimi znak krzyża.

– Widzę, że ksiądz rozumie – odetchnęła z ulgą Nadia.

– Jako człowiek – tak. – Duchowny odwrócił się i ruszył w drogę powrotną – ale jako ksiądz muszę jasno powiedzieć, moje dziecko, że Kościół tego nie zaakceptuje. – Spojrzał przez ramię, jakby upewniając się, czy Nadia idzie za nim. – Powinnaś się jednak wypowiedzieć.

– Niech ksiądz zrozumie – ja będę robić nadal to, co czuję. Co zmieni moja spowiedź?

– Kościół zdania nie zmieni, ale parafianie złagodnieją – sapnął ciężko. – Zmęczyłem się. Dasz mi jeszcze herbatki i trochę tych pysznych konfitur? – Mrugnął do Nadii i uśmiechnął się szelmowsko.



Zobaczyła go dopiero, kiedy stanął obok. Właściwie najpierw ujrzała buty. Włoskie, markowe. Następnie, podnosząc głowę, zarejestrowała kolejno: firmowe dżinsy, dłonie o wypielęgnowanych paznokciach, skórzaną kurtkę, starannie wygolone policzki, błękitne oczy i dobrze ostrzyżone ciemne włosy. Dyskretnie pociągnęła nosem.

Nie mniej niż trzysta złotych – oceniła zapach. – Co ktoś taki tutaj robi?

– Dzień dobry – przemówił mężczyzna.

Głos miał miły, ale zbyt ugrzeczniiony.

– Dzień dobry – odpowiedziała, nie przerywając pracy.

Tego dnia postanowiła wyszczotkować Biesa i nie miała zamiaru odkładać tej czynności na później, bo kępki sierści walające się po podłodze doprowadzały ją do szewskiej pasji.

– Czy mam przyjemność z panią Nadią?

Na pewno nie jest stąd – rozstrzygnęła. – Niech szybko mówi, o co mu chodzi, bo nie mam czasu.

– Tak. – Wstała z taboretu, który wyniosła z kuchni, żeby ułatwić sobie pracę. – Pan wybaczy, że nie podaję ręki, ale sam pan widzi, co robię. Nie byłoby to zbyt higieniczne.

– Pani się boi zarazków?

– Nie, skądże. – Roześmiała się. – Ale nie wiem, jaki pan ma do nich stosunek, panie... – znacząco zawiesiła głos.

– Andrzej Gula.
– A więc pan jest stąd? Nigdy wcześniej pana nie widziałam.
– Nie mieszkam w Zabyciu od czasu studiów. Rodziców odwiedzam rzadko. Powiedzieli, że mamy nową sąsiadkę, więc czym prędzej przyszedłem się przedstawić. Słyszałem, że pani mieszkała w mieście?
– Tak, ale właściwie to z niego uciekłam.
– Ktoś pani groził, śledził?
– Nie, dlaczego pan tak sądzi? – zdziwiła się Nadia. – Po prostu miałam dość ludzi, zgiełku, sztucznego jedzenia...
– Nie lubi pani ludzi?
– Przyznam, że nie wszystkich – powiedziała, a w myślach dodała: – Ciebie też nie polubiłabym, dziwny jesteś.
– Podzielam pani zdanie. Myślę, że mamy wiele wspólnych poglądów.
– Skoro tak, to zapraszam do środka na dłuższą pogawędkę – powiedziała to, co wypadało powiedzieć.
– Nie chciałbym zakłócać spokoju – ugrzecznionym do granic możliwości głosem zaoponował mężczyzna. – Może raczej krótki spacer?
Kiwnęła głową na znak zgody i ruszyli w stronę sadu.
– Wspomniała pani coś o sztucznym jedzeniu. Nie sądzi pani, że to wielkie międzynarodowe koncerty bogacą się, wpychając w nas tę chemię? Nienawidzę przedsiębiorców, a pani?
Antyglobalista czy wariat? – zastanawiała się.
– Przeciwnie, bardzo ich cenię. Kiedyś też zajmowałam się biznesem i wiem, że to ciężki kawałek chleba.
– Przepraszam, nie chciałem pani urazić. – Szarmanckim gestem przepuścił ją przodem w zwięźeniu ścieżki. – Czy wobec tego nie czuje się pani samotna na tym pustkowiu? Ludzie przyzwyczajeni do obecności innych często w takich sytuacjach zaczynają mówić sami do siebie.
– Zabawne rzeczy pan opowiada. – Nadia z rozbawieniem pokręciła głową. – Ja co najwyżej rozmawiam z moim psem.
No, to akurat jest normalne.
Wyczuła w jego tonie lekki zawód i w głowie zapaliła jej się lampka ostrzegawcza.
– Nigdy nie mieszkałem sam, ale wydaje mi się, że siedząc całe długie zimowe wieczory samotnie, ma się mnóstwo czasu na przemyślenia.
– Owszem. – Nie wiedziała, do czego zmierza jej rozmówca.
– Czy często myśli pani o śmierci?
– Nie – odpowiedziała szybko, bo już wiedziała, kim jest ten mężczyzna. – Wiem, kim pan jest! – wykrzyknęła.
– Tak?
– Pan jest psychiatrą!
Potwierdził uprzejmym skinieniem głowy.
– Dlaczego wcześniej mi pan tego nie powiedział?
– Bo pani nie pytała.
– Kazali panu sprawdzić, czy jestem normalna?
– Normalność to rzecz względna. Prosimi – podkreślił to słowo – żebym się dowiedział, o co pani chodzi z tym cmentarzem.
– No tak, mogłam się domyślić. Najpierw ksiądz, teraz psychiatra. Tak się składa, że dla pana też mam opowieść związaną z pańskim zawodem. Jako psychiatra z pewnością do perfekcji

opanował pan sztukę czytania między wierszami, odgadywania powodów na podstawie kilku zdań i takie tam inne...

- Oczywiście, staram się. Takie umiejętności są bardzo cenne dla psychiatrii.
- To proszę słuchać, a może zrozumie pan powody.

Jest chłopak. Od najmłodszych lat na pytanie, jaki zawód wybierze, gdy dorośnie, odpowiada, że będzie lekarzem. Bada misie, wypisuje im recepty. Swój wybór podtrzymuje przez następne lata. W średniej szkole robi wszystkie możliwe kursy związane z ratownictwem medycznym, udziela się jako wolontariusz. Jednocześnie dużo czyta i jeszcze więcej się uczy. Ma świadomość, że nie jest łatwo dostać się na medycynę, ale ma jeden cel – pomagać chorym.

Wszystko wskazuje na to, że swój cel osiągnie. Podczas studiów nie ma może najlepszych wyników, ale jego zaangażowanie i chęć niesienia pomocy nie zostają niezauważone. Profesorowie mówią, że będzie lekarzem z powołania.

Z taką opinią bez trudu dostaje się na staż w klinice uniwersyteckiej. Po stażu decyduje, że będzie pracował w zwyczajnym powiatowym szpitalu. Tam, gdzie jest naprawdę potrzebny.

Tu należy wspomnieć o dziewczynie. Bo jest i dziewczyna. Od niedawna, co prawda, ale chłopak już zdążył się zakochać po uszy. Oświadcza się i zostaje przyjęty. Marsz Mendelssohna, wesele i... cne życie.

Młoda żona nie zamierza wyjeżdżać na prowincję. Każdego dnia wszystkimi sposobami stara się odwieść chłopaka od jego pomysłu. Nie wiem, który ze sposobów okazał się skuteczny, dość, że młody lekarz zostaje w klinice.

Z czasem zyskuje renomę, ma coraz większe grono wdzięcznych pacjentów. Żona zaczyna oczekiwać finansowych efektów sukcesu zawodowego męża. Lekarz otwiera więc prywatny gabinet, z czasem rozbudowuje go w prywatną przychodnię. Odnosi sukces finansowy, udaje mu się zaspokoić potrzeby żony i dwójki dzieci, które już zdążyły przyjść na świat. Staje się bogatym i wpływowym człowiekiem, lecz prominentów i ich rodziny. Jego własnej rodzinie niczego nie brakuje.

Stał się poważnym człowiekiem, nigdy się nie uśmiecha. Żona twierdzi, że po prostu wreszcie wydorósł.

- Myśli pan, doktorze, że to dlatego?
- Mężczyzna nerwowo splatał i rozplatał palce.

– Ze mną wcale tak nie było – zapewnił.

– Nikt tak nie twierdzi. Opowiadałam o Czarku. – Wskazała na nagrobek, przed którym właśnie stanęli. – On się nie uśmiecha, bo od dawna już go nie ma. Stracił swoje marzenia. Tu je pogrzebałam.

– Chyba rozumiem, co pani próbuje mi powiedzieć. – Lekarz odzyskał równowagę.

– I jaka jest pańska diagnoza?

– Cóż... z medycznego punktu widzenia wszystko wydaje się w porządku. Jednak doradzałbym pani znalezienie innego sposobu na realizowanie swoich fantazji, bo chociaż to, co pani robi, nie świadczy o chorobie psychicznej, to jednak sygnalizuje pewne zaburzenia emocjonalne, których dalszy kierunek rozwoju jest trudny do przewidzenia.

Nadię rozbawiła ta wypowiedź.

– Widzę, że zostawia sobie pan furtkę, na wypadek, gdybym kogoś pogrzebała żywcem pod jednym z tych pomników.

– Taka specjalizacja. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Nigdy nic nie wiadomo.

– A może pan doktor mógłby pomóc mi w uporaniu się z tymi zaburzeniami

emocjonalnymi? – zażartowała.

Psychiatra potraktował jej pytanie poważnie. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnął notes. Wyrwał kartkę i zapisał na niej numer telefonu.

– Proszę. Gdyby pani chciała spróbować, służę pomocą w miarę moich skromnych możliwości.

– A drogi z pana specjalista?

– Dla sąsiadki zastosuję specjalną zniżkę. – Ukłonił się lekko. – Pani Nadiu, czy mógłbym pospacerować tu jeszcze chwilę?

– Oczywiście, ale wybaczy pan, ja wrócę do swoich zajęć. Nie skończyłam jeszcze rozmowy z psem – powiedziała i krztusząc się ze śmiechu, oddaliła się szybkim krokiem.



– Zgadnijmy, kogo sołtys do nas przywiózł – zwróciła się do Biesa Nadia, stojąc w piżamie w szkocką kratkę przy oknie.

Od czasu wizyty nasłanego na nią psychiatry z premedytacją prowadziła z psem długie dysputy.

– To będzie poranna gimnastyka umysłu. No, zastanów się!

Pies nie odpowiadał, zajęty swoim śniadaniem.

– Dobra, dam ci kilka wskazówek. Mały, dość gruby, w garniturze. Kurtka skórzana do pół uda ze sznureczkiem w pasie i tysiącem kieszonek. Na głowie kraciasty kaszkiet. Na twarzy sumiaste wąsy. Znasz go? – ziewnęła i upiła łyk kawy z kubka, który trzymała w dłoni. – Musi być ważny, bo sołtys zachowuje się wobec niego bardzo uniżenie. Stawiam, że to ktoś z gminy. Zgodzisz się?

Bies raczył lekko zamerdać ogonem, ale pysk miał wciąż zanurzony w misce.

Mężczyźni stali przy samochodzie, którego sołtys jak zwykle nie zgasił, i rozmawiali. Pokazywali na dom, sołtys to kręcił przecząco głową, to znowu potakiwał.

Nadia przeciągnęła się i doszła do wniosku, że pora się ubrać. Rozmowa przed domem trwała już kilkanaście minut, więc pukanie rozlegnie się lada moment.

Kiedy zeszała z powrotem na dół, stwierdziła, że mężczyźni jakoś nie mogą się zdecydować, więc postanowiła ułatwić im sprawę. Wyszła na taras i krzyknęła:

– Dzień dobry, panie sołtysie.

Teraz wypadki potoczyły się szybciej. Obaj panowie weszli na podwórko i podeszli do schodów.

– Wójta pani przywiozłem – oznajmił z dumą sołtys.

– Wojciech Z...ski. – Wąsy skutecznie stłumiły głos wójta, który wszedł na schodki i wyciągnął rękę do Nadii.

Uścisnęła ją. Już dawno przyzwyczaiła się do faktu, że nikt tu nie dba o konwenanse.

– Miło mi.

– To ja jadę, a państwo porozmawiajcie, jak to się mówi, w cztery oczy – sołtys najwyraźniej pragnął się wycofać. – Przyjadę za pół godziny, tak jak się umawialiśmy.

Wójt kiwnął głową przyzwalająco i sołtys odjechał. Gdy tylko ustał warkot silnika, natychmiast przystąpił do działania.

– Przyjechałem, bo wpłynęła do gminy skarga na panią.

– Kto się skarży?

– Właściwie to kilka skarg – wymijająco odpowiedział wójt.

– Może pan wejdzie? – zaproponowała Nadia. – Nie jadłam jeszcze śniadania. Może pan zje ze mną?

– Dziękuję. Wolałbym zostać tutaj. Przyjechałem służbowo.

– Rozumiem. Wiele osób ostatnio nie chce u mnie bywać. Czego dotyczą skargi?

– Nielegalnego cmentarza, który pani zrobiła na terenie swojej posesji we wsi Zabycie. Muszę więc zadać pani pytanie: czy ma pani nielegalny cmentarz?

– I tak, i nie.

– Nie rozumiem. Albo pani ma, albo nie.

– Dokładnie mówiąc, to mam nagrobki, ale nie mam umarłych.

– W tej sytuacji muszę zapytać: gdzie są zmarli?

– Żyją.

– Uprzedzam panią, że za utrudnianie mi wykonywania pracy grożą paragrafy. – Wójt był poważny i bardzo służbowy. – Proszę odpowiadać zgodnie ze stanem faktycznym.

– Ja mówię prawdę. – Nadia pomyślała, że utarte formułki rodem z urzędowych pism w mowie są jeszcze trudniejsze do zniesienia.

– Skoro zmarli żyją, to muszę zadać pytanie: po co w takim razie nagrobki?

– Opowiem panu o nagrobku Majki, to pan się dowie po co.

Majka dużo czytała. Połykała wszystko: powieści, poezję, biografie, fantastykę. Żyła losami bohaterów, z nimi się śmiała i płakała. Później zaczęła pisać wiersze; początkowo nieporadne, z czasem coraz lepsze. Wygrała nawet jakiś konkurs poetycki. Chciała być poetką. Żyła w świecie własnych wyobrażeń i fantazji. Marzyła o wielkiej miłości.

I miłość przyszła. Był przystojny, miły i zainteresowany Majką. Dziewczyna była w siódmym niebie, czuła się najszczęśliwszą osobą na świecie. Euforia nie mijala po urodzeniu pierwszego i drugiego dziecka.

Dopiero przy trzecim Majka nawiązała kontakt z rzeczywistością. Kontakt bardzo brutalny. Zauważyła, że dzieci to nie laleczki, ale żywe stworzenia, które potrzebują jeść i pić. A jedzenia nie ma, bo złotowłosa księżę wszystko przepija.

Zaczęła więc pracować, z czasem na półtora etatu. Czasu na pisanie wierszy nie ma, zresztą do głowy przychodzą jej tematy raczej banalne niż górnotne.

Majka jest dzielną kobietą. Kocha swoje dzieci, więc pracuje ciężko, żeby zapewnić im jakie takie życie. Na księcia nie zwraca uwagi, chyba że on sprowokuje awanturę. Ogólnie rzecz biorąc, ciężko jej, ale jakoś sobie daje radę. Tylko koleżanki z pracy nie mogły zrozumieć, dlaczego kiedy na imieniny podarowały jej tomik wierszy Jasnorzewskiej, dostała histerii i wyrzuciła książkę przez okno.

– I co pan na to, panie wójcie?

– Jak jej było ciężko, to może wołała dostać pieniądze?

– Skoro tak pan to widzi... – Nadia zrozumiała, że jej opowieść była bezcelowa.

– Tak widzę. I może jej pani powiedzieć, żeby się zgłosiła do opieki społecznej. Są zasiłki celowe, okresowe, a nawet bezzwrotne zapomogi.

– Widzę, że pan doskonale zna przepisy.

– Muszę, to mój obowiązek.

Nadia wiedziała już, jak zakończyć sprawę z tym służbistą.

– Pan wie, co to jest prawo własności? – Pokiwał głową, więc kontynuowała. – I wie pan, że mogę na swojej ziemi układać tyle kamiennych płyt, ile zechcę?

– Jeśli nie szkodzi to środowisku i nie łamię pani innych przepisów, to tak.

- Kupuję i układam na łące płyty. Nic więcej. Czy to jest zgodne z przepisami?
 - Chyba tak.
 - To znaczy, że skargi są bezzasadne. Zgodzi się pan?
 - Tak. Z urzędowego punktu widzenia wszystko tu jest w porządku. – Widać było, że ta konkluzja przyniosła mu ulgę. – Przepraszam za najście. Do widzenia.
 - Może pan tutaj zaczeka? Sołtys przyjedzie dopiero za chwilę.
 - Dziękuję, ale wyjdę mu naprzeciw.
 - Jak pan woli.
- Nic nie zrozumiał, pomyślała, ale przynajmniej się odczepił.



Po świętach wielkanocnych kilku wędrowców wyjechało i wyglądało na to, że nowi na ich miejsce przyjadą dopiero jesienią. Ci, którzy pozostali, niewiele czasu spędzali w pokojach. Coraz mocniej grzejące słońce i wiosna, która już na dobre zagościła w lesie, wabiły ich i znikali na całe dni.

Nadia postanowiła wykorzystać nieobecność gości i posprzątać zwolnione pokoje. Musiała przyznać, że są w lepszym stanie, niż się spodziewała. W pomieszczeniach było czysto, pozostało jej tylko zabrać pościel do prania. Pomyślała, że dobrze byłoby też wytrześcić i przewietrzyć materace. Skonstruowała prowizoryczny trzepak, kładąc długą żerdź w narożniku płotu, spięła włosy i uzbrojona w trzepaczkę zabrała się do pracy.

Przy tej czynności zastał ją Sławko. Nadszedł od strony wsi i stanął przy płocie. Udała, że go nie widzi i ze zdwojoną siłą uderzała w materac. Mężczyzna przeskoczył płot, podszedł i złapał ją za rękę, w której trzymała trzepaczkę.

– Witaj. Stęskniłem się za tobą.

– A ja za tobą nie. – Próbowała wyrwać rękę. – Wracaj, skąd przyszedłeś.

Wyglądał źle. Pod oczami miał czarne cienie, schudł, widać było, że nie golił się od kilku dni. Stanął z rękami w kieszeniach, chwiejąc się lekko. Najwyraźniej zdążył już coś wypić.

– Nie wiedziałem, że masz artystyczną duszę. Ten cmentarz to naprawdę dobre dzieło – pochwalił.

Nie odpowiedziała.

– Kiedy mi o nim powiedzieli, zaraz przyjechałem. Dwoje artystów musi się przecież jakoś dogadać. Zaczniemy od nowa, przecież obydwójce tego chcemy.

– Mowy nie ma. Ja nie chcę i przyjmij to wreszcie do wiadomości. Wynocha z Rozstajów. Raz na zawsze!

Sławko zrozumiał, że nie może liczyć na powrót, więc zdecydował się na ujawnienie prawdziwej przyczyny przyjazdu. Drapiąc się po zarośniętym policzku, proszącym głosem zapytał:

– Nadiu, czy przez wzgląd na nasz związek mogłabyś umieścić mój nagrobek na swoim cmentarzu?

– Co?!

– Oczywiście w kwestii finansowej możemy się dogadać. Będę jakoś spłacał...

– Nawet o tym nie myśl! – Nadia była już mocno zdenerwowana.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo mogłoby mi to pomóc. Rozumiesz, tu nagrobek mojej duszy – jak widzisz, wiem o co chodzi, wędrowcy mi powiedzieli – a ja powstaję jak Feniks z popiołów i piszę wiersze – rozmarzył się.

Nadia nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– To niemożliwe! Nie zgadzam się. Mój cmentarz jest dla tych, którzy są nieszczęśliwi, bo nie mieli odwagi albo siły, żeby realizować swoje marzenia.

– Ja też jestem nieszczęśliwy – nieudolnie odgrywał żalność.

– Tak, ale tylko dlatego, że nie jesteś sławny. To cię interesuje. Sława, a nie sztuka – wygarnęła mu wszystko, co naprawdę myślała. – Ty nie błędzisz. Przeciwnie – idziesz wprost do celu, nie licząc się z nikim. Interesuje cię wyłącznie własne dobro. A jeżeli czujesz się nieszczęśliwy, to tylko dlatego, że nie udaje ci się go osiągnąć tak szybko, jakbyś chciał. Nie będziesz miał nagrobka na moim cmentarzu! Wybij to sobie z głowy!

Słowa prawdy najwyraźniej zabolęły Sławka i jednocześnie rozwścieczyły. Zrobił krok w jej kierunku i podniósł rękę, zamierzając ją uderzyć. Zamknęła oczy, oczekując ciosu, ale nie poczuła bólu. Podniosła powieki i zobaczyła, że Sławko leży na ziemi, a przy niej stoi Antoś.

Chłopak trząsł się ze zdenerwowania.

– Ja chciałem tylko panią obronić.

Nadia pochyliła się nad leżącym. Oddychał. Miała nadzieję, że nie stało mu się nic poważnego. Pijani wychodzą cało z gorszych opresji. Podniosła się i przytuliła roztrzęsionego Antosia.

– Byłeś bardzo dzielny.

– Ale ja go nie zabiłem?

– Skądże. Musiał się uderzyć, upadając, i zemdlął. Zobacz, już się porusza.

Rzeczywiście, Sławko poruszył ręką i wybełkotał coś, co brzmiało jak przekleństwo.

– Antosiu, teraz pobiegiesz do Błażeja i poprosisz, żeby przyszedł – tłumaczyła spokojnie. – Mogę potrzebować pomocy.

– Ja nie zrobiłem nic złego? – upewniał się Antoś.

Chłopak pobiegł. Tymczasem Sławko zdążył dojść do siebie. Podniósł się powoli i zaczął doprowadzać do porządku ubranie.

– Teraz nie masz wyboru – oświadczył triumfalnie. – Zrobisz to, o co cię proszę.

– Niby dlaczego?

– Lubisz tego głupego i nie pozwolisz zrobić mu krzywdy, wiem o tym. Jeżeli nie będzie tu płyty z moim imieniem, to złożę doniesienie o pobiciu i głupek trochę posiedzi. – Zaśmiał się z pogardą. – Obdukcję załatwię zaraz.

– Nie tak prędko – powstrzymała go Nadia. – Zapomniałeś, że nie masz do czynienia z byle kim. Wiesz, że ja mam wielu znajomych. I mam też dobrych prawników, którzy łatwo udowodnią, że wtargnąłeś na prywatny teren i groziłeś mi. Byłeś przy tym pijany i po prostu się przewróciłeś.

– Nie zrobisz tego.

– Zrobię – oświadczyła chłodno. – A teraz daję ci pięć minut na opuszczenie mojej ziemi. Sławko zrozumiał, że nic więcej nie wskóra.

– Masz papierosa? – spytał, zbierając się do odejścia.

Wyciągnęła z kieszeni spódnicy całą paczkę i rzuciła w jego stronę.

– Masz! I idź już.

Pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Wiedz, że nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa. – Przypalił papierosa zapalkami wyciągniętymi z tylnej kieszeni spodni. – Zawsze mam to, co chcę. I prędzej czy później będę miał grób na tym cmentarzu.

Nie zamierzała z nim dyskutować. Wskazała palcem na furtkę i w milczeniu patrzyła, jak odchodzi.



– Nadia!
– Tu jestem!
– Gdzie on jest? – Błażej dyszał ciężko, widać było, że biegł przez całą drogę.
– Poszedł sobie. Co z Antosiem?
– Odesłałem go do domu. Nic ci nie jest?
– Wszystko w porządku. – Nadia siedziała na trawie, obejmując rękami kolana.
Rozmowa ze Sławkiem wiele ją kosztowała, teraz wszystkie siły ją opuściły, czuła, że musi odpocząć.
– Postraszyłam go i odszedł.
– Szkoda. Od dawna miałem ochotę obtłuc mu mordę. Czego chciał?
– Grobu.
– Idiota. – Błażej schylił się i podniósł trzepaczkę. – Skończę za ciebie.
– Nie trzeba.
– Skończę. Jestem tak naładowany, że dobrze mi to zrobi. A przy okazji zrobię coś pożytecznego. – Przez chwilę ważył trzepaczkę w dłoni. – Bałem się, że nie zdążę...
Podszedł do wiszącego materaca i zaczął rytmicznie w niego uderzać.
– Teraz już powinno się zrobić spokojniej. Wiesz, był już ksiądz i wójt. A nawet psychiatra.
Błażej przerwał trzepanie.
– Co powiedział psychiatra?
– Jak to psychiatra. Nic konkretnego, ale uznał, że do leczenia się nie kwalifikuję. –
Uśmiechnęła się na wspomnienie tamtej wizyty.
Błażej usiadł przy niej.
– A co o nim sądzisz?
– Przystojny, dobrze ubrany, chyba dobrze mu się powodzi. – Parsknęła śmiechem. –
Znasz powiedzenie: „Lekarzu, lecz się sam”.
– Znam.
– A właściwie dlaczego tak o niego wypytujesz?
– Bo to mój brat. – Błażej grzebał trzonkiem trzepaczki w trawie.
– Serio?! Przepraszam, jeśli cię uraziłam, ale pytałeś o moje odczucia. Nie wiedziałam, że masz brata.
– Wielu rzeczy o mnie nie wiesz.
– Bo mi nie mówisz. Słuchaj, ale on powiedział, że nazywa się Gula!
– To kłamał. Starzy go tu ściągnęli i nasłali. Wiesz, ludzie mieli nadzieję, że okażesz się wariatką, będzie można cię zamknąć i po sprawie.
– Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? – spytała z wyrzutem.
– Po co? Znam cię i wiedziałem, że będzie dobrze. – Wzruszył ramionami, wstał i wrócił do pracy.
Nadia przyglądała mu się przez kilka chwil.
– Dziwny jesteś – odezwała się.
– Tak myślisz? – Spojrzał przez ramię.
– Chłopaki w twoim wieku inaczej się zachowują. Mówią inaczej, myślą o pieniądzach, zabawie...

- Skąd to wiesz?
- Widziałam. W pracy, na ulicy. Są inni.
- Ja też byłem inny. – Skończył trzepać i zarzucił sobie materac na ramię. – Ale się zmieniłem. Trzy lata spędziłem z Jędrzejem. – Poprawił ładunek. – Może dlatego?
- Może...

Oślepił ją błysk. Zamrugała oczami, a kiedy ostrość powróciła, zobaczyła, że przyczyną błysku był aparat fotograficzny. Aparat trzymała w ręku niska, szczupła dziewczyna z burzą rudych kręconych włosów na głowie i dużą torbą przewieszoną przez ramię.

– Dobry wieczór. – Głos miała donośny i zdecydowany, niepasujący do jej drobnej sylwetki. – Przepraszam, że tak późno, ale strasznie trudno tu do pani trafić.

Nie czekając na zaproszenie, weszła do środka i zaczęła wypakowywać na stół zawartość torby: zeszyt, plik zapisanych kartek, butelkę z wodą mineralną i dyktafon.

– Kim pani właściwie jest? – spytała Nadia zdezorientowana śmiałymi poczynaniami gościa.

– Jestem z prasy. – Od niechcienia machnęła jej przed oczami kartonikiem z nazwą znanego pisma dla kobiet. – Będę robiła z panią wywiad.

– To nie takie pewne. – Nadia miewała już wielokrotnie kontakt z dziennikarzami

i wiedziała, że musi postępować twardo i zdecydowanie. – Nie przypominam sobie, żebyśmy były umówione.

– Jak niby miałam się z panią umówić? – Dziewczyna nie dała się zbić z tropu. – Przecież tu nie ma nawet telefonu. Jest pani gotowa? – Jej palec zawisł nad dyktafonem.

– Proszę chwilę poczekać – stanowczo powstrzymała ją Nadia. – Proszę pani...

– Mam na imię Małgorzata. Może być Gośka, nie przeszkadza mi.

– Pani Małgorzato...

– Może będziemy sobie mówić po imieniu – po raz kolejny przerwała dziennikarka. – Wtedy łatwiej się otworzyć, no, rozmowa wypada lepiej.

– Wolalabym, żebyśmy pozostały w stosunkach formalnych.

– No tak. – Wyglądało na to, że nic nie zraża dziewczyny. – Mówiono mi, że pani jest nieufna i nie lubi ludzi. OK – będzie, jak pani chce.

– To dobrze, bo nie zamierzam udzielać żadnych wywiadów. Nie wiem zresztą, o czym miałybyśmy rozmawiać.

– Jak to o czym? – Dziennikarka nie ukrywała zdziwienia. – O cmentarzu.

– Skąd pani o nim wie? – tym razem zdziwiła się Nadia.

– Dziennikarze mają swoje źródła. Powinna pani o tym wiedzieć, w końcu robiła pani karierę w biznesie. – Wyraźnie chciała pokazać, że wie dużo i jest dobrze przygotowana.

Nie podobało się to Nadii. Nie miała ochoty na oglądanie swojej twarzy w popularnym miesięczniku. Nie po to uciekała, żeby teraz się ujawniać.

– Nie będzie wywiadu, czy pani to rozumie? Przykro mi, ale jechała pani na darmo.

– Pani Nadiu, ja jestem pewna, że będzie – upierała się dziewczyna wciąż tym samym zdecydowanym głosem. Uśmiech nie schodził jej z twarzy. Była pewna zwycięstwa.

– Nie będzie! – Nadia podniosła głos i chciała potwierdzić swoją decyzję uderzeniem w stół.

Zapomniała, że trzyma w ręku kieliszek z winem, który naląła sobie tuż przed przyjściem dziennikarki. Szkło rozprysło się na wszystkie strony, a wino chlusnęło prosto na bluzkę, tworząc malowniczą plamę.

Dziennikarka w jednej sekundzie chwyciła aparat. Flesz błysnął kilkakrotnie, po raz kolejny oślepiając Nadię.

– Proszę zrozumieć, pani Nadiu – zaczęła Małgorzata, kiedy tylko Nadia skończyła wycierać stół i zamiatać kawałki szkła. – SzeF wysłał mnie tutaj, bo nasza rozmowa ma być hitem kolejnego numeru. Liczy na mnie, a ja na ten wywiad. Jeżeli wrócę z niczym, to dla żadnej z nas nie będzie to korzystne.

– Dla mnie będzie. – Nadia rozpięła dwa górne guziki bluzki i ruszała materiałem, żeby plama z wina szybciej wyschła.

– Nie sądzę. Jeżeli pani nic nie powie, to będziemy zmuszeni wydrukować zwierzenia pani byłego partnera bez komentarza. A nie ukrywam, że nie przedstawił tam pani w korzystnym świetle.

– Sławko?!

– Owszem, tak ma na imię. – Dziewczyna zaczęła przerzucać rozłożone na stole kartki. – Zgłosił się do nas kilka dni temu z informacją, że ma wspaniałą kandydatkę do naszego działu „Niekonwencjonalne kobiety” – odrzuciła kartki, zostawiając w ręku jedną z nich. – SzeF się zapalił i miał rację. Temat super: cmentarz dla żyjących!

– O, Boże! – jęknęła Nadia, a Małgorzata kontynuowała niezrażona:

– Wie pani, chłop z chłopem zawsze się dogada. Ustalili, że pani będzie w „Niekonwencjonalnych...”, a on zaraz potem o waszym związku i swojej poezji. Dobre te

wiersze pisze? – zwróciła się do Nadii.

– Nie wiem, przy mnie chyba żadnego nie napisał. – Nadia miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

– Jasne – przyjęła do wiadomości dziennikarka. – Chce pani wiedzieć, co powiedział, zanim podejmie pani ostateczną decyzję? – Nie czekając na odpowiedź, zaczęła czytać: – „Moja była partnerka jest osobą bardzo wyzwoloną. Nie uznaje żadnych norm ani zasad, robi tylko to, co sama uzna za słuszne”. Albo tutaj: „Nadia łatwo nawiązuje kontakty z mężczyznami. Gościła ich zresztą kilkunastu. Nie może za to porozumieć się z przedstawicielkami swojej płci. Z przykrością muszę wyznać, że kobiety z sąsiedztwa nie lubiły jej”. Czytać dalej?

– Nie. Wystarczy. – Nadia podjęła decyzję. – Porozmawiam z panią.

– Będzie mi miło. – Uśmiech tkwił cały czas na twarzy dziewczyny jak przyklejony. – Wierzyłam, że podejmie pani słuszną decyzję.

– Napije się pani wina?

– Nie mogę. Przyjechałam samochodem. Ale proszę się nie krępować i nalać sobie.

Nadia wyjęła z kredensu nowy kieliszek i napełniła go winem. Usiadła i podparła czoło ręką.

– Nie mam zamiaru ani go oczerniać, ani dyskutować z jego poglądami. Nie będę też ujawniać szczegółów naszego związku, choć może powinnam to zrobić. Mogę opowiedzieć pani wyłącznie, co i dlaczego robię. Takie są moje warunki. Czy nadal jest pani zainteresowana?

– Oczywiście – zapewniła dziewczyna, energicznie kiwając głową.

– No to może pani włączyć to urządzenie. – Wskazała dyktafon.

Opowiedziała dziennikarce o cmentarzu, jego idei i symbolice. Dla lepszego zrozumienia okrasila opowieść historiami kilku grobów. Małgorzata wyglądała na zadowoloną z efektów. Podziękowała i zebrała swoje rzeczy.

– Może chciałaby pani zrobić kilka zdjęć na cmentarzu? – zaproponowała Nadia. – Jeżeli oczywiście nie jest za ciemno.

– Proszę się nie martwić. – Potrząsnęła burzą włosów dziennikarka. – Zrobiłam je, zanim do pani zapukałam. Jeszcze raz dziękuję. Numer oczywiście pani przyślemy. Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedziała zmęczonym głosem.

Stojąc w drzwiach, dziennikarka odwróciła się nagle i Nadię po raz trzeci tego wieczoru oślepił błysk lampy. Kiedy znowu zaczęła widzieć, dziewczyny już nie było, a ona zauważyła, że nadal ma rozpiętą bluzkę. Nie miała siły, żeby ją zapiąć. Dopiła resztę wina z kieliszka, który trzymała w dłoni i poszła na górę.



– Czy ty to widziałeś?! – Nadia z wściekłością rzuciła egzemplarz pisma w stronę Błażeja. – I ona jeszcze miała czelność mi to przysłać!

– Przynajmniej wiesz, co napisała – spokojnie odpowiedział Błażej. – Wolałabyś żyć w nieświadomości?

– No nie, ale posłuchaj, jaki liścik dołączyła. – Sięgnęła po kopertę i wyjęła z niej niewielką karteczkę. – „Pani Nadiu, życzę wielu przyjemnych chwil podczas lektury naszego miesięcznika”. To już prawdziwa bezczelność!

– Nic na to nie możesz poradzić. Powiedziałaś jej to, co chciałaś, a ona wybrała z tego to, co jej odpowiadało.

– Mówisz o tym tak spokojnie, bo jeszcze nie wiesz, co jej odpowiadało.

– Nie wiem, bo nie miałem szansy przeczytać. Odkąd wszedłem, pieklisz się cały czas, więc próbuję cię uspokoić.

– Racja – zmięgowała się Nadia. – Czytaj.

– A ty usiądź i uspokój się. Nalej sobie kieliszek wina, to ci pomoże.

– Już nigdy nie napiję się wina.

– A to dlaczego?

– Czytaj – rozkazała zamiast tłumaczenia.

Błażej usadowił się wygodniej w fotelu i wziął do ręki pismo. Już po kilku zdaniach zrozumiał, a nawet podzielał zdenerwowanie Nadii.

„Rozmowa” z Nadią zajmowała dwie strony, ale tekstu było na nich niewiele. Autorka opisała dziwny cmentarz, a jego właścicielkę nazwała „byłą bizneswoman, która po załamaniu nerwowym odkryła w sobie artystyczną duszę”. Wypowiedź Nadii okroiła do kilku zdań wyrwanych z kontekstu i skomentowała jako „mętną i pokrętną ideologię nieumniejszającą jednak prowokacyjności pomysłu”, a cmentarz nazwała „doskonałą formą terapii, pomagającą w odzyskaniu równowagi psychicznej” oraz „miejscem, które warto obejrzeć, aby przekonać się, jak niekonwencjonalnie można dać upust swoim najskrytszym fantazjom” i „dobre miejsce na weekendową odskocznnię od normalności dnia codziennego”. Wszystko to okraszone było mapką dojazdową do Zabycia oraz zdjęciem kilku nagrobków.

Nie to jednak było najgorsze. Obok tych dziennikarskich fantazji prawie całą stronę zajmowały trzy zdjęcia. Na pierwszym Nadia z kieliszkiem wina w ręku, na drugim z płamą wina na bluzce wśród stłuczonego szkła, na trzecim w rozpiętej bluzce, spod której wyraźnie widoczny był duży fragment bielizny. Pod zdjęciami napis: „Pani Nadia lubi wspomagać artystyczną wyobraźnię alkoholem”. Całość sugerowała, że rozmawiając z dziennikarką, Nadia była coraz bardziej pijana.

Już te dwie strony stawiały Nadię w, delikatnie mówiąc, nie najlepszym świetle. A to dopiero był początek. Kolejne cztery strony zajmowała rozmowa ze wschodzącą sławą, młodym zdolnym poetą. Był nim Sławko. Opowiadał o swoim związku z Nadią, o tym, jak bardzo ją kocha, o próbach roztoczenia nad nią opieki i okiełznania jej mrocznych fantazji. Z żalem informował o rozstaniu, o jej kłopotach z alkoholem i problemach w nawiązaniu prawidłowych relacji z otoczeniem. Między wierszami mówił też sporo o sobie, swoich planach artystycznych, poezji. Ze zdjęć uśmiechał się do czytelnika przystojny mężczyzna w koszuli z szerokimi rękawami i z książką w ręku. Majstersztyk stylizacji, poeta – marzenie każdej romantycznej kobiety.

Jednym zdaniem: Nadia miała prawo być wściekła. Odłożył pismo i podrapał się po głowie.

– Nie wiem, jak mogę ci pomóc. To naprawdę obrzydliwe. Może podasz ją do sądu?

– Zwariowałaś?! Takie sprawy ciągną się w nieskończoność. Zresztą co im powiem? Zdjęcia nie są fotomontażem, moje wypowiedzi przytoczono dosłownie, chociaż nie w całości, a ona ma prawo do własnego komentarza.

– Tyle że całość jest wyraźnie tendencyjna. I nic z tym nie można zrobić? W głowie się nie mieści! – Teraz Błażej dał upust emocjom.

– Nie ma jeszcze paragrafów oceniających poczucie przyzwoitości. A proces mógłby przynieść mi więcej szkody niż pożytku. Zaraz zjawiliby się kolejni dziennikarze żądni sensacji. A ja chcę mieć święty spokój.

– Z tym może być problem. – Nieco zmieszany Błażej podszedł do okien i zaczął zaciągać zasłony.

– Co robisz?

– Zrozumiałem, kim są ci ludzie, którzy kręcą się po wsi i w okolicy Rozstajów. Nie musisz wytaczać procesów, Nadiu, żeby mieć ich na głowie. Sam idąc tu dzisiaj, spotkałem kilku.

– Kogo?

– Dziennikarzy. Zobacz, tam stoi jeden.

Nadia podeszła do okna, odsunęła zasłonkę tylko na kilka centymetrów i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Tuż za płotem stał mężczyzna w skórzanej kamizelce. Patrzył na dom i notował coś w zeszyte. Błażej miał rację. Marzenia o spokoju przysły.

– I co teraz? – spojrzała na Błażeja pytająco. – Co mam robić?

– Nic. Musisz bardziej uważać. Pamiętać o zasłonach i zamykaniu drzwi. – Nagle przysłała mu do głowy pewna myśl. – Poczekaj, zaraz wracam. Mam pewien pomysł.

Kiedy wrócił po półgodzinie, mężczyzny przy płocie już nie było, ale Nadia wciąż stała w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Usłyszała, jak wszedł i nie odwracając się, spytała:

– Co teraz będzie?

– Nic. Spokojnie. Sprawa przycichnie. – Próbował pocieszyć ją Błażej. – Taka chwilowa sensacja. Za tydzień znajdzie się inna i zostawią cię w spokoju.

Podszedł i pokazał jej przedmiot, który przyniósł.

– Zobacz. Wizjer. Jutro poproszę Stolarza, żeby zamontował. Przestanieś wpuszczać do domu byle kogo.

Nawet nie spojrzała.

– Chciałam tylko spokoju. – W zamyśleniu splatała i rozplatała warkoczek z pasma włosów.

– I będziesz go miała. – Błażej pogłaskał ją po ramieniu. – Musisz tylko trochę poczekać.

– Jak długo?

– Nie wiem.

– Wariatka i alkoholiczka. Jak on mógł mi to zrobić? No, jak?!

– Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć i w ogóle nie mam ochoty dyskutować o tym facecie. Lepiej weź się w garść, bo potrzebny ci będzie rozsądek i mocne nerwy.

Zrozumiała, że jest zdenerwowany wspomnieniem Sławka. Nie powinna o nim mówić. Odwróciła się w stronę Błażeja. Chciała coś powiedzieć, ale nieoczekiwanie nawet dla samej siebie, rozplakała się.

Błażej był zakłopotany. Nie wiedział, co ma zrobić. Bezwiednie zrobił krok w stronę Nadii, a ona oparła głowę na jego ramieniu i płakała nadal. Przytulił ją delikatnie i niezręcznie pogłaskał po głowie.

– No, cicho już. Uspokój się.

W myślach przyznał, że marzył o chwili, w której będzie mógł ją przytulić, ale zupełnie inaczej wyobrażał sobie okoliczności, w których miałyby to nastąpić. Był mężczyzną, nie znał się na pocieszaniu. Cóż jednak miał zrobić, skoro ona właśnie tego teraz potrzebowała.

– Cicho... – powtórzył. – Wszystko będzie dobrze.



Nie było dobrze. Było coraz gorzej. W kolejnych tygodniach prawie wszystkie kolorowe pisma dla kobiet pisały o Nadii.

„Cmentarz na rozstajnych drogach”, „Nadia unika mediów – czyżby kolejne załamanie nerwowe?”, „Urzeczywistnienie mrocznych fantazji”, „Kobieta, która pogrzebała ludzkie dusze”

– to tylko niektóre tytuły prasowych rewelacji.

Błażej przynosił je wszystkie, a Nadia bez słowa odkładała je na kupkę. Nie rozmawiali o tym, bo żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć.

Dziennikarze wciąż przyjeżdżali. Niektórzy przychodzili prosić o rozmowę, ale Nadia konsekwentnie odmawiała.

Po kilku dniach przyzwyczała się do ich obecności. Siadywali przy drodze lub w zaparkowanych nieopodal samochodach. Spali tam i jedli, oczekując okazji do rozmowy lub zrobienia zdjęcia.

Antoś wprost oszalał na ich punkcie. Zapelniał kolejne kartki wizerunkami kobiet i mężczyzn z notatnikami i aparatami fotograficznymi.

Nadia starała się jak najrzadziej wychodzić z domu. Wciąż miała nadzieję, że ten cały koszmar szybko minie i będzie mogła wreszcie nacieszyć się wiosennym słońcem.



Długi majowy weekend rozpoczął się niezwykle przyjemnie. Słońce obudziło Nadię wczesnym rankiem i wszystko wskazywało na to, że nie zamierza na tym zakończyć. Z każdą chwilą grzało coraz mocniej, chcąc pokazać, że nie na darmo całą zimę zbierało siły.

Nadia po wypiciu porannej kawy na tarasie doszła do wniosku, że ma ochotę na nieco pracy fizycznej. Ułożyła sobie plan zajęć gospodarskich na cały dzień.

Ostatecznie – myślała – jeżeli nawet sfotografują mnie podczas odkurzania czy mycia okien, to nic się nie stanie. Zresztą takie prozaiczne czynności nie mieszczą się pewnie w ramach wizerunku szalonej artystki.

Wyciągnęła ze schowka pod schodami miotłę z brzoźowych witek i energicznie zabrała się za zamiatanie podwórka. Szło jej dobrze, jeżeli nie brać pod uwagę tumanów kurzu, które wzbijały się w powietrze i kręciły w nosie.

Tak zaangażowała się w pracę, że nie zauważyła samochodu, który zatrzymał się przed bramą. Wsiadły z niego trzy osoby, na pierwszy rzut oka sądząc – rodzina; matka, ojciec z cztero- lub pięcioletnią dziewczynką. Przez chwilę kobieta szeptała coś do ucha mężczyzny, pokazując ruchem głowy Nadię, a potem całą rodziną ruszyli wzdłuż płotu.

Kobieta wyjęła z torebki aparat fotograficzny i zrobiła kilka zdjęć domu. To zaciekało siedzącego na tarasie Antosia, który podszedł do płotu i zagadnął:

– Dzień dobry, czy pani jest dziennikarką?

– Nie, nie jestem. – Kobieta spłoszyła się nieco i nerwowymi ruchami zaczęła chować aparat.

– Przyjechaliśmy tylko obejrzeć – włączył się do rozmowy mężczyzna. – Możemy chyba?

– Ja nie wiem, ja tylko sobie tu rysuję. Pani Nadia mi pozwala – tłumaczył Antoś. – Można ją spytać. Zaraz zawołam.

– Nie trzeba – wtrąciła szybko kobieta, ale Antoś już krzyczał.

– Pani Nadiuu, pani Nadiu, goście do pani!

Nadia usłyszała wołanie. Odwróciła się i pomachała przyjezdnym. Oparła miotłę o ścianę szopy i podeszła.

– Dzień dobry, państwo do mnie?

– W pewnym sensie. – Mężczyzna przejął odpowiedzialność za pierwszy kontakt. – Żona przeczytała o tym miejscu w gazecie i przyjechaliśmy zobaczyć. Jeśli oczywiście pani wyrazi zgodę.

– Chcielibyście państwo obejrzeć cmentarz, tak?
– No tak – z wahaniem odpowiedziała kobieta. – Tyle o nim piszą...
– Wiem – skwitowała Nadia. – Państwo z daleka?
– Prawie sto kilometrów.
– To kawał drogi. W takim razie zapraszam na początek do mnie na kawę. Dla małej znajdzie się sok albo szklanka zdrowego wiejskiego mleka. Jak masz na imię? – zwróciła się do dziewczynki.

– Sandra – odparła i dodała: – To jak królewna, prawda?
– Prawda. Co wolisz: sok czy mleko?
– Wolę kotka – otwarcie wyznało dziecko, wskazując na Wyrzutka, który łąził po płocie.
– Sandra! – skarciła małą matka. – Zachowuj się!
– To żaden problem. Antosiu, złap Wyrzutka i pobawcie się z Sandrą. I uważaj na małą, dobrze?

– Dobrze, pani Nadiu. – Antoś wziął Sandrę za rękę i poprowadził w stronę kota.
– Nie wiem... – zaczęła kobieta.
– Proszę się nie martwić. Antoś jest odpowiedzialnym chłopcem. Córce nic się nie stanie.
– On wygląda na nienormalnego – wyrzuciła te słowa jednym tchem kobieta.
– To prawda. Antoś jest inny, ale gwarantuję, że może przez chwilę zająć się dzieckiem.
– Krysiu, nie przesadzaj, pani ma rację. Ja z przyjemnością napiję się kawy – wtrącił mąż i jego zdanie przesądziło sprawę.

Spędzili kilka godzin na miłej rozmowie. Nadia zaprowadziła ich na cmentarz, opowiedziała historie kilku grobów. Słuchali z zainteresowaniem, zadawali pytania. W pewnej chwili kobieta spontanicznie powiedziała:

– Jest pani zupełnie normalna. Nie taka, jak piszą w gazetach. – W tym momencie zdała sobie sprawę, jak zabrzmiała jej wypowiedź i zakryła usta ręką.

– Nie zawsze to, co piszą, jest prawdą – krótko skwitowała Nadia. – Najlepiej samemu sprawdzić.

– Ma pani rację. – Kobieta się uśmiechnęła. – Przepraszam, nie chciałam pani urazić.

Kiedy wrócili na podwórko, okazało się, że Sandra zdążyła zaprzyjaźnić się z Antosiem. Mieli już za sobą łapanie Wyrzutka, zabawę z Biesem, a teraz dziewczynka siedziała na pniu do rąbania drewna, a Antoś rysował jej portret.

– Będę królewną! – krzyczała już z daleka do rodziców.

Rzeczywiście. Na rysunku Sandra była królewną. Siedziała na tronie, na głowie miała koronę. Podobieństwo do modelki było uderzające, tylko sceneria zmieniona. Dziewczynka była zachwycona. Antoś także.

Ojciec Sandry wyciągnął portfel i podszedł do Antosia.

– Ile jestem ci winien za ten rysunek?

– Ja już nie sprzedaję rysunków – poważnie oświadczył chłopak. – Nie chcę niczego udawać.

– Nie rozumiem...

– To znaczy – wtrąciła Nadia – że ten portret to prezent dla nowej przyjaciółki, tak?

Antoś pokiwał głową. Mężczyzna podziękował i uścisnął chłopakowi dłoń. Rodzina zaczęła zbierać się do odjazdu. Tuż przy furtce kobieta nieśmiało zagadnęła Nadię:

– Mam jeszcze ogromną prośbę...

– Słucham?

– Chciałabym zrobić sobie z panią zdjęcie, jeśli się pani zgodzi. Pokazałabym koleżankom w pracy.

– Proszę bardzo.

Nastąpiła seria zdjęć. Nadia z rodziną, Antos z Sandrą, Sandra z psem i kotem. Wreszcie cała trójka zapakowała się do samochodu i machając, odjechali.

Nie dany był jednak Nadii odpoczynek. Ledwie zdążyła dojść do tarasu, a już przed bramą zatrzymał się kolejny pojazd – bus, z którego wysypała się grupka młodych ludzi. Ci nie mieli żadnych skrupułów i natychmiast głośno wyrazili chęć zwiedzania cmentarza. Nie potrafiła odmówić tym roześmianym nastolatkom i po raz drugi tego dnia ruszyła ścieżką wśród drzew, snując swoją opowieść.

Młodzi okazali się bardzo sympatyczni, słuchali z uwagą, próbowali dyskutować z Nadią i ze sobą nawzajem. Czuła się w ich towarzystwie tak dobrze, że gdy zapytali o najbliższy motel lub pokoje na nocleg, bez wahania oświadczyła:

– Możecie przenocować u mnie. Mam pokoje gościnne.

– Drogie? – zapytał wprost jeden z chłopaków.

– Najtańsze. – Roześmiała się. – Za darmo.

– Serio? – upewnił się, a kiedy uzyskał potwierdzenie, dodał: – Pani jest naprawdę cool.

I w ramach zapłaty za nocleg zaprosili Nadię na wieczorne ognisko z pieczeniem kiełbasek i piwem.

– Żadnych dragów nie będzie, spoko – zapewnili, a Nadia obiecała, że przyjdzie.

I poszła. Bawiła się doskonale. Wysłuchiwała ich pełnych zapału opowieści o planach na przyszłość i marzeniach. Odchodząc, życzyła im, aby wszystkie się spełniły, a oni ze śmiechem obiecywali, że zrobią wszystko, żeby nie zasłużyć na nagrobek u Nadii. Czuła, że zrozumieli to, co chciała im przekazać.

Przez całe trzy dni Nadia nie miała chwili wytchnienia. Bez przerwy pojawiali się nowi goście. Przyjeżdżali autobusem i własnymi samochodami. W pojedynkę, parami i całymi rodzinami. Młodzi i starzy. Różni.

Niektórzy tylko przyglądali się zza płotu, inni chcieli porozmawiać z Nadią. Nie odmawiała. Oprowadzała chętnych po Rozstajach, opowiadała o cmentarzu, pozwalała na zdjęcia. Udzieliła wywiadu do szkolnej gazetki na temat życia w zgodzie z naturą i do niskonakładowego zina o idei jej przedsięwzięcia.

Były także chwile nieprzyjemne. Kilkunastoosobowa grupa przyjechała wyłącznie po to, żeby obrzucić ją wyzwiskami i postraszyć wiekuistym potępieniem oraz ogniem piekielnym. Nie mieli na szczęście tyle odwagi, żeby przekroczyć bramę. Musiała też wyrzucić z domu zdesperowaną fankę Sławka, która próbowała ukraść jej koc, pod którym, jak uparcie twierdziła, na pewno spał ten wspaniały poeta.

Dziennikarze także mieli pracowity weekend. Pstrykali i notowali bez wytchnienia, ale Nadia była tak zajęta gośćmi, że nie zwracała na nich uwagi. W niedzielę wieczorem wreszcie była sama. Z ulgą usiadła na tarasie, rozkoszując się ciepłym wieczorem. Czuła się bardzo zmęczona, ale i bardzo szczęśliwa. Poznała wielu ciekawych ludzi, przekazała to, co uważała za ważne.



Kupka gazet znowu zaczęła rosnać. Efektem pierwszego majowego weekendu były nowe artykuły i reportaże: „Nadia z Rozstajów pozwala się oswoić”, „Młodzi znaleźli nową ideologię”, „Cmentarz pełen życia”, „Nowa moda – weekend na cmentarzu”, „Przeciwnicy cmentarza protestują”.

– Temat nie schodzi z pierwszych stron gazet – zauważył kwaśno Błażej. – W ten sposób nieprędko odzyskasz wymarzony spokój.

– Ale zauważ, że prawie wszyscy wypowiadają się o mnie dobrze. No, z wyjątkiem tych fanatyków. – Wskazała na jedno z pism.

– I wszyscy polecają przyjazd tutaj. Wiesz, co to znaczy?

– Trudno. Co ma być, to będzie. Herbatki?

– Raczej kawy.

– Tak na noc? Nie będziesz mógł zasnąć.

– Od kiedy się tak o mnie troszczysz? Do tej pory było raczej odwrotnie.

Nadia pokazała mu w odpowiedzi język i postawiła czajnik na kuchennej płycie.



Pierwsze stuknięcie ledwie dotarło do jej świadomości. Kolejne w końcu zdołały ją obudzić. Spojrzała na budzik. Piąta rano.

Co się dzieje? – pomyślała. Kto stuka o tej porze?

I zaraz potem:

Nie może przecież stukać do okna na piętrze. Może to deszcz?

Pukanie nie wyglądało na deszcz. Rozlegało się w seriach. Kilkanaście puknięć i przerwa. Znowu kilkanaście i znowu przerwa.

Odrzuciła kołdrę i usiadła na łóżku. Znowu pukanie. Podeszła do okna. Cisza. Otworzyła i spojrzała na dół.

– To ja. – Pod oknem stał Błażej, trzymając w ręku długi kij, którym stukał w szybę.

– Co się stało? – Była zaspana i zła.

– Ciiii. – Chłopak położył palec na ustach. – Ubieraj się i chodź. – Zauważył, że zamierza coś powiedzieć, więc natychmiast dodał: – Nie pytaj o nic. Nie mamy zbyt dużo czasu.

Nadia doszła do wniosku, że opór na nic się nie zda. Postanowiła zejść, rozmówić się z chłopakiem i wrócić do łóżka. Ubrała się i wyjrzała przez okno.

– Już schodzę. Podejdz do drzwi.

– Nie! – zaprotestował. – Nie drzwiami. Tędy.

– Oknem?!

– Ciiii. Śmiało, złapię cię. Tu nie jest wysoko.

Chwilę się wahała, nim podjęła decyzję. W końcu usiadła na parapecie i przełożyła nogi na drugą stronę.

– Skaczę – oznajmiła.

Zamknęła oczy i skoczyła.

Rzeczywiście ją złapał. Podniosła powieki, dopiero kiedy poczuła grunt pod nogami.

– Cóż takiego ważnego się wydarzyło, że budzisz mnie nad ranem i zmuszasz do skakania przez okno?

– Dzisiaj jest siódmy maja.

– To co?

– Rocznicą twojego przyjazdu. Przygotowałem z tej okazji coś specjalnego. Chodźmy – pociągnął ją za rękę.

– Nic z tego. Tamci – ruchem głowy wskazała na samochody za płotem – zaraz pójdą za nami. Wracam do domu, nie mam ochoty na kolejne zdjęcia.

– Wszyscy śpią jak zabici. Sprawdzałem. Dlatego chciałem, żebyś zeskoczyła. Zanim się

obudzą, wrócimy. – Kiwnął zachęcająco głową. – Nie daj się prosić. Należy ci się chwila wytchnienia.

Zaprowadził ją na sam brzeg lasu, gdzie spod jakiegoś krzaka wyciągnął plecak, a z niego butelkę wina i dwa kieliszki. Na mokrej od rosy trawie rozłożył swoją kurtkę i dworskim gestem zachęcił Nadię, żeby usiadła.

– Za twoje szczęście – wzniosł toast. – I dalsze spokojne życie w Rozstajach.

– Dziękuję. Nie wiedziałam, że potrafisz być taki romantyczny. Wybrałeś piękne miejsce i zorganizowałeś to wszystko...

– Nie wiem, czy to romantyzm. Po prostu starałem się zgadnąć, co mogłoby ci sprawić przyjemność.

– I trafiłeś w dziesiątkę.

– Mam jeszcze coś. – Zniknął na chwilę w lesie i wrócił z olbrzymim naręczem żółto kwitnących gałązek forsycji. – Proszę.

– Piękne – zachwyciła się. – Wiesz co, jak szaleć, to szaleć. Uplotę nam wianki.

Wybrała najcieńsze gałązki i wykonała swój zamiar. Wianki co prawda były nieco nieforemne, a końce gałązek wystawały ze wszystkich stron, ale Błażej zaakceptował nietypowe nakrycie głowy bez protestów.

W drodze powrotnej Nadia chciała wstąpić na cmentarz. Szła od grobu do grobu i na każdym zostawiała gałązkę forsycji.

– Niech oni też mają trochę radości – powiedziała.

Wianki ukryli wśród drzew owocowych i zupełnie spokojnie weszli na podwórze. Było cicho. Wszystko wskazywało na to, że koczujący w samochodach dziennikarze nadal śpią.

Podeszli do drzwi i dopiero wtedy Nadia zorientowała się, że wyskakując przez okno, zapomniała zabrać klucz. Podzieliła się tym z Błażem.

– I co teraz?

– A co powinien zrobić w takiej sytuacji romantyk?

– Chyba wdrapać się przez okno, a potem otworzyć drzwi od wewnątrz – odpowiedziała ze śmiechem.

– Skoro tak... Cóż, jak się powiedziało a, to trzeba powiedzieć i b.

Błażej znikł za domem, a po kilku minutach pojawił się w drzwiach wejściowych. Weszli do środka. Buty mieli całkiem przemoczone od porannej rosy, więc ułożyli je na piecu, a Błażej dorzucił do środka trochę drewna.

– Może jeszcze planujesz romantyczny taniec na bosaka? – zażartowała Nadia. – Może walc?

– Aż taki romantyczny, żeby tańczyć, to ja nie jestem – odpowiedział Błażej. – Zresztą nie umiem tańczyć walca. Prosty chłopak ze mnie, żaden tam książe.

– Ale z wejściem na piętro poradziłeś sobie błyskawicznie.

– Nie powinienem zdradzać tajników mojego warsztatu, żeby podtrzymać mój wyidealizowany obraz w twoich oczach, ale muszę ci się do czegoś przyznać...

– ...?

– Poszło mi tak szybko, bo wszedłem po drabinie.

Nadia wybuchnęła śmiechem. Nie mogła się uspokoić.

– No i czego się tak śmiejesz? – przywołał ją do porządku z pretensją w głosie. – Przestań. Nic bym ci nie powiedział, ale drabina nadal stoi pod oknem. Bo jak niby miałem ją odstawić?



Po kolejnych publikacjach prasowych w Rozstajach zapanował jeszcze większy ruch. O ile pierwsze dni były dla Nadii pełne radości, to każdy kolejny stawał się coraz bardziej męczący. Chciała odrobiny samotności, z rozrewnieniem wspominała ubiegłoroczne bieganie na bosaka i spokojne wieczory z książką na tarasie.

Ludzie przyjeżdżali już nie tylko w soboty i niedziele. Każdego dnia przy drodze zatrzymywały się samochody pełne ciekawskich. Po tygodniu pojawił się pierwszy autokar, na kolejne nie trzeba było długo czekać. Po cmentarzu i okolicznych polach spacerowały kilkudziesięcioosobowe wycieczki głodne sensacji i nowinek o życiu Nadii.

Początkowo starała się oprowadzać wszystkich, odpowiadać na każde pytanie, porozmawiać z każdym, kto miał na to ochotę. Z czasem przestała po prostu fizycznie dawać radę licznym grupom. Poza tym zauważyła, że większość gości wcale nie jest zainteresowana tym, co mówi, a jedynie czeka, żeby zaobserwować jakieś nietypowe zachowanie lub kontrowersyjną wypowiedź, która potwierdzi to, o czym przeczytali. Jeśli nie udawało się – byli rozczarowani.

– Oni nie przyjeżdżają do Rozstajów, żeby cię słuchać. Są tutaj, bo o cmentarzu się pisze, jest modny. Od twoich słów i poglądów ważniejsze jest dla nich zdjęcie z tobą, którym będą mogli pochwalić się znajomym.

Słowa Błażeja były okrutne, ale prawdziwe. Nadia sama przekonała się o tym. Jej entuzjazm przygasł i zaczęła zamykać się na całe dni w domu. Unikała przyjezdnych a takim zachowaniem podsycala jeszcze bardziej ludzką ciekawość i prowokowała liczne domysły na temat jej charakteru i stanu psychicznego.

Nie wiedziała, co myśleć o całej sytuacji, o tym, co rozgrywało się wokół niej i zmieniło całe z takim trudem porządkowane życie. Tłumaczyła sobie, że kontakt z tyloma osobami będzie szansą na rozpowszechnienie swoich poglądów, na poruszenie ludzkich umysłów i serc, że wreszcie zaczną więcej rozumieć, lepiej żyć lub przynajmniej pozwolą na to innym. Teraz wiedziała, że jej nadzieje były płonne. Nikt nie widział w niej osoby, która ma coś do przekazania, nie potrzebowali jej przemyśleń, doświadczeń ani ostrzeżeń. Mieli w nosie sens i cel, do którego zmierzała. Chcieli tylko rozrywki, sensacji, zdjęcia przy nagrobku. Przyjeżdżali, bo w kolorowych pismach ktoś napisał, że trzeba przyjechać. Wysiadali z samochodów z gotowymi poglądami, które bez zastanowienia czerpali z bulwarowej prasy i uznawali za swoje własne. U niej szukali jedynie ich potwierdzenia i byli źli, że nie chce im go dać.

Nadia nieco się ożywiła, gdy zobaczyła niewielkie zgrupowanie namiotów, które pojawiły się na łące pod lasem w połowie maja. Mieszkali w nich młodzi ludzie, którzy nie podchodzili zbyt blisko, ale każdego dnia ze swojego obozu obserwowali poczynania Nadii i wciąż przyjeżdżających i odjeżdżających gości. Mimo wciąż zimnych nocy uparcie tkwili na miejscu już od pięciu dni. W końcu Nadia nie wytrzymała i postanowiła odwiedzić obóz.

Między namiotami kręciło się kilka osób. Na widok Nadii wszyscy zamilkli i opuścili głowy. W zupełnej ciszy stanęła na środku placyku utworzonego przez krąg namiotów i poczuła się nieco zbита z tropu. Miała wrażenie, że nikt nie ma ochoty z nią rozmawiać, że jest nieproszonym gościem. Już miała się wycofać, kiedy z jednego z namiotów wyszedł chłopak, w którym rozpoznała swego niedawnego gościa. Ucieszyła się na jego widok.

– Miło cię widzieć. Widzę, że stęskniłeś się za Rozstajami.

– Dziękuję, że do nas przyszedłeś. – Chłopak zachowywał się dziwnie, był nienaturalnie poważny. – Jeśli zechcesz, wejdź, porozmawiamy. – Wskazał namiot, z którego przed chwilą wyszedł.

Skorzystała z zaproszenia.

– To twoi przyjaciele?

– Nie, to twoi przyjaciele.

– Nie rozumiem?

– To chyba oczywiste. Wszyscy przyjechaliśmy, żeby z tobą być. Chcemy pokazać, że rozumiemy i podzielamy twoje poglądy. Jesteś wzorem dla naszego ruchu, duchowym przywódcą.

– Ja?! – Roześmiała się. – Duchowym przywódcą? To jakiś żart, tak?

– Żarty dawno się skończyły. Ty to odkryłaś, a ja zrozumiałem. – Chłopak siedział prosto i wciąż był poważny.

Nadia zaniepokoiła się. Coś w zachowaniu rozmówcy powodowało, że czuła się dziwnie. Spoważniała, uśmiech zniknął.

– O jakim ruchu mówiłeś?

– O naszym. Nowym ruchu młodych ludzi. Nazwałem go Ruch na Rzecz Odnowienia Duszy.

– I obwołałeś się przywódcą, tak? A co takiego wcześniej brałeś?

Chłopak nagle spojrział jej prosto w oczy. Wzrok miał przenikliwy, Nadia poczuła, że cierpnie jej skóra na plecach.

– Nie używam narkotyków. Ani żadne z nich. To zabronione. Robimy tylko to, do czego nawołujesz.

– Ja do niczego nie nawołuję – zaprotestowała.

– Nie? A przecież sama mówiłaś, że trzeba robić to, co dyktuje serce. Nie oglądać się na innych, łamać stereotypy, nie ulegać namowom. – W miarę mówienia coraz bardziej się angażował. – Wysłuchałem cię wtedy uważnie i doszedłem do wniosku, że masz rację. Zacząłem dzielić się z innymi tym, co czuję. – Nadia ze zgrozą zauważyła w jego oczach błysk fanatyzmu. – I oni też zapragnęli tak żyć. Zostawiliśmy wszystko i przyjechaliśmy tutaj, żeby być jak najbliżej miejsca, z którego czerpiemy siły i energię. – Mówiąc, mocno gestykulował.

– A co na to wasi rodzice?

– Wszyscy jesteśmy pełnoletni. Możemy decydować o sobie i będziemy to robić. Sama wiesz, że każdy ma prawo żyć tak, jak chce.

On zwariował, pomyślała Nadia. Muszę coś zrobić.

– Z czego zamierzacie żyć? Co będziecie jeść? Pomyślałeś o tym?

– Z tego, co ty. Z natury.

– To nie takie proste, jak ci się wydaje.

– Tobie też nie było lekko. Jesteś naszym wzorem. Damy sobie radę.

Wyglądało na to, że rzeczowe argumenty nie trafiają do niego.

– Mogę porozmawiać z innymi? – spytała z nadzieją, że może łatwiej będzie przekonać ich niż tego chłopaka.

– Oni nie będą z tobą rozmawiać. Na razie nie mają prawa. Dopiero kiedy zrozumieją wszystko i w pełni poczną.

– Ty naprawdę zwariowałaś! Zabraniasz ludziom rozmowy, obwołałeś się szefem jakiegoś ruchu – to nienormalne.

– Nie mów jak moi starzy. Nie jestem szalony. Sama dobrze wiesz, że to ty mi to wszystko uświadomiłaś. Powinnaś się cieszyć, że masz grono zwolenników. Zrobię wszystko, żeby było nas jak najwięcej. Zrobię to dla ciebie. – Znowu był poważny i sztywno wyprostowany.

– Mnie do tego nie mieszaj. Zabraniam!

Wyszła z namiotu wzburzona.

Tego jeszcze brakowało! – myślała. Zwariowany nastolatek zakłada sektę i mnie uważa za guru. Na dodatek upiera się, że ja go do tego namówiłam. Wspaniale, nie ma co! Kolejna pożywka dla tych hien prasowych. Już widzę, co będzie się działo, kiedy przyjadą ich rodzice. Zlinczują mnie niechybnie!

Po pierwszym wybuchu złości przyszła refleksja.

Czy to możliwe, że moje słowa tak działały? Nie było moim celem namawianie młodych ludzi do porzucenia domu i szkoły. Nie przewidywałam, że ktoś może w ten sposób je zrozumieć. Czy coś zrobiłam nie tak, jak powinnam? Może nie potrafię przekazać dobrze tego, co czuję? A może o to właśnie chodzi? Jeśli taki był ich wybór, jeśli tak właśnie chcą żyć? Czy mam prawo im zabraniać? Ja, która głoszę idee odrodzenia wolności, nowego sposobu życia? Nie przewidziałam wielu konsekwencji swojego działania. Zbyt wielu.



Pozostali wędrowcy zdecydowali się na wyjazd. Ostateczną decyzję podjęli w dniu, kiedy liczba samochodów chcących dojechać do Rozstajów była tak duża, że policja musiała kierować ruchem, a na łące stworzono prowizoryczny parking.

Późnym wieczorem, kiedy większość odwiedzających odjechała, wędrowcy przyszli, żeby poinformować Nadię o wyjeździe.

Wieczór pożegnalny urządzono przy szczelnie zaciągniętych zasłonach. Był smutny, mimo że wędrowcy próbowali rozładować atmosferę żartami i przyjaznymi złośliwościami.

Podarowali Nadii akwarelę, na której przedstawiona została jako królowa wędrowców, w drewnianej koronie i z podróznym kosturem w ręku. Podziękowała ze łzami w oczach.

– Jak tu będzie bez was? – pytała wzruszona.

Przekonała się już następnego dnia rano. Pokoje były posprzątane i puste. Wędrowcy znikli bez śladu. Gdyby nie obrazek, który zostawili, można by sądzić, że nigdy ich w Rozstajach nie było.



Przez ostatni tydzień maja Nadia praktycznie nie wychodziła z domu. Nie otwierała nawet okien, chcąc za wszelką cenę odgrodzić się od tego, co działo się na zewnątrz. Przestała zupełnie panować nad tłumami przechadzającymi się bez przerwy po jej podwórzu, jej sadzie, jej cmentarzu. Nie zamykała nawet bramy, bo nie miało to sensu. I tak wchodzili. Nikogo nie dziwił brak gospodyni. Rozstaje traktowali jak miejsce niczyje, a więc dostępne każdemu. Rodziny urządzały pikniki między grobami, dzieci wieszały hamaki w sadzie, a niektórzy mężczyźni posuwali się nawet do mycia samochodów w rzeczce.

Do namiotowego obozowiska kilkakrotnie przyjeżdżała policja wzywana przez rodziców, chcących zmusić pociechy do powrotu w domowe pielesze. Odjeżdżali z niczym. Widocznie chłopak miał rację – byli pełnoletni i w świetle prawa mogli decydować o swoim losie.

Nie chciała patrzeć na to wszystko. Miała wrażenie, że jej pomysł zaczął żyć własnym życiem, przekształcając się stopniowo w dziwną hybrydę. Nie tak to sobie wyobrażała, ale cóż było robić. Miała walczyć? Z kim?

Od trzech dni nie jadła nic ciepłego. Nie miała ochoty gotować. Od wczoraj chodziła

w piżamie. Nie miała ochoty ubrać się. Zamiast robić to, na co miała ochotę, zaczęła nie robić tego, na co ochoty nie miała. Z pozoru to samo, a jednak coś zupełnie innego.

Zdziwiła się, słysząc pukanie. W ciągu dnia nikt do niej nie zaglądał. Przyjezdni przyjęli do wiadomości przedstawiony w gazetach wizerunek artystki wariatki i woleli nie narażać się na ewentualne nieprzyjemności.

Przez wizjer zobaczyła mężczyznę, który chyba wyczuł, że na niego patrzy, bo uśmiechnął się szeroko do szklanego kóleczka. Nadia odruchowo zapięła najwyższy guzik piżamy i otworzyła.

– Witam naszą drogą sąsiadkę. – Nie czekając, ujął jej dłoń i odcisnął na niej mokry pocałunek.

– Chyba się nie znamy. Pan mieszka w Zabyciu?

– Formalnie tak, ale cały dzień jestem poza domem. Interesu trzeba doglądać, sama pani wie. A jak się ma więcej niż jeden, to już czasu brakuje nawet na sen.

– Dzisiaj ma pan wolne?

– Żartownisia z pani, bez dwóch zdań. Ale to dobrze. Lubię robić interesy z ludźmi, którzy mają poczucie humoru.

– My mamy jakieś wspólne interesy?

– Jeszcze nie, ale kto wie, może już jutro... Może wejdę dalej, to spokojnie porozmawiamy. – Wyciągnął z rękawa butelkę wódki i podał Nadii. – W chłodnym miejscu trzeba postawić. Dobrego wina u Bochenkowej nie było, samo patykiem pisane.

– Proszę to zabrać – oburzyła się Nadia. – Jak pan śmie!

– Nie ma się co obrażać. Ja to rozumiem, a nawet popieram. Wypić – ludzka rzecz, a po kielichu lepiej się rozmawia. Zresztą, jak pani uważa.

– Nadal nie wiem, o czym mielibyśmy rozmawiać.

Mężczyzna zdjął przy wejściu mokasyny z brązowej skóry, podszedł do stołu i usiadł, podciągając nogawki lnianych spodni. Nad białymi skarpetkami ukazały się spore kawałki owłosionych łydek.

– Widzi pani, ja od dłuższego czasu panią obserwuję.

– I co?

– Już mówię. Z początku to nie wyglądało na dobry biznes i myślałem jak inni, że pani odbiło. Bez urazy, oczywiście. – Uniósł rękę w uspokajającym geście.

– A teraz pan zmienił zdanie?

– Jakby pani zgadła. Rozkręciła pani ten biznes, że hula na sto dwa. Co się dziwić, zawodowiec z pani. No to pomyślałem, że z kupna nici.

– Jakiego kupna?

– To wszystko chciałem kupić, bo ja się zyskiem dzielić nie lubię. Chyba to pani nie dziwi?

– Mnie ostatnio już nic nie dziwi.

– Ale mam rację, że pani nie sprzeda?

– Rozstajów?

– No. I cementarza.

– Nie sprzedam.

– Dobra, tak myślałem. Tylko że ja mam kilka pomysłów. Można z tego jeszcze więcej wycisnąć.

Machał palcem wskazującym przed oczami Nadii dla podkreślenia wagi swoich słów.

– Trzeba działać, póki są chętni. Dobra passa nie trwa wiecznie. – Wstał. – Dlatego proponuję pani spółkę.

– Jaką spółkę?
– Pani da to, co tu jest, ja dorzucę pomysły i trochę żywej gotówki. Podział zysku do uzgodnienia.

– Proszę pana, ja nie czerpię żadnych zysków z Rozstajów. Nie wiem, skąd panu przyszedł do głowy taki pomysł. Nie mam zamiaru ich sprzedawać ani wchodzić w spółkę. Ani z panem, ani z nikim innym. A teraz pan pozwoli, że go pożegnam.

– Ja się nie obrażam. Pani prawo – Mężczyzna wstał i bez pośpiechu skierował się do drzwi. – Tylko powinna pani lepiej tych młodych pilnować, bo jak znam życie, to nie wszystko, co zbiorą, pani oddają.

– Jakich młodych?

– Przede mną nie musi pani udawać. Ja nie urząd skarbowy. O tych mówię, co ludzi oprowadzają. Tych z namiotów. Zresztą pani sama wie najlepiej.

Nadia nareszcie zrozumiała, o czym mówi ten człowiek.

– Do widzenia – powiedziała, prawie wypychając go za drzwi. – Bardzo się spieszę, muszę coś załatwić.

– Rozumiem, biznesu trzeba doglądać. – Uśmiechnął się. – Pani jest mądrzejsza niż mogłoby się wydawać, a to dobra taktyka w interesach. Jakby pani zmieniła zdanie, co do sprzedaży albo spółki, to polecam się pamięci.

Nadia zatrasnęła drzwi, prawie uderzając go w plecy. Biegiem popędziła na górę i po kilku minutach kompletnie ubrana szła szybkim krokiem w stronę obozowiska. Nie zwracała uwagi na mijanych ludzi, niektórych potrącała, inni sami usuwali się z drogi.

Chłopak musiał zauważyć, że się zbliża, bo wyszedł jej naprzeciw.

– Witaj – powiedział.

– Żadne witaj, żadne odnawianie duszy. – Była naprawdę wściekła. – Jakim prawem pobierasz opłatę od tych ludzi za wejście na moją ziemię?!

– Nie pobieram żadnych opłat. – Stał wyprostowany z rękami założonymi na plecy.

– Nie kłam!

– Nie pobieram – powtórzył. – Ludzie sami składają dobrowolne datki na rozwój naszego ruchu. My pokazujemy groby i tłumaczymy ideę odnowy duszy. Ci, którzy rozumieją, dają, ci, którzy nie chcą – nie muszą.

– To nie do wiary!

– Uwierz. Chcemy ci pomagać. Widzimy, że sama nie dajesz rady, więc wyręczamy cię. Po to tu jesteśmy, a dzięki datkom możemy się utrzymać. Mówiłem, że jakoś damy sobie radę.

– Ty nie jesteś szalony. – Nadia pokręciła głową zdumiona. – Ty jesteś po prostu oszustem. Nie interesuje cię żadna odnowa ani ruch, tylko życie czyimś kosztem. Mam rację?

– Nie osądzaj innych zbyt pochopnie. To twoje słowa. Dobrze je pamiętam.

– Ale ty nie oprowadzasz gości?

– Ja nie muszę, ja już zrozumiałem. Dla innych to doskonała okazja do powtarzania naszych idei, do nauczania innych i coraz lepszego rozumienia. – Wciąż stał nieruchomo, nie wykonał żadnego gestu.

– Zabraniam tobie i twoim znajomym przyjmowania pieniędzy za wizyty na cmentarzu. Czy to jasne?

– Wiesz, że nie możesz tego zrobić. Każdy ma prawo żyć po swojemu pod warunkiem, że nikogo nie krzywdzi. To też twoje słowa.

Nie odpowiedziała. Do domu wracała powoli, nie zauważając zdziwionych spojrzeń ludzi, których mijala.

Pukał kilka minut, ale nikt nie odpowiadał. Obszedł dom dookoła. Znowu zapukał, tym razem mocniej. Nic. Poszedł na cmentarz. Tam także jej nie było. Wrócił. Na tarasie stały wszystkie produkty, które wypakował wieczorem z koszyka. Wyglądało na to, że od ponad doby nie otwierała drzwi. Ponowił próbę – bez efektu.

Był coraz bardziej zaniepokojony. Nie pozostało mu nic innego, jak skorzystać z drabiny. Przystawił ją do ściany i zaczął się wspinać. Wzbudziło to zainteresowanie pierwszych gości, którzy zebrali się pod oknem, obserwując jego poczynania. Czuł, że się gapią i denerwowało go to. Odwrócił się i spojrzał w dół.

– Wynocha! – warknął. – Nie macie co robić?

Ludzie niechętnie zaczęli się rozchodzić. Niektórzy zatrzymali się nieco dalej, żeby nadal się przyglądać, inni poszli w stronę cmentarza, oglądając się od czasu do czasu. Na szczęście okno było uchylone. Pchnął je i wskoczył do środka. Stał zaskoczony. Widok był porażający.

Po całym pokoju rozrzucone były różne części garderoby, książki i resztki jedzenia. Między brudnymi talerzami a popielniczką pełną niedopałków latało, brzęcząc, kilka much. Wśród tego wszystkiego na łóżku leżała Nadia. Podszedł i pochylił się nad nią. Nie poczuł alkoholu.

– Obudź się. – Delikatnie dotknął jej ramienia. – Chyba musimy pogadać.

Nie odpowiedziała i nie otworzyła oczu, ale po ruchu oczu pod powiekami odgadł, że już nie śpi. Robił sobie w myślach wyrzuty, że nie był u niej od kilku dni, ale sama o to prosiła, tłumacząc, że nie chce mieć znowu kłopotów z prasą. Kłopoty mimo to były i właśnie w tej sprawie przyszedł.

W kolejnym numerze miesięcznika, który jako pierwszy napisał o Nadii, zamieszczono fotoreportaż. Nadia w wianku na głowie, Nadia rozkładająca forsycje na grobach, Wyrutek siedzący na kamiennej płycie, kieliszki z winem na leśnej polanie. Same zdjęcia, żadnego tekstu. Tylko tytuł: „Tajemniczy rytuał na cmentarzu w Rozstajach”.

Widząc co się dzieje z Nadią, postanowił o tym na razie nie wspominać. Tym bardziej, że poranna wycieczka w rocznicę przyjazdu była jego pomysłem. Podszedł do toaletki, bo jego uwagę przykuł rysunek kobiety w czerwonej chuście.

– Antoś rysował?

– Wynoś się. Nie mam ochoty z nikim rozmawiać – zdecydowała się odezwać.

– A ja nie mam ochoty na to patrzeć. Wstawaj i ubieraj się. Pora na porządku.

– Nie słyszałaś, co mówiłam?!

– Nie. Wstawaj, ale już! – Siłą zmusił ją do przyjęcia pionowej postawy. – Jak długo zamierzasz tak leżeć?

– Do końca świata. A co, zabronisz mi? – zapytała agresywnie.

– O co chodzi? Stało się coś?

– Nie, skąd, nic się nie stało. – Odrzuciła włosy do tyłu i położyła ręce na biodrach. – Wszystko w porządku. Obcy ludzie przychodzą tu i wychodzą, kiedy chcą, za płotem koczują dziennikarze, domorosły przywódca ruchu młodzieżowego zbiera datki pod pretekstem pomocy szalonej Nadii, a wiejski biznesmen proponuje mi spółkę. – Z każdym zdaniem coraz bardziej podnosiła głos. – A ty pytasz, czy coś się stało?! Nie mogło się stać, bo nic już nie ma! Wszystko się zawałiło! Rozumiesz! Wszystko! Nie chcę wstawać, bo już nie chcę na to patrzeć!

Podbiegła do okna, otworzyła je na oścież i krzyknęła:

– Na was nie chcę patrzeć! Bando idiotów! Nic nie rozumiecie! Nawet nie próbujecie zrozumieć! O gównie napiszą w tych waszych szmatławcach, to gówno będziecie czcić! Palanty!

Błazej jednym ruchem odepchnął ją i zamknął okno. Na dole już zaczął zbierać się tłumek żądny sensacji. Nadia próbowała znowu dostać się do okna. Złapał ją wpół, ale kopała, drapała i próbowała ugryźć go w rękę.

– Puszczaj mnie, gówniarzu! Muszę im wreszcie powiedzieć, co o nich myślę! Może się stąd wyniosą! Puszczaj! – Chwyciła go za włosy i pociągnęła, w ręku została ich spora kępka. – Bo zabiję! Mam prawo robić, co chcę! W końcu jestem wariatką, no nie?!

Miał tego dość. Wiedział, że długo jej nie utrzyma. Puścił więc i wymierzył jej policzek. Zamilkła w jednej chwili i przyłożyła rękę do miejsca, gdzie trafił cios.

– Uderzyłeś mnie – stwierdziła oskarżycielskim tonem.

– To najlepszy ze znanych mi sposobów postępowania z histeryczkami. – Jeszcze dyszał zmęczony szarpaniną. – I widzę, że skuteczny. Teraz ubierz się wreszcie, umyj i posprzątaj to. – Wskazał na bałagan.

– Bo co? Znowu mnie uderzysz?

– Jeśli będzie trzeba.

– Mam tego dość. Nie wytrzymam dłużej. – Tym razem zaczęła płakać.

Usiadła wprost na podłodze, rozerwany rękaw piżamy zwiślał smętnie.

– Oni mnie wykończą.

Kucnął przy niej i zmusił do podniesienia głowy.

– Nie możesz tak myśleć. Wiesz, że to, co chciałaś zrobić, ma głęboki sens. Jest wartościowe i dobre. A przede wszystkim potrzebne.

– Akurat. – Wielkie łzy spływały Nadii po policzkach. – Ty widziałeś, co oni robią? Pikniki na cmentarzu, zdjęcia dzieci na nagrobkach. Nic nie zrozumieli. Nic!

– Ci może nie, ale to jeszcze nie wszyscy. Po nich przyjdą inni. A potem następni. Wiedziałaś, że będzie ciężko. Prawdę mówiąc, ja też nie spodziewałem się, że to pójdzie w takim kierunku...

– Widzisz, przyznajesz mi rację.

– Nie. Uważam, że nie możesz teraz uciekać przed odpowiedzialnością. Musisz wyjść do tych ludzi i rozmawiać z nimi. Na pewno znajdziesz tam kogoś wartościowego. A może są tacy, co źle wybrali? Może w głębi duszy cierpią? Może komuś z nich należy się nagrobek na cmentarzu Nadii?

– Naprawdę tak sądzisz?

– Tego przecież chciałaś. Pomników dla tych, których dusze umarły. Nie możesz poprzestać na ludziach, których znałaś kiedyś. Musisz szukać dalej. Inaczej to, co dotychczas robiłaś, straci sens.

– Chyba powinnam się przespać – oświadczyła po chwili milczenia.

Ucieszył się, bo nareszcie zaczęła mówić z sensem. Zresztą bolały go już kolana, kucnął od dłuższej chwili. Pomógł Nadii ułożyć się i okrył ją kołdrą.

– Jak wstanę, to posprzątam. Obiecuję.

– Nie martw się, ja to zrobię – uspokoił ją.

– Dziękuję. – Nie sprecyzowała, czy to podziękowanie za pomoc w sprzątanii, czy za rozmowę, ale Błażej wiedział, że za obie rzeczy.

Pozbierał ubrania i ułożył na krześle, książki odłożył na półki. Nadia zasnęła. Zebrał naczynia i zszedł na dół. Zamierzał pozmywać i poczekać, aż Nadia się obudzi.

Nie zdążył nawet odkręcić wody. Pukanie do drzwi było energiczne i towarzyszył mu donośny głos:

– Proszę otworzyć!

Otworzył. Przed drzwiami stało dwóch mężczyzn, jeden z nich miał na ramieniu kamerę.

– Kim pan jest?

– A kim pan jest?

– My do pani Nadii. Telewizja.

– Pani Nadia nie będzie z wami rozmawiać.

Chciał zatrzaskać drzwi, ale mężczyzna zablokował je stopą.

– Niech nam to sama powie.

– Ja wam to mówię. Proszę zabrać nogę.

– Janek, włącz – rozkazał człowiekowi z kamerą. – Czy pan jest kochankiem Nadii z Rozstajów?

– Wynoście się stąd. Dobrze wam radzę.

– Czy pan nam grozi? – Mężczyzna napał ramieniem na drzwi.

– Wynosić się, powiedziałem. Nie rozumiesz, gnojku?!

– Dlaczego Nadia od kilku dni nie wychodzi? Kolejne załamanie nerwowe?

– Ostrzegalem.

Błażej puścił drzwi, mężczyzna poleciał gwałtownie do przodu. Błażej odepchnął

upadającego, który z kolei runął do tyłu, spadając ze schodków. Podnosząc się z trawnika, krzyknął do kamerzysty:

– Janek, masz to?!

Tamten pokiwał głową. Błazej zatrzasnął drzwi. Chciał wrócić do zmywania, kiedy zobaczył stojącą na schodach Nadie.

– Obudzili cię?

– Jeszcze nie zasnęłam na dobre. Kto to był?

– Z telewizji.

– Co im zrobiłeś?

– Zrzuciłem jednego ze schodów. Nic mu nie będzie. Nie martw się.

– Nie martwię się. Bardzo dobrze zrobiłeś.

– Idź spać.

– A będziesz tu, kiedy wstanę?

– Będę.



Wymyśliła sobie, że zacznie rozmawiać z ludźmi nie jako właścicielka Rozstajów i cmentarza, ale ot tak, jak przypadkowa znajoma. Plan był taki: wyjdzie z domu wcześniej rano i pójdzie na daleki spacer do lasu. Wróci, kiedy przyjdą ludzie i wmiesza się w tłum. Nikt nie będzie podejrzewał, że to ona. Tym bardziej, że zwiąże włosy w elegancki kok i założy ciemne okulary. Spojrzała w lustro, żeby ocenić efekt – było dobrze, nie będzie wyróżniać się z tłumu. Wygląda jak opiekunka wycieczki albo żona średniozamożnego przedsiębiorcy, którą snobizm przyciągnął w tak nietypowe miejsce.

Z początku wszystko szło zgodnie z planem. Kiedy wyszła z domu, nikogo jeszcze nie było. Spacer po lesie dobrze jej zrobił. Poczula się silniejsza i gotowa do działania. Zdecydowała, że czas wracać.

Z daleka zobaczyła stojące tuż przy drodze nowe namioty. Tylko dwa, ale większe od tradycyjnych i kwadratowe. Podchodząc bliżej, zrozumiała, że to nie namioty, ale ogrodowe altany z brezentu, które miały być namiastką straganów. W środku rozłożono stoliki i rozwieszono sznurki, na których sprzedawcy prezentowali oferowany towar. Zainteresowana tą nowością podeszła do jednego ze stoisk. Ze zdumieniem i zgrozą zobaczyła, że cały asortyment przenośnego kramu stanowią pamiątki z Rozstajów. Ale jakie pamiątki!

Począwszy od lewej strony, Nadia obejrzała: sygnety i kolczyki z trupimi główkami, breloczki z kościotrupami, miniaturowe nagrobki i trumienki opatrzone tabliczkami „Pamiątka z Rozstajów”, obrazki przedstawiające cmentarz zatytułowane „Cmentarz na rozstajnych drogach”, serię widokówek ze zdjęciami domu i nagrobków oraz całą kolekcję różnej wielkości czaszek z gipsu. A wszystko tandetnie wykonane i mające za nic jakiegokolwiek normy estetyczne.

– W jakiej cenie można coś u pana kupić?

Sprzedawcą był niski, chudy człowiek ubrany w chiński podkoszulek, dżinsy i czapkę z daszkiem. Podszedł natychmiast i uśmiechnął się, zdradzając przy tym brak górnej lewej czwórki i zaawansowaną próchnicę pozostałych zębów.

– Jak dla pani to te tu – powiedział, wskazując lewą część ekspozycji – po piątce, reszta po dyszce, a widokówki złotówka za sztukę.

– A dla innych?

– Tyle samo.

– Dobrze pan na tym wychodzi? – Ciekawiło ją, czy znajdują się chętni do zakupu tych estetycznych koszmarek.

– Nieźle. Nie narzekam. Najlepiej, jak wycieczka przyjedzie. Dzieciaki wszystko kupią. Jak zapłacę właścicielowi, to i tak na swoje wychodzę.

– Ja myślałam, że tu jest właścicielka. – Nadia postanowiła nie zdradzać swojej tożsamości.

– Tam to tak – wskazał na dom – ale to wszystko dookoła to wykupił niedawno jeden z Zabycia. Pozwolił mi handlować, procent od zysku bierze, a na tym polu – palec wskazujący powędrował do tyłu – to będzie pole namiotowe. Ma chłop łeb do interesu, co nie?

– Chyba tak.

– Żadne chyba. Wie, z czego pieniąż jest. Wszystko chciał kupić podobno, nawet ten cmentarz, ale się właścicielka nie zgodziła.

– A pan ją zna?

– Tę Nadię? A pewnie, zachodzi czasami, to pogadamy.

– I podoba jej się to, co pan sprzedaje?

– Jeszcze jak. Najbardziej to te obrazki, co i pani oglądała. Ona to artystka i pani, widzę, też artystyczną duszę ma. Zapakować jeden?

Był dobry w swojej profesji. Żyłka handlowca w najczystszej postaci. W innych okolicznościach ubawiłaby ją ta sytuacja, ale teraz nie było jej wcale do śmiechu.

– Na razie dziękuję. Zastanowię się jeszcze.

– Klient nasz pan. Zapraszam.

Nadia odeszła kilka kroków od straganu i stanęła zamyślona przy płocie. Nie podobały jej się te stragany, nie podobała wizja pola namiotowego za płotem. I nic nie mogła na to poradzić. Z zamyślenia wyrwał ją kobiecy głos.

– Pani Nadia?

– Poznała mnie pani? – Kamuflaż okazał się niedoskonały.

– Nie byłam pewna, ale zaryzykowałam.

– Słucham panią?

– Przyjechałam, żeby z panią porozmawiać. Bałam się, że pani nie wyjdzie, bo koleżanka kiedyś była i wcale pani nie widziała. Czy pani serio wierzy w te umarłe dusze?

– Serio.

– To ja chciałabym o sobie opowiedzieć. Bo ja zawsze chciałam być aktorką, od dziecka – mówiła bardzo szybko, jakby bała się, że Nadia odejdzie. – A oni w tej szkole teatralnej już trzy razy mnie odrzucili, że niby talentu nie mam. Jak mnie w tym roku odrzuca, to już moja dusza na sto procent umrze.

Plotła dalej jak najęta.

Spokojnie, pomyślała Nadia, miałam z nimi rozmawiać. W końcu ona przyjechała do mnie. Powinam jej wysłuchać.

Nie sądziła, żeby dziewczyna była osobą zasługującą na nagrobek. Mimo to postanowiła jej wysłuchać. Jej i wszystkich, którzy będą chcieli z nią rozmawiać. Tylko to mogła jeszcze zrobić, żeby uratować cmentarz.

– Zapraszam do domu. Robi się gorąco, napijemy się czegoś chłodnego – przerwała dziewczynie w pół zdania. – I opowie mi pani wszystko od początku.



Dziewczyna była pierwszą rozmówczynią i chociaż nie osiągnęła celu i nie udało jej się namówić Nadii na postawienie jej nagrobka, to wyjechała z Rozstajów przekonana, że nie był to dobry pomysł na dostanie się w szeregi artystów.

Po dziewczynie znaleźli się inni chętni do rozmowy. Z początku Nadia wychodziła na podwórze i sama zagadywała ludzi, z czasem jednak już od rana czekało na nią kilku chętnych do rozmowy, ośmielonych wiadomościami o pozytywnych wrażeniach innych.

Nadia zauważyła, że rozmawia tylko z tymi, którzy mają dużo pewności siebie i są śmiali. Nie przeszkadzało jej to, ale często widziała, że za plecami rozmówców stoją inni, ci, którzy nie mieli odwagi podejść bliżej lub krępowała ich obecność świadków przysłuchujących się wymianie zdań. Pomyślała, że wszyscy powinni mieć równe szanse, ciekawili ją ci nieśmiali i cisi, podejrzewała, że mogą mieć ciekawe historie do opowiedzenia.

Problem nieśmiałych rozwiązała, proponując rozmowy we wnętrzu domu. Oficjalnie uzasadniła swoją decyzję ucieczką przed upałem, w duchu miała nadzieję, że możliwość rozmowy w cztery oczy ośmieli wszystkich chętnych.

W ciągu dnia odwiedzało ją zwykle kilka osób. Przychodzili z różnych powodów. Kierowała nimi ciekawość i chęć poznania założycielki cmentarza, czasami wierzyli, że nagrobek u Nadii mógłby przynieść im korzyści, zmienić ich życie. Byli tacy, którzy liczyli na to, że Nadia rozwiąże ich problemy, poradzi, jak mają postąpić, pomoże w załatwieniu trudnej sprawy. Ludzie żalili się na urzędników, szefów, małżonków i dzieci, na nieszczęśliwy los, na pecha. Niektórzy opowiadali Nadii całe swoje życie, inni dzielili się swoimi planami i marzeniami. Niektórzy traktowali Nadię jak wróżkę lub wyrocznię, która powie im, co mają zrobić lub co ich czeka. Inni przychodzili po prostu, żeby się wygadać, bo nie mieli nikogo, komu mogliby zaufać lub kto chciałby ich słuchać.

A Nadia słuchała. Nie przerywała, nie pouczała, nie dawała rad. Tylko słuchała. Ludziom to wystarczało, bo tak naprawdę ich celem było wyrzucenie z siebie tego, co ich gryzie. Nie pragnęli rad, bo sami wiedzieli, co zrobią lub powinni zrobić, bez względu na to, czy ich ktoś w tym poprze, czy nie. Rozmowy z Nadią były dla nich czymś w rodzaju spowiedzi nieobciążonej jednak koniecznością wyrażania skruchy czy odbywania pokuty.

Po wysłuchaniu kilkudziesięciu opowieści Nadia poczuła rozczarowanie. Wydawało się jej, że prawie każdy człowiek nosi w sercu jakąś tajemnicę, która doskwiera i boli. Sądziła, że usłyszy wiele takich historii, obawiała się, że będzie musiała dokonywać wyboru, znaleźć kryteria miary dla oceny ludzkich dramatów. Nie musiała, bo chociaż poraził ją bezmiar nieszczęść i tragedii, z którymi borykają się ludzie, to wszystkie dotyczyły codziennego życia; pracy, rodziny, znajomych bądź braku pieniędzy lub pracy. Wiedziała, że nie można tego lekceważyć, że to dla ludzi, którzy przychodzili, najważniejsze sprawy, ale uderzało ją to, że nikt z nich nie zastanawiał się głębiej nad sobą. Ich marzenia ograniczały się do rzeczy materialnych lub zdrowia. Nie myśleli o swoich talentach, pasjach, ukrytych pragnieniach. Nie mieli ich czy też nigdy nie pozwolili sobie na ich odnalezienie – tego nie wiedziała. Wiedziała za to, że nie zastanawiają się nad tym ani przez chwilę w ciągu całego życia.

Ze wszystkich opowieści tylko dwie Nadia uhonorowała nagrobkami. Na cmentarzu przybyły dwie płyty – Teresy, która chciała mieć kilkoro dzieci, ale uległa życzeniu męża i pozostała bezdzietna, oraz Heleny, która z miłości do męża przez kilkanaście lat wyciągała go z alkoholizmu, a kiedy wreszcie się udało, zrozumiała, że go nie kocha i pragnie jedynie zemsty za cierpienia, których od niego doznała, więc sama zaczęła pić, aby mąż doświadczył tego, co ona kiedyś.

Ktoregoś dnia przyszedł do Nadii mężczyzna.

– Pani mnie nie poznaje?

– Szczerze mówiąc, nie.
– To ja pośredniczyłem w kupnie tej ziemi.
– Teraz sobie przypominam...
– Pomyśleć, że pani naprawdę zrobiła tu cmentarz. Wtedy nie do końca wierzyłem w pani słowa.

– I słusznie, bo wtedy nie myślałam poważnie. Chciałam pana zdenerwować, a cmentarz miał być tylko symbolem.

– I zdenerwowała mnie pani, ale przyznaję, że dobrze zarobiłem na tej transakcji.

– Wiem.

– Nie na wiele się to zdało. Chciałem rozkręcić biuro, ale moja dziewczyna, wie pani, sekretarka, poznała jakiegoś faceta i założyli konkurencyjny biznes. Podkupili mi wszystkich stałych klientów i zostałem na lodzie.

– Współczuję.

– Niepotrzebnie. Znalazłem pracę u faceta, co ma wielkie szklarnie pod miastem. Myślałem, że to tylko tymczasowo, żeby przetrwać. I okazało się, że bardzo mi ta robota odpowiada. Wolę pomidory i szczypiorek od ludzi. Już rok tam siedzę w tych szklarniach. I czuję się szczęśliwy. Kiedy przeczytałem o pani, to od razu chciałem przyjechać, ale jakoś nie miałem czasu. Przy roślinach to robota jest non stop. No, ale w końcu się wybrałem.

– Cieszę się, że pan mnie odwiedził. Lubię rozmawiać z ludźmi, którzy są szczęśliwi.

– Właściwie to dzięki pani. Gdyby pani wtedy poszła gdzie indziej, to siedziałbym pewnie do tej pory w swoim biurze i dusił się krawatem. Pani zmieniła moje życie. Chciałem podziękować.

– To nie moja zasługa. Pan sam zdecydował, odnalazł swoją drogę.

– Trochę chyba przez przypadek.

– Liczy się efekt.

– Może i tak. Jeśli nawet jest tak, jak pani mówi, to i tak dziękuję, bo wszystko zaczęło się od cmentarza.

Wspomnienie wizyty agenta nieruchomości podtrzymywało ją na duchu. Okazało się, że można nie wiedzieć o swoim szczęściu przez wiele lat. Może nie każdy czuje to już w dzieciństwie? To dawało jej nadzieję, że ludzie jednak mogą się zmienić. Utwierdzało w przekonaniu, że warto namawiać nie tylko do pójścia za wewnętrznym przekonaniem, ale i do spojrzenia w głąb siebie.

Nie zaniechała więc rozmów z ludźmi. Teraz oprócz słuchania starała się też dać coś w zamian. Nie rady czy gotowe recepty, ale swoje własne przemyślenia. Nie chciała pokazywać celu, a jedynie wskazywać drogi, różne możliwości wyboru.

W pierwszych dniach dziennikarze nie zorientowali się, co robi Nadia. Trudno było zauważyć cokolwiek w tłumie, który całymi dniami przetaczał się przez Rozstaje. Nie zauważyliby pewnie jeszcze długo, gdyby nie wszechpotężna chęć zaistnienia w mediach, którą ujawniało wielu ludzi na widok mikrofonów lub kamery. Pierwszą chętną do zwierzeń okazała się kandydatka na aktorkę, opowiadając o swoich wrażeniach ze spotkania. Zgłosiła się sama i podczas rozmowy starała się mówić i zachowywać jak podpatrzona w telewizji gwiazdy filmowe. Nic jej to nie dało, bo artykuł był bez zdjęć i nie wymieniono w nim ani nazwiska dziewczyny, ani innych osób, które zgodziły się opowiedzieć o spotkaniu z Nadią.

Pierwszy artykuł był początkiem fali kolejnych: „Przesłuchania u Nadii”, „Nadia wysłuchuje nieszczęśliwych”, „Po pociechę do Rozstajów”. Dziennikarze podkreślali, że „efektem rozmów są nowe nagrobki, ale tylko nieliczni dostępują tego zaszczytu”.

Mieć nagrobek na cmentarzu w Rozstajach. To stało się nowym celem przyjeżdżających

do Nadii. Modne było już nie tylko odwiedzanie cmentarza. To mógł zrobić każdy. A grób u Nadii stanowił świadectwo wyjątkowości. Umarła dusza, tajemnicze nieszczęście, kamienna płyta z imieniem – to stało się prawdziwym marzeniem rzeszy ludzi.

Wielu chciało sobie nagrobek w Rozstajach po prostu kupić. Oferowali wielokrotność kosztów, obiecywali złote góry albo próbowali straszyć układami, a nawet śmiercią. Nadia z uporem odrzucała wszystkie propozycje.

– Jediną osobą, która będzie decydować o cmentarzu pozostanę ja – powtarzała. – Nie interesują mnie pieniądze. Nie dla nich to robię.

Chętnych do kupna było wielu, ale widząc, że właścicielka nie jest zainteresowana takim sposobem spełnienia ich marzeń, zaczęli wymyślać historie i opowiadać je Nadii jako te, które sami przeżyli. Ta jednak posiadała umiejętność rozpoznawania kłamcy po paru zdaniach i choć zawsze wysłuchiwała opowieści do końca, to później z zimną krwią demaskowała oszustów.

A ludzie wciąż przyjeżdżali. Jechali po kilkaset kilometrów, żeby opowiedzieć swoją historię. Jechali z nadzieją, że okaże się odpowiednia, a kamienna płyta na cmentarzu w Rozstajach odmieni ich życie. Coraz mniej osób chciało rozmawiać z Nadią z potrzeby serca, coraz więcej z potrzeby sławy i dla mody.

Zauważyła to, ale nie chciała rezygnować. Nadal wierzyła w sens tego, co robi, idea cmentarza była warta wielu poświęceń. Założyła więc zeszyt, w którym zapisywali się chętni do rozmowy, wyznaczyła godziny przyjęć i każdego dnia uparcie przeprowadzała kilkanaście rozmów, wychodząc z założenia, że każda osoba, która zrozumie sens jej przesłania, i każdy nowy nagrobek to znak, że ona sama i cmentarz są potrzebne.



Została jeszcze jedna osoba, pomyślała Nadia. I na dzisiaj koniec. A jutro niedziela – nareszcie wolne. Odpocznę, bo w głowie mam już istny mętlik. Nawet nie wstanę z łóżka. Będę leżała i gapiała się w sufit.

– Pani Nadiu, mogę wejść? – usłyszała cichy głos od strony drzwi.

Odwróciła głowę. Na progu stała Mirka.

– Dobry wieczór. Przyjechałaś nas odwiedzić? – Ucieszyła się na widok dziewczyny. – Ja mam jeszcze jednego gościa, ale jeżeli możesz chwilę poczekać, to chętnie posłucham, co u ciebie słychać.

– To ja jestem zapisana. – Wskazała na zeszyt. – Brat mnie wpisał, bo bałam się, że pani nie znajdzie czasu.

Mirka wyglądała zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy widziały się po raz ostatni. Włosy ufarbowała na kasztanowy kolor, z czym było jej bardzo do twarzy, makijaż miała dużo delikatniejszy, a ubrana była w zwyczajne proste dżinsy, beżowy gładki sweterek i sandały na płaskim obcasie.

– Ładnie wyglądasz. – Nadia wyraziła głośno swoje uznanie dla nowego wizerunku dziewczyny.

– Dziękuję. – Mirka skromnie spuściła oczy. – To pani koleżanka, do której dostałam list, bardzo mi pomogła.

– Mówiłam ci, że to miła osoba.

– Jeszcze jak – zapewniła Mirka, energicznie potakując.

– Nie stój w drzwiach. Siadaj, proszę. Mamy dla siebie cały wieczór. Herbaty?

– Niech pani siedzi. Ja zrobię – poprosiła dziewczyna i widząc, że Nadia zamierza

zaprotestować, dodała szybko: – Bo ja teraz jestem sekretarką i właśnie tym się zajmuję. I chcę pokazać, co potrafię.

– Zgoda. – Nadii było nawet na rękę, że może posiedzieć spokojnie, a ktoś poda jej filiżankę herbaty.

Po całym dniu czuła się naprawdę zmęczona.

– Wszystko znajdziesz w kredensie.

Dziewczyna, krzątając się przy kuchni, kontynuowała swoją opowieść:

– Pojechałam wtedy z Piotrkim i już następnego dnia poszłam do tej pani. Była bardzo miła, przeczytała list i powiedziała, że da mi pracę w sekretariacie. Trochę się wystraszyłam, bo tam wszystko było takie eleganckie i błyszczące, ale pomyślałam, że spróbuję. Potem rozmawiałam z inną panią, która powiedziała, jak powinnam się ubierać do pracy. Pożyczyłam od Piotrka trochę pieniędzy i kupiłam takie rzeczy, jak trzeba. A w pracy to bardzo się starałam, żeby pani się nie musiała za mnie wstydić.

– Jestem pewna, że poradziłaś sobie doskonale. – Nadia się uśmiechnęła.

Mirka przyniosła tacę z dzbankiem i filiżankami, nalala herbaty sobie i Nadii.

– Widzi pani, ani kropelki nie rozlewam. A na początku to mi tak ręce latały, że nie mogłam podnieść tacy.

Usiadła na drugim fotelu.

– Chyba są ze mnie zadowoleni, bo kierowniczka administracji powiedziała, że szybko się uczę i może już za rok będę mogła awansować na asystentkę. Tylko studia muszę zacząć, zaoczne oczywiście, bo taka asystentka to musi być wykształcona, matura nie wystarczy.

– No i co, będziesz studiować?

– Nie byłam pewna, czy dam sobie radę, ale Piotrek mówi, że trzeba próbować, bo teraz bez studiów ani rusz. On skończył marketing – oświadczyła z dumą.

– Ma rację ten twój Piotrek. Dobrze wam się układa?

– Bardzo. Planujemy ślub w grudniu.

– Gratuluję.

– I chciałam spytać, czy pani nie zgodziłaby się być moim świadkiem. – Zerknęła nieśmiało.

– Nie obraż się, ale muszę odmówić. Życzę ci szczęścia, a wszystko, czego ostatnio się dotknę, wychodzi nie tak, jak powinno. Mogłabym przynieść pecha.

– Szkoda. Chociaż, prawdę mówiąc, Piotrek to samo powiedział, co pani. Tylko ja się uparłam – zamilkła na chwilę. – Nie gniewa się pani na niego?

– Nie. Mówiłam już, że mądry chłopak z tego Piotrka.

Mirka uśmiechnęła się i zaraz spoważniała.

– Pani Nadiu, to nie pani wina. Pani chce dobrze, tylko nikt tego nie rozumie.

– Dziękuję. Cieszę się, że tak myślisz.

– Ja to tłumaczyłam Piotrkowi. On też mówi, że pani jest w porządku. – Sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej gazetę. – Jak napisali, że Błażej jest pani kochankiem, to już nie wytrzymałam...

– Co napisali?! – Nadia wyrwała gazetę z rąk Mirki.

Tak właśnie napisali i dodali do tego zdjęcia Błażeja wchodzącego po drabinie do okna domu i Błażeja zrzucającego reportera ze schodów.

– Nie wiedziała pani? – przestraszyła się Mirka. – Może ja niepotrzebnie to pokazałam...

– Potrzebnie, potrzebnie. Nie martw się, już jestem spokojna. – Gestem zatrzymała Mirkę, która najwyraźniej zamierzała wstać. – Błażej ukrył to przede mną, żeby się nie denerwowała.

– I dobrze zrobił – stwierdziła dziewczyna. – Nawet ja się wkurzyłam. Przesadzili.

Chciałam iść do tej redakcji i powiedzieć im, jaka jest pani naprawdę. Tylko Piotrek mi nie pozwolił. Mówił, że będzie z tego więcej szkody niż pożytku. I powiedział, żebym lepiej do pani pojechała to powiedzieć niż do gazet, bo oni zaraz wszystko przekręcą.

– Mądry chłopak – po raz trzeci powtórzyła Nadia.

– No, ja też tak myślę. To go posłuchałam. I przyjechałam pani powiedzieć, że pani jest mądra i dobra, i umie człowiekowi pomóc. Mnie pani bardzo pomogła i ja pani bardzo za wszystko dziękuję.

– Wystarczy. – Nadia ze śmiechem przerwała słowotok Mirki. – Zawstydzasz mnie.

– Nie ma się co wstydić, że jest się dobrym – zaperzyła się dziewczyna.

– Spokojnie, bez emocji. Nalej jeszcze herbatki i opowiedz coś więcej o sobie. Nieczęsto ktoś opowiada mi o radości, szczęściu albo sukcesie, więc skoro byłaś zapisana do mnie na rozmowę, to wykorzystam swoje prawo słuchaczki.

– Nie wiem, o czym mam mówić... – zawahała się dziewczyna.

– Opowiedz mi o Piotрку. – Nadia puściła oczko do dziewczyny. – O nim chyba masz wiele do powiedzenia, co?

– Jasne – ze śmiechem przytaknęła Mirka.



– Pani opowieść była bardzo zajmująca. Mam jeszcze tylko jedno pytanie.

– Proszę, chętnie odpowiem. Przed panią nie mam żadnych tajemnic.

Siedząca naprzeciw Nadii kobieta patrzyła jej w oczy z ufnością i oddaniem.

– Dlaczego pani kłamie?

– Dlaczego miałabym kłamać? – zachnęła się kobieta, rozprostowując nerwowo spódnice na kolanach.

– To ja właśnie usiłuję się tego dowiedzieć – przypomniała łagodnie.

Kobieta wyprostowała się na krześle, zdecydowana wyznać prawdę.

– Ma pani rację. To wszystko, co pani opowiedziałam, było wyssane z palca. – Widać było, że wyznanie sprawiło jej ulgę.

– To wiem. Ale dlaczego pani chciała mnie oszukać? Po co pani przyszła?

– Jestem dziennikarką.

– Proszę wyjść. – Nadia gwałtownie podniosła się z krzesła, a po łagodności nie zostało ani śladu. – Nie rozmawiam z dziennikarzami.

Kobieta również wstała. Sięgnęła po torebkę, z której wyjęła mały dyktafon i wyłączyła go.

– Pani Nadiu, wyłączając to, okazuję moją dobrą wolę. Proszę, niech pani okaże mi swoją i zgodzi się na chwilę rozmowy. Tym razem szczerzej. – Uśmiechnęła się. – Proszę o pięć minut. Nic więcej.

– Nie wiem, o czym miałybyśmy rozmawiać. – Nadia wzruszyła ramionami, ale usiadła, wskazując dziennikarce drugie krzesło.

– Pani Nadiu, reprezentuję największą komercyjną stację telewizyjną w tym kraju. Przyjechałam, żeby osobiście sprawdzić, w jaki sposób prowadzi pani rozmowy ze swoimi gośćmi.

– W jakim celu?

– Otóż to, widzę, że pani jest osobą konkretną. Sprawdziłam i jestem zachwycona. Prezentuje się pani doskonale, jest w pani wiele ciepła, serdeczności, współczucia. Czuje się, że

pani chce zrozumieć rozmówcę, wczuć się w jego sytuację. No i ta intuicja – od razu mnie pani przejrzała. Zdumiewające! Kilku redaktorów pisało tę historię, stylistka się napracowała...

– Proszę do rzeczy – sucho przerwała Nadia.

– Oczywiście. W związku z tym, co powiedziałam, mam dla pani propozycję. Nasza stacja chciałaby od przyszłego miesiąca rozpocząć emisję nowego talk-show.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Pani byłaby główną bohaterką. Rozmawiałyby pani z ludźmi tak jak do tej pory. My zainstalujemy kilka kamer. – Rozejrzała się po pokoju. – To się da zrobić praktycznie od ręki. No i moglibyśmy zaczynać.

– To wykluczone.

– Nie musi się pani o nic martwić. Przejmujemy całą stronę organizacyjną na siebie, wie pani, zapisy, castingi, wstępne przesłuchania...

– Nie zgadzam się. – Nadia znowu wstała i skierowała się w stronę drzwi.

Dziennikarka podbiegła i zastąpiła jej drogę.

– Pani Nadiu, robiliśmy badania, pani cieszy się niesamowitą popularnością. Mamy zagwarantowaną rekordową oglądalność. Nie można zaprzepaścić takiej szansy.

– Można. Odmawiam. – Nadia ominęła kobietę i podeszła do drzwi. – Żegnam panią.

Dziennikarka posłusznie wzięła torebkę. Nadia otworzyła drzwi.

– Nie spytała pani nawet o honorarium. A jest naprawdę wysokie. Można powiedzieć: gwiazdorskie – wytoczyła ostatni argument. – Kilka miesięcy współpracy i może sobie pani tu spokojnie i beztrudnie mieszkać przez kilka lat.

– Nie interesuje mnie to, mówiłam już.

– Będzie pani żałować.

– Nie będę.

Dziennikarka wyjęła z torebki wizytówkę i wsunęła ją do kieszeni swetra Nadii.

– Tu są moje namiary. Proszę to jeszcze wszystko przemyśleć. Do widzenia.

– Żegnam.

Zamknęła drzwi za dziennikarką i stanęła zamyślona przy oknie. Długo patrzyła na podwórko, po którym przechadzali się zupełnie obcy jej ludzie, na drogę, na której dziennikarka rozmawiała z jakimś człowiekiem. Pomyślała, że ta ziemia, która miała być spełnieniem jej marzeń, na której miała spokojnie żyć, już przestała być jej ziemią. Zawładnęli ją ci wszyscy ludzie, nie pytając nawet o zgodę. Tak, jakby mieli do tego prawo. A teraz chcą zawładnąć nią.

Ta dziennikarka miała rację, doszła do wniosku. – Muszę to wszystko przemyśleć.

Wyszła przed dom i odwołała pozostałe rozmowy na ten dzień, a także, nie zważając na protesty i okrzyki zawodu, na cały kolejny tydzień.

IV. ...



– Przepraszam, że panów budzę, ale muszę pilnie skorzystać z telefonu. – Nadia wyraziła swą prośbę zaspanemu mężczyźnie, który w odpowiedzi na jej pukanie otworzył drzwi przyczepy. – Dosłownie minuta rozmowy. Zwrócę koszty – zapewniła.

– Jasne, proszę. – Mężczyzna podał aparat i przecierając oczy, zapytał: – Która godzina?

– Piąta trzydzieści.

– Boże drogi, to środek nocy! Czy coś się stało? Możemy pomóc?

– Nie, dziękuję. Muszę tylko zadzwonić. – Nadia wzięła telefon i odeszła kilka kroków dalej.

Mężczyzna obserwował, jak wystukuje numer i rozmawia. Żałował, że nie może usłyszeć treści.

– Dziękuję. Ile płacę?

– Nic. To najtańszy telefon. – Uśmiechnął się. – Służbowy.

– W takim razie jeszcze raz dziękuję.

Kiedy tylko Nadia znikła za progiem swojego domu, mężczyzna zaczął przyciskać guziczki aparatu.

Cholera – zaklął w myślach – sprytna jest. Wykasowała numer, pod który dzwoniła.

Ziewnął. Doszedł do wniosku, że nic więcej nie wskóra, więc postanowił wrócić do przyczepy i zdrzemnąć się jeszcze.

Tymczasem Nadia, pijąc mocną kawę, raz jeszcze powtarzała w myślach plan działania. W nocy długo nie mogła zasnąć. Rozmyślała nad wydarzeniami ostatniego roku, rozważała po raz kolejny podjęte decyzje, zastanawiała się, co powinna robić dalej. Ostateczną decyzję podjęła już po północy. A dziś miała zrealizować swój plan.

Zobaczyła podjeżdżający pod bramę radiowóz, więc odstawiła kubek z resztką napoju i wyszła na podwórko. Rozmowa z dwoma młodymi policjantami nie trwała długo. Z początku nie rozumieli, o co jej chodzi, ale po kilku chwilach pokiwali głowami i jeden z nich wrócił do samochodu, żeby odbyć rozmowę przez radiotelefon. Zostawiła ich samych z nadzieją, że dobrze wykonają swoją pracę. Nie miała czasu na dłuższe pogawędki.

Szybkim krokiem poszła w stronę cmentarza. Nie była tam od kilku tygodni. Stała na mostku, skąd mogła objąć wzrokiem cały teren. Widok zrobił na niej ogromne wrażenie, przeraził ją. To, co zobaczyła, nie miało nic wspólnego z marzeniami sprzed kilku miesięcy. Dobrze pamiętała dzień, w którym oczami wyobraźni widziała kamienne płyty pośród wysokiej trawy i kwiatów. Tymczasem zobaczyła, że trawa nie miała nawet szansy urosnąć. Tysiące nóg wdeptały ją w ziemię. Między grobami leżały puste plastikowe butelki, wiatr unosił szeleszczące papiery, strony z kolorowych pism i reklamówki. Najwyraźniej goście nie mieli zwyczaju sprzątanía po sobie. Kamienne płyty wśród śmieci i gołej ziemi tworzyły ponure zaprzeczenie idei, której miały służyć, były dowodem na bezsens całego jej działania.

Nie mogła dłużej na to patrzeć. Czuła łzy pod powiekami, a wiedziała, że tego dnia nie może pozwolić sobie na płacz. Odwróciła się więc i powoli ruszyła w kierunku domu.

Policjanci właśnie tłumaczyli kilkusobowej rodzinie, że nie można wejść na cmentarz.

– To prywatny teren. Właścicielka nie wyraża zgody – tłumaczył młodszy policjant.

Było coraz bardziej gorąco i pod pachami jego koszuli zaczęły tworzyć się już plamy potu.

– Musi nas pan wpuścić – wykrzyknął, zobaczywszy Nadię, mężczyzna wyglądający na ojca rodziny. – Każdy może obejrzeć cmentarz! Ja złożę skargę na panią!

Nadia nie odpowiedziała, ale krzyki wywabiły z samochodu dziennikarzy. Zanim jednak zdążyli wyciągnąć sprzęt z radiowozu, wysiadł drugi policjant i poszedł w ich stronę. Nadia oceniła, że wszystko przebiega zgodnie z jej planem i miała nadzieję, że policjanci zdołają przekonać dziennikarzy i zastopują ich działania przynajmniej na kilka godzin.

W domu zabawiła tylko kwadrans. Spakowała do koszyka kilka niezbędnych drobiazgów, zjadła kromkę chleba i dopiła zimną kawę. Wychodząc, zamknęła dobrze drzwi, a klucz zabrała ze sobą zamiast, jak miała do tej pory w zwyczaju, ukryć go za futryną. Przechodząc obok policjantów, uśmiechnęła się do nich i skinęła głową w podziękowaniu.

Droga na kościelny cmentarz nie zajęła jej dużo czasu. Obawiała się przejścia obok sklepu, ale było chyba jeszcze zbyt wcześnie, bo przy drodze nie stała żadna kobieta.

Uporządkowanie grobu Jędrzeja także poszło szybko. Kiedy skończyła, stanęła przed nim i cicho opowiedziała o wszystkim, co zamierza zrobić.

Gdyby żył, pomyślała, zrozumiałby mnie.

– Co tu robisz, moje dziecko, tak wcześnie? – usłyszała za plecami.

– Cieszę się, że księdza widzę. Nie chciałam budzić, a mam wielką prośbę.

– Chcesz się wypowiadać?
– Nie. Ja już się jemu, proszę księdza, wypowiadałam. – Wskazała na grób. – Ksiądz pewnie zaraz mnie zbeszta i powie, że Kościół tego nie akceptuje, ale ja musiałam. Tak czułam.
– Moje dziecko, może dobrze zrobiłaś. Może on bliżej Boga, kto wie? – westchnął ksiądz.
– Ale masz rację, Kościół tego nie pochwała. – Uśmiechnął się, mówiąc ostatnie słowa. – Co w takim razie sprowadza cię do mnie?

Poszli razem ścieżką w stronę kościoła. Nadia półgłosem wyjaśniła księdzu swoją prośbę, a ten potakująco kiwał głową. Zatrzymali się przed wejściem do świątyni. Ksiądz nakreślił ręką znak krzyża.

– Niech cię Bóg prowadzi, moje dziecko.

– Dziękuję księdzu. Będzie mi łatwiej, wiedząc, że ktoś zadba o jego grób.

Kolejnym miejscem, które chciała odwiedzić, był dom sołtysa. Nietrudno było go znaleźć. Widoczna z daleka czerwona tabliczka z białym napisem wskazywała drogę. Dom prezentował się okazale na tle sąsiedzkich budynków. Był wyższy, bo aż dwupiętrowy, pomalowany na ciemnoróżowy kolor. Od frontu zamożność gospodarzy miały podkreślać wielkie dębowe drzwi i okrągłe okienko z kolorowym witrażem nad nimi. Na trawniku przed domem stały dwa gipsowe krasnale – jeden z latarenką, a drugi z łopata – które na skutek opadów i promieni słonecznych utraciły już nieco kolorów.

Drzwi otworzyła żona sołtysa.

– Dzień dobry, zaraz męża zawołam. Jest na podwórku, obrządek robi.

– Proszę nie wołać. Sama tam pójde.

– Jak pani woli. – Sołtysowa wycofała się w głąb domu, wzruszając ramionami.

Nadia odnalazła sołtysa w oborze. Był wyraźnie zdziwiony jej widokiem.

– Wszelki duch, jak to się mówi. Stało się co?

– Przyszłam, bo mam prośbę do pana.

– Jak mogę, to pomogę. – Zaśmiał się tubalnie. – Może wyjdziemy na podwórko, bo pani to chyba niezwykajna takich zapachów.

– Dobrze, ale jak już jestem, to chciałabym dokładnie wiedzieć, które to moje. – Wskazała na krowy i kozy.

Sołtys odstawił wiadro i wziął się pod boki.

– A co, może kto doniósł, że je źle traktuję? Zawisać ludzka, jak to się mówi, nie zna granic!

– Nie, skądże. Po prostu nigdy ich nie widziałam, a już ponad rok tu mieszkam. Z ciekawości pytam.

– Jak z ciekawości, to co innego. Niech pani patrzy. – Wskazywał na zwierzęta. – Ta panina i ta, o i tamte, i jeszcze te. Niczego im tu, jak to się mówi, nie brakuje.

– Wyglądają dobrze.

– Bo i dobrze mają – skwitował. – I to miała być ta prośba?

– Niezupełnie. Tak naprawdę to chciałabym, żeby mnie pan podwiózł na pocztę. Oczywiście za paliwo zapłacę – dodała szybko.

– Ja to mam, jak to się mówi, szczęście. I tak miałem dzisiaj jechać. A tu mi się darmo trafiło. Tylko muszę tu skończyć i ubranie zmienić, bo do gminy, jak to się mówi, gnojem śmierdzący przecież nie pojedę.

– Rozumiem. Poczekam.

Sołtys był gotów po półgodzinie. Przez całą drogę opowiadał o gospodarskich kłopotach, nie zwracając nawet uwagi, czy Nadia go słucha. Bardzo jej to odpowiadało, bo nie miała ochoty na rozmowę, więc co jakiś czas kiwała tylko głową lub wydawała nieokreślone chrząknięcie, co

w zupełności wystarczało sołtysowi za reakcję rozmówcy.

Samochód zaparkowali przed budynkiem poczty. Sołtys poszedł załatwiać swoje sprawy, a Nadia weszła do środka. Kupiła w okienku kilka kart telefonicznych i stwierdziwszy, że rozmowa z automatu umieszczonego tuż przy ladzie będzie doskonale słyszana przez urzędniczki, postanowiła skorzystać z budki telefonicznej na zewnątrz. Żegnała ją pełne rozczarowania spojrzenie znudzonej pracownicy.

Wykonała kilka długich rozmów, co zajęło jej prawie półtorej godziny. Najważniejsze było to, że udało jej się załatwić wszystko tak, jak chciała. Ponieważ sołtys jeszcze nie wrócił, usiadła na schodkach przed wejściem do budynku. Poczula głód, więc wyciągnęła z torby kawałek drożdżówki i zjadła ze smakiem.

– Niech pani tak na kamieniu nie siada, bo pani, jak to się mówi, wilka złapie. – Sołtys widocznie już załatwił wszystko pomyślnie, bo humor mu dopisywał. – To co, wracamy?

– Wracamy.

Podwiózł ją do samych Rozstajów. Przed bramą stały już dwa radiowozy a wokół ogrodzenia chodziło sześciu policjantów, próbując zmusić przyjezdnych do odjazdu.

– Pani ich wezwała? – spytał sołtys, przyjmując zapłatę za benzynę.

– Tak. Postanowiłam zrobić tu wreszcie porządek. Dziękuję za podwiezienie.

– Nie ma za co. Zawsze, jak to się mówi, do usług.

W domu było przyjemnie chłodno, choć zbliżało się południe. Dopiero kiedy weszła do środka, poczuła, jak bardzo jest zmęczona i niewyspana. Musiała odpocząć, żeby do końca zrealizować wszystko, co zaplanowała.

Weszła na górę. Podchodząc do łóżka, zatrzymała wzrok na toalecie, do której przypięty był rysunek. Kobieta otulona czerwoną chustą. Ona sama. Zerwała rysunek, wyjęła z szuflady brązową dużą kopertę i włożyła do niej kartkę. Nie chciała na nią patrzeć. Nie chciała myśleć o sobie sprzed kilku miesięcy. Postanowiła, że nigdy już nie będzie patrzeć wstecz i nie będzie wspominać.

Spała do wieczora. Kiedy otworzyła oczy, uderzyła ją dziwna cisza. Wyrzała przez okno. Na podwórku nie było nikogo. Pozostał jedynie dziennikarski samochód przy drodze i namioty Ruchu na Rzecz Odnowienia Duszy. Policjanci także odjechali, ale musiała przyznać, że swoje zadanie wykonali nadzwyczaj dobrze.

Ona sama miała do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Najważniejszą. Żeby oszukać dziennikarzy, zostawiła zapalone światło, a sama skorzystała ze sprawdzonej już drogi przez okno. Okrążyła dom i przemknęła się cicho aż do skraju lasu. Nadłożyła przez to prawie kilometr, ale zależało jej na uniknięciu wścibskich reporterów.

Pod osłoną mroku, w wieczornym chłodzie, doszła do celu. Największy dom we wsi, kuta brama i ogrodzenie nie pozostawiały wątpliwości, że dobrze trafiła. Psy na szczęście jeszcze nie były spuszczone. Słyszała tylko, jak szczełają w głębi podwórka. Zastukała do drzwi, korzystając z dużej mosiężnej kołatki w kształcie lwiej głowy. Otworzył sam gospodarz ubrany w pizamę w zielone paski.

– Dobry wieczór. – Uśmiechnął się do Nadii szeroko. – Co sąsiadkę sprowadza w moje skromne progi?

– Dobry wieczór. Nie chciałabym przeszkadzać, ale to pilne. Zdecydowałam się.

– Spółka?

– Nie, sprzedaż. Jeśli ma pan chwilę czasu, chciałabym omówić sprawę natychmiast.

– Na dobry interes to ja mam zawsze czas. Niech pani wchodzi. – Otworzył szerzej drzwi.



– Piękna noc.

Nie odpowiedział. Siedzieli na łące tuż za mostkiem. W ciemności cmentarz wydawał się tajemniczy, a zmrok ukrył zdeptaną trawę i nieporządek. Dookoła panowała cisza, ptaki już spały, tylko lekki wiatr kołysał czubkami drzew.

– Tak właśnie miało być – westchnęła.

– I jest.

– Nie jest. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Popeliłam błąd, sądząc, że uda mi się uciec. Teraz muszę to naprawić.

– W jaki sposób?

– Mam zamiar sprzedać Rozstaje.

– Żartujesz chyba! – Błazej zerwał się na równe nogi. – Nawet o tym nie myśl!

– Już myślałam. I wygląda na to, że ten interes mi się opłaci.

– Co ty gadasz?! Jak to: opłaci?!

– Normalnie. Opłaca się wtedy, kiedy sprzedajesz za więcej, niż kupiłeś.

– A reszta się nie liczy, tak?

– Jaka reszta?

– Antoś, cmentarz, ja.

– Bez urazy, ale należymy do dwóch różnych światów. Zrozumiałam nareszcie prawdę. Chciałam uciec od swojego świata, ale on przyszedł tu za mną. Nie podoba mi się to, ale nie mogę udawać, że nic się nie dzieje. Muszę pogodzić się z tym, że nie przynależę do wsi, lasu i spokojnego życia. Nie jestem już na Rozstajach. Błądziłam, ale w końcu wiem, że moja droga to ta, którą tu przyszłam. I teraz wrócę.

– Będziesz żałowała.

– Nie sądzę.

– Kłamiesz!

Wzruszyła ramionami. To nie miało znaczenia. Siedzieli w milczeniu.

– A gdybym cię teraz pocałował?

– Nie pocałujesz. – Uśmiechnęła się.

– Skąd wiesz?

– Bo gdybyś chciał to zrobić, to po prostu zrobiłbyś. A ty pytasz.

– A jeśli?

– Jeśli, to zrobiłbyś duże głupstwo.

– Dlaczego?

– Bo jesteś na tyle dorosły, żeby nie skończyć na pocałunku, a na tyle niedorosły, żeby jutro tego żałować.

– Moglibyśmy nie myśleć o jutrze.

– Ty może tak, ale ja nie. Zresztą nie bądź głupi, jutro i tak nadejdzie. Obudzisz się i nie będziesz miał nawet ochoty przynieść mi zakupów.

– Będę miał.

– Dobrze, dobrze... Nawet jeżeli, to ja nie wyjdę.

– Dlaczego?

– Widzisz, nic nie wiesz. Powód jest prosty. W słońcu zobaczysz mnie wyraźnie, a będziesz przyglądał się jutro w szczególny sposób, inaczej niż dotąd. Zobaczysz mnie taką, jaka jestem, a nie taką, jaką sobie dotąd wyobrażałeś. Będziesz widział każdą moją zmarszczkę, każdą niedoskonałość i każdą wadę. Oboje będziemy zmieszani i niezadowoleni.

– Mów za siebie – oburzył się Błażej. – Dla mnie jesteś i będziesz najlepsza. Mówiłem ci to wiele razy, ale nie chciałaś słuchać. Zatrzymam cię tutaj i zamieszkamy razem w Rozstajach. Będziemy szczęśliwi.

– Jednak dzieciak z ciebie, Błażej. Szczęśliwi to my możemy być przez chwilę, może teraz, ale nie przez całe życie. Teraz się oburzasz, ale kiedyś sam zrozumiesz i przyznasz mi rację.

– Nie!

– Widzisz, już się kłócimy. Choćbyś nawet bardzo tego chciał, nie możesz żyć jak na kiczowatej pocztówce. Chwile mogą być piękne, a potem zostają wspomnienia, które zamiast szczęścia przynoszą ból. Może to brzmi jak banał, ale właśnie tak jest.

– Zaryzykuj. A jeśli tym razem będzie inaczej?

– Nie, Błażej, dzięki. Ja już mam wspomnienia. Aż za dużo. I czasami tak bołą, że trudno wytrzymać. Miałam je tutaj pogrzebać. Nie udało się, trudno, ale nie chcę nowych.

– Dlaczego mówisz o wspomnieniach? Ja ci mówię o tym, co może trwać, nie rozumiesz? Chcę z tobą być. Ja...

– Ty – przerwała – ty chcesz, tobie się wydaje, że wiesz. Mówisz, że mnie kochasz. Może i wierzysz w to teraz, ale sądzę, że to wkrótce minie. Powiem szczerze, ja cię nie pokocham. Niestety, mój chłopcze. I co ty na to?

– Chcesz się mnie pozbyć! – Stał przed nią z zaciśniętymi pięściami.

– Jesteś doprawdy wzruszającym obrazem młodego człowieka, który nie potrafi pogodzić się z porażką. – Roześmiała się głośno. – Szczerłość, naiwność i zdumienie w jednym. Urocze.

– No tak, mogłem się tego domyślić. Teraz Nadia pokaże, jaka jest zimna i zła. Nic z tego, że mną ten numer nie przejdzie. To ty jesteś naiwna, sądząc, że możesz każdego traktować jednakowo. Niestety, mnie musisz wyłączyć. Zbyt dobrze cię poznałem, wiele razy odkryłaś się przede mną.

– A jeśli cię oszukiwałam?

– Przestań! Zastanów się, daj nam wreszcie szansę.

– Nie ma żadnego nam. Jesteś ty i ja. Dwie różne osoby, dwa różne światy. I skończmy tę bezsensowną rozmowę.

– Nadia, posłuchaj...

– Idź już, idź. Zostaw mnie tutaj. Posiedzę sobie z tym miłym uczuciem. Nieczęsto kobiecie po trzydziestce zdarza się bezinteresowna propozycja wspólnego życia ze strony dwudziestokilkulatka. No, chyba że nie jest taka bezinteresowna...

– Obrażasz mnie. Wiesz o tym?

– Dobranoc, Błażej.

– Tak, masz rację. Cała ta rozmowa jest jak obrazek dla nastolatków.

– Uff, zrozumiałeś nareszcie. Miałam nadzieję, że będziesz rozsądny.

– Tak, zrozumiałem, ale nie zamierzam być rozsądny. Zbyt długo byłem.

Próbowała protestować, ale tylko przez chwilę. Później poddała się jego ustom, jego dłoniom... Poczuła, że wszystko co do niego mówiła, było tak naprawdę próbą wmówienia tego samej sobie. Nie mogła oszukiwać siebie. Pragnęła tej chwili od dawna.



Obudził się w doskonałym humorze. Pogwizdując, wziął prysznic i skropił się wodą toaletową. Golenie też poszło jak po maśle, ani jednego zacięcia. Długo nie mógł się

zdecydować, jakie ubranie będzie odpowiednie na tak długo oczekiwany dzień. W końcu wybrał po prostu nową koszulkę i świeżo uprane dżinsy. Doszedł do wniosku, że powinien być sobą. Nie chciał niczego udawać. Ten związek miał być wolny od oszustw, kłamstw i dwulicowości. Był naprawdę szczęśliwy, wreszcie zdobył kobietę, którą od dawna kochał. Teraz wszystko będzie już proste. Stanowili żywy dowód na to, że uczucie zawsze zwycięża, że można pokonać wszystkie przeciwności, nie zważać na stereotypy. Miał ochotę krzyczeć ze szczęścia, skakać, wrzeszczeć, ile sił. Przepelniała go energia, czuł, że może przenosić góry.

Z uśmiechem wszedł do kuchni.

– Cześć, mam, cześć, tato. Jest jakieś śniadanko? Głodny jestem jak wilk!

Kobieta stojąca przy kuchni odwróciła głowę w stronę chłopaka. W oczach miała zdumienie, ale nie powiedziała nic.

Mężczyzna siedzący przy stole, słysząc głos Błażeja, złożył gazetę, którą czytał.

– Cześć, synu. Widzę, że humor ci dopisuje, nie?

– No – potwierdził – mam dobry dzień. I wydaje mi się, że wszystkie następne też będą dobre.

Kobieta bez słowa postawiła przed każdym talerz z jajecznicą. Sama stojąc, jadła resztę wprost z patelni.

– No to obaj mamy dzisiaj szczęście. Jak wszystko dobrze pójdzie, to jutro tu – postukał palcem w gazetę – i w wielu innych będą pisać o twoim ojcu. Zrobiłem interes mojego życia. – Ugryzł duży kęs chleba i żując, oświadczył: – Z tobą też mam o tym do pogadania.

– Za chwilę tato, dobra? – Błażej chciał pierwszy oznajmić im radosną nowinę. – Usiądź mam, chcę wam powiedzieć coś ważnego.

Matka usiadła, patrząc z niepokojem to na męża, to na syna.

– Wyprowadzam się. Może nawet już dziś.

Mężczyzna podniósł głowę znad talerza.

– A to dokąd?

– Do Nadii, do Rozstajów. Kochamy się i chcemy być razem.

– O, Boże! – jęknęła matka, pochylając głowę.

– Nie martw się mam, wszystko będzie dobrze. – Błażej z całego serca pragnął, żeby rodzice cieszyli się razem z nim. – Już jestem dorosły. Dam sobie radę. Zresztą wczoraj wszystko ustaliliśmy...

– Chyba ty sobie w tej głupiej głowie coś ustaliłeś. – Ojciec językiem wydłubywał z zębów resztki jedzenia. – Bo z tego, co wiem, to ta twoja pani ma zupełnie inne plany.

– Nie rozumiem? – Był zdezorientowany, czuł, że za chwilę usłyszy coś złego.

– Już kilka dni temu sprzedała mi to wszystko, no, ten dom i łąkę razem z cmentarzem. Trochę przepłaciłem, ale to rozwojowy biznes.

– O, Boże! – jęknęła matka, widząc wzrok syna.

Błażej wstał, opierając ręce o blat stołu i pochylił się nad siedzącym po przeciwnej stronie ojcem.

– I ty to po prostu kupiłeś?!

– Siadaj, synu, spokojnie, bo do ojca mówisz – upomniał mężczyzna, nie zwracając najmniejszej uwagi na wściekłość syna. – Tak po prostu to nie. Są życzenia specjalne. Zwierzęta mam gratis Stolarzowi oddać i muszę dbać o grób tego twojego przyjaciela Jędrzeja...

– Muszę z nią porozmawiać! – przerwał mu Błażej. – Natychmiast. To wszystko jest niemożliwe!

– Siadaj! – powiedział ojciec rozkazującym tonem. – Daj mi skończyć.

Z Błażeja jakby uszła cała energia. Opadł na krzesło, ręce zwiesił wzdłuż ciała.

– Nie masz tam po co iść. Ona już wyjechała.
– Dokąd?
– Nie wiem. A nawet gdybym wiedział, to i tak nie powiem. Taka była umowa, a słowo w interesach to rzecz święta. Zresztą ja jej szukać nie zamierzam.
– Mówiłeś, że jestem twoim synem? – Błażej spojrział ojcu prosto w oczy.
– Nie, ale ona wiedziała już wcześniej. – Mężczyzna wstał i wytarł ręce o siatkowy podkoszulek. – Zostawiła coś dla ciebie.
Poszedł do pokoju i wrócił z brązową kopertą.
– Trzymaj. – Rzucił chłopakowi na kolana.
Błażej otworzył i przez chwilę patrzył na rysunek, który był w środku.
– To wszystko? – spytał cicho. – Żadnego listu?
Mężczyzna wzruszył ramionami i powrócił do dłubania w zębach, tym razem posługując się kawałkiem zapałki.
– Ja bez niej nie mogę żyć! – krzyknął nagle Błażej. – Wiedziała o tym! Jak mogła tak zrobić?!

– Schowaj, synu, te historie do kieszeni i doprowadź się do ładu. Wstyd, żeby facet tak się mazał z powodu baby. – Ojciec pokręcił z politowaniem głową. – Ona to chyba wiedziała, co robi, że cię nie chciała. Łeb do interesów to ona zresztą ma, trzeba przyznać. Chociaż baba. – Odchylił się do tyłu razem z krzesłem i poklepał po brzuchu. – Pora się zbierać. Do ciebie też to mówię – rzucił w kierunku syna. – O jedenastej otwarcie. Będzie wójt, telewizja i prasa. Pełna gala, mówię ci! I to wszystko na moją cześć! Teraz to dopiero będziemy kasę zbijać.

– Jakie otwarcie?
– Co głupio pytasz? Nowego cmentarza. Interesu mojego życia.
– Nigdzie nie idę.
– Idziesz, idziesz. Zbieraj się, jak mówię, ale już! O babie zapomnisz za parę dni, a pora żebyś wiedział, z czego na chleb twój stary bierze. Potem ty to przecież weźmiesz.
– Nic nie wezmę. Jak mogłeś to zrobić? Wiedziałeś przecież, że ja...
– Jeszcze mi będziesz dziękował. W interesach nie ma sentymentów, a życie to nie bajka.

– Wstał. – Idę się przygotować. Garnitur i koszula wyprasowane? – spytał siedzącą przy stole kobietę.
Skinęła głową.
– To dobrze!
Błażej wstał z krzesła i z wściekłością w oczach stanął naprzeciwko ojca.
– Dobrze! Żadne dobrze! – wrzasnął. – Co ty, kurwa, siebie nie widzisz?! Serca nie masz, tylko swoje interesy! Specjalnie to kupiłeś, żebyś nie mógł z nią być! Bo ty nie wiesz, co to miłość. Nawet matki nie kochasz. Popychadło swoje z niej zrobiłeś! Służącą! Tylko te pierdolone pieniądze się dla ciebie liczą, nie rodzina!

Mężczyzna, nie zmieniając nawet wyrazu twarzy, podniósł rękę i wymierzył synowi policzek. Błażej chwycił się za twarz, popatrzył na ojca z nienawiścią i wybiegł z kuchni. Trzaśnięcie drzwi wejściowych zabrzmiało w ciszy jak wystrzał. Kobieta nagle wybuchnęła płaczem.

– Uspokój się i ty! – warknął w jej kierunku mężczyzna. – Przejdzie mu. Jak nie ja, to ktoś inny by kupił. Nie przepuszcza się takich okazji. – Machnął ręką. – Co wy wszyscy wiecie. Człowiek haruje jak wół, daje na wszystko i jeszcze źle. Żadnej wdzięczności!



Przez kilka godzin biegał po lesie. Wykrzykiwał drzewom cały swój żal, zawód i wściekłość. Poranił pięści, uderzając w pnie, włosy mokre od potu zwisały mu w nieładzie wokół twarzy. W końcu nogi same zniosły go do Rozstajów. Stał na skraju lasu i obserwował. Wiedział, że wzbudza zainteresowanie, ale nie obchodziło go to. Stał nieruchomo i patrzył. Po kilkunastu minutach ludzie przestali zwracać uwagę na chłopaka w zakrwawionej koszulce, ubrudzonych ziemią spodniach i z szaleństwem w oczach. Tym bardziej, że do oglądania było dużo innych, znacznie ciekawszych rzeczy.

Nikt nie uwierzyłby, że jeszcze poprzedniego dnia wieczorem stan cmentarza i podwórka pozostawiał wiele do życzenia. Teraz wszędzie panował ład i porządek. Synowie sołtysa zdopingowani wysoką stawką pracowali od wczesnych godzin rannych. Nie było śladu śmieci, wszystkie ścieżki zostały dokładnie pozamiatane. Na każdej kamiennej płycie leżała wiązanka polnych kwiatów i paliła się świeczka, a obok stał chłopak lub dziewczyna z Ruchu na Rzecz Odnowienia Duszy, gotowi opowiedzieć każdemu zainteresowanemu historię grobu. Przywódca grupy, słysząc o wysokości dziennego datku na rzecz Ruchu w zamian za pracę „wolontariuszy”, bez wahania wyraził zgodę. Widok ubranych na czarno strażników grobów wywierał duże wrażenie na przyjeźdźnych i niewątpliwie tworzył tajemniczą atmosferę.

Porządki nie ominęły także domu. Nie wiadomo skąd nad bramą pojawił się drewniany szyld z napisem „Cmentarz na rozstajnych drogach”, a nad drzwiami gościnnych pokoi utrzymany w tej samej konwencji napis „Hotelik”. Balustrady tarasu ozdobiono sosnowymi gałęziami i kwiatami, a przy schodach przeciągnięto między słupkami biało-czerwoną wstęgę.

Za wstęgą stał wyniesiony z kuchni stół, a przy nim trzy krzesła czekające najwyraźniej na ważnych gości. Widać było, że przygotowania były wcześniej dokładnie przemyślane, a perfekcyjna i szybka realizacja w tak krótkim czasie wymagała pracy wielu osób i sporego nakładu finansowego.

Wieść o uroczystości musiała obiec wieś lotem błyskawicy, bo oprócz obcych pojawiło się także wielu mieszkańców wsi. Przyszła nawet Anka Bochenkowa, której ciekawość nie pozwoliła na rezygnację z takiego wydarzenia. Szczególnie że otwarcie miało być relacjonowane na żywo w telewizji jako zapowiedź dalszych atrakcji związanych z cmentarzem.

Dziennikarze pojawili się już wcześniej i szczególnie licznie. Teraz rozkładali mikrofony na stole, podłączali jakieś kable, manipulowali przy magnetofonach i aparatach fotograficznych.

Prawdziwą sensację wywołał przyjazd telewizyjnego wozu transmisyjnego. Tłum rozstał się, żeby zrobić miejsce na przejazd. Kiedy z wozu wysiadła popularna prezenterka, rozległ się szmer podnieconych głosów. Kobieta, przyzwyczajona najwyraźniej do takich reakcji, uśmiechnęła się i pomachała ręką. W kilku miejscach rozległy się brawa i gwizdy aprobaty. Prezenterka znikła we wnętrzu wozu, a towarzyszący jej mężczyźni zajęli się przygotowaniami do transmisji.

Kilka minut przed jedenastą przed bramą zatrzymało się srebrne audi z przyciemnionymi szybami. Na ten widok stojący za płotem Błażej zacisnął pięści. Z samochodu wysiadł jego ojciec w towarzystwie wójta, a zaraz po nich oczom Błażeja ukazał się Sławko.

Wszyscy trzej przeszli na taras i zasiedli za stołem. Przez chwilę szeptali między sobą, wymieniając przy tym uśmiechy. Wreszcie usiedli wyprostowani. Stopniowo zalegała cisza, ludzie oczekiwali rozpoczęcia. Nieco z boku prezenterka telewizyjna rozpoczęła półgłosem powitanie widzów.

Pierwszy podniósł się ojciec Błażeja. Zapiął guziki szarej marynarki i nerwowo odchrząknął, poprawiając krawat. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął kartkę, rozprostował ją i rozpoczął przemówienie. Powitał wójta, dziennikarzy i wszystkich, którzy, jak się wyraził,

zechcieli przyjąć zaproszenie i pofatygowali się w jego skromne progi. W miarę wypowiedianych słów zyskiwał coraz większą pewność siebie.

– Od samego początku widziałem w tym przedsięwzięciu ogromny potencjał. Z wielką przykrością obserwowałem, jak poprzednia właścicielka nie potrafi sprostać zadaniu. Proponowałem swoją pomoc, a nawet dokapitalizowanie pewnych inwestycji, ale spotkałem się z odmową. Na szczęście dla mnie i przede wszystkim dla tych, którym los cmentarza w Rozstajach nie jest obojętny, pani Nadia podjęła właściwą decyzję. Podczas prywatnej rozmowy przekazała mi swoją posiadłość, wyrażając przy tym nadzieję, że uda mi się doprowadzić cmentarz do należnej mu świetności. Nie zawiodę jej zaufania i zaufania tych wszystkich, którzy kochają to miejsce.

Przerwał, żeby wypić łyk wody. Rozległy się brawa, na które odpowiedział ukłonem. Błazej zastanawiał się, kto napisał to przemówienie.

– Dlatego natychmiast po sfinalizowaniu umowy podjąłem kroki zmierzające do osiągnięcia celu. Ponieważ sam prowadzę rozliczne interesy, postanowiłem powołać zarządcę, który w moim imieniu będzie dbał o nasze wspólne dobro. O tym jednak dowiedzie się państwo za chwilę. Teraz chciałbym poprosić o zabranie głosu wójta naszej gminy.

Nowy właściciel Rozstajów usiadł. Oklaski kończące jego przemowę stały się jednocześnie powitaniem wójta, który na tę okazję przystrzygł niego wasy i włożył swój najlepszy garnitur. Upał dawał mu się wyraźnie we znaki, już podczas poprzedniej mowy ocierał czoło chusteczką.

– Szanowni państwo, bardzo się cieszę, że mogę być tu dziś razem z wami. Chciałbym też wyrazić swoją radość z powodu, że właśnie w naszej gminie ma miejsce tak ważne wydarzenie. Jako gospodarz gminy z otwartymi ramionami przyjmuję każdy dobry pomysł, każdą atrakcję, która pomoże w rozślawieniu naszej ziemi.

Tym razem oklaski pochodziły od grupy mieszkańców Zabycia. Wójt otarł pot i kontynuował:

– Od początku popierałem tę inicjatywę, bo zawsze sercem jestem z tymi, którzy przyczyniają się do rozwoju polskiej wsi, naszej wsi. Teraz cieszę się jeszcze bardziej, bo wiem, że wszystko znalazło się nareszcie we właściwych rękach. – Wskazał na tego, o którym mówił, i usiadł.

Błazej nie mógł zebrać myśli. Miał wrażenie, że ogląda jakiś film, że to wszystko, co widzi i słyszy to jakiś żart, kiepska farsa. Wzrokiem szukał w tłumie Nadii, choć wiedział, że jej tam nie znajdzie.

Tymczasem jego ojciec wylewnie podziękował wójtowi i przedstawił Sławka jako zarządcę Rozstajów. Ten najwyraźniej był w swoim żywiole. Wyglądał dobrze, był ogolony. Nie założył krawata, a nawet rozpiął dwa górne guziki czarnej koszuli, chcąc podkreślić swoją artystyczną niezależność. Podniósł się z krzesła, na którym siedział dotąd w dość niedbałej pozycji, i na początek przesłał publiczności szeroki uśmiech, który, sądząc z reakcji, spodobał się żeńskiej części publiczności.

– Moi drodzy, niezwykle się cieszę, że przypadł mi w udziale ten zaszczytny obowiązek sprawowania opieki nad miejscem tak mi drogim. Tutaj spędziłem wiele pięknych chwil i chociaż moje próby wprowadzenia zmian spełzyły na niczym, to teraz wreszcie mogę wprowadzić je w czyn. Choć nie jestem biznesmenem, tylko artystą, to myślę, że mogę zrobić dla tego miejsca wiele. Zwłaszcza że cmentarz nie jest tylko inwestycją, ale przede wszystkim wielkim artystycznym pomysłem, który już dawno jednoczył i przyciągał ludzi o artystycznej duszy – przerwał na chwilę, czym sprowokował oklaski. – Jak wspominałem, to miejsce jest mi osobiście bardzo drogie, bo tu przeżyłem swoją wielką miłość, miłość nieszczęśliwą

i niespełnioną. Ci, którzy chcieliby wraz ze mną przeżywać raz jeszcze tamte trudne chwile, mogą to zrobić, czytając moje poezje z tamtego okresu, które już jutro będzie można tutaj kupić, lub poznać dzieje cmentarza widziane oczami poety; opisałem je w swojej książce dostępnej w nadchodzącym tygodniu. Zapraszam także do rozmów ze mną, bo zwyczaj ten będzie kontynuowany. Jedyną zmianą będą nowe możliwości umieszczenia płyty ze swoim imieniem na cmentarzu. Chcemy, żeby stał się dostępny dla każdego, kto czuje taką chęć lub potrzebę, co, jak wiadomo, do tej pory było mocno utrudnione z powodu niejasnych kryteriów wyboru stosowanych przez moją byłą narzeczoną. Teraz ten cmentarz będzie dla wszystkich.

Ostatniemu zdaniu towarzyszyły rzęsiste oklaski. Sławko usiadł, kłaniając się, a na taras wkroczyła prezenterka.

– Co ci się stało?

Pytanie, które zabrzmiało tuż obok, sprawiło, że Błażej oderwał oczy od domu i skierował wzrok na pytającego.

– A jak myślisz? Zobacz, co się dzieje! Nadia wyjechała, a ja nic nie mogę zrobić.

– Nadia nas oszukała. Ciebie i mnie. – Antoś wyraził swoją opinię stanowczo.

– Co ty pleciesz?!

– Tak. Wzięła dużo pieniędzy i uciekła. A tyle razy mówiła, że pieniądze nie są najważniejsze. Kłamała.

– Nie, coś musiało się stać. Inaczej nie wyjechałaby tak nagle.

Antoś wzruszył ramionami.

– Mnie wszystko wytłumaczył pan Sławko. On wcale nie jest zły. Jak dzisiaj rano przyszedłem i zobaczyłem, że pani Nadii nie ma, to myślałem tak jak ty. A potem przyszedł ten pan.

– I co powiedział?

– Że pani Nadia wolała pieniądze, że już nie chciała ludziom pomagać. I powiedział, że z moim rysowaniem też oszukiwała. Że ja mam prawdziwy talent, że powinienem sprzedawać obrazki, bo bez pieniędzy nikt człowieka nie szanuje. Ja już powiedziałem mamie, że będę tu rysował ludziom portrety i będę jej dawał część pieniędzy, a część zbierał. Wiesz na co?

– Nie obchodzi mnie to.

– I tak ci powiem. Nazbieram i zrobię sobie grób tam na cmentarzu. Pani Nadia nie chciała mi zrobić. Pan Sławko mówi, że uważała, że nie zasługuję. I mówi, że teraz każdy, jak zapłaci, to będzie mógł mieć. Ja też. Nawet z grobem mnie oszukiwała. A ciebie z czym oszukiwała? – zapytał z troską w głosie.

– Wiesz co? Głupi jesteś! Wynoś się stąd i zostaw mnie w spokoju!

– Teraz to głupi. Jeszcze zobaczymy. Pan Sławko powiedział, że jak będę miał pieniądze, to już nikt nie powie, że jestem głupi, bo będą mnie szanowali.

– To idź do tego Sławka! No już, na co czekasz?!

– Pewnie, że pójdę. – Antoś zrobił obrażoną minę. – A ty tu sobie stój taki brudny i zły. I tak wiem, że ciebie oszukiwała. Pan Sławko...

– Wynocha! – wrzasnął Błażej i zrobił krok w stronę chłopaka.

Antoś przerażony wyrazem jego twarzy uciekł w kierunku tłumu. Kilka osób odwróciło się, słysząc krzyk, ale zobaczywszy, że nic się nie dzieje, powrócili do obserwowania uroczystości. Właśnie miał nastąpić kulminacyjny moment. Przecięcie wstęgi oficjalnie otwierającej nowy cmentarz. Orkiestra ludowa zaczęła grać skoczną polkę, a wójt wstał, aby przeciąć wstęgę. Nożyczki leżały na metalowej tacce. Sławko podszedł, aby podać je wójtowi. Nagle przez tłum przebiegł szmer niezadowolenia. Ktoś, używając kolan i łokci, próbował przedostać się do przodu. Tłum niechętnie rozstał się, a na schody z impetem wbiegł Błażej.

Stanął przodem do zebranych przed domem ludzi.

– Czy wy nie widzicie, co tutaj się dzieje?! Przecież oni was oszukują! Chcą wyłącznie waszych pieniędzy!

Zapanowała przejmująca cisza. Wszyscy wpatrywali się w chłopaka, który wyglądał na szaleńca – brudny, spocony, toczący dookoła szalonym wzrokiem. Pierwszy otrząsnął się ze zdumienia Sławko. Podeszedł z tyłu do Błażeja i położył mu rękę na ramieniu.

– Uspokój się, chłopcze... – zaczął.

Błażej odwrócił się gwałtownie i zadał cios zaciśniętą pięścią. Sławko zachwiał się, a z rozciętego łuku brwiowego zaczęła kapać krew wprost na wyszorowane do białości deski tarasu. Wypadki zaczęły toczyć się błyskawicznie. Do tarasu zdołali wreszcie przedrzeć się policjanci, którzy chwycili Błażeja pod pachy i usiłowali odciągnąć. Ten opierając się, krzyczał nadal:

– Nadia! Nie uciekniesz przede mną! Kocham cię! Nadia, słyszysz! I tak cię odnajdę!

Prezenterka wycofała się dyskretnie i dała znak mężczyźnie ze swojej ekipy.

– Dajemy teraz mój komentarz, a po nim reklamę talk-show. I każ zatrzymać policjantów, niech go nie zabierają, chcę z nim pogadać.

Stała we wdzięcznej pozie i z uroczym uśmiechem zaczęła mówić:

– Drodzy telewidzowie, to, co w tej chwili widzicie za moimi plecami, to dopiero początek wydarzeń, które będziecie mogli oglądać już od poniedziałku na naszej antenie. – Dała znak i upewniwszy się, że nie jest już na wizji, oddała mikrofon koledze.

– Czekają?

Mężczyzna skinął głową.

– Dobrze. Przystojniak, nie? Jak się go ubierze i umyje, to szefowa oszaleje. Lubi takich dzikich. Pewno znajdzie mu jakiś teleturniej albo coś innego.

– Świeże mięso? – zapytał z uśmiechem mężczyzna.

Przytaknęła.

Przy radiowozie stał właśnie Sławko otoczony tłumem gapiów. Głośno, żeby wszyscy słyszeli, tłumaczył policjantom:

– Nie będę składał skargi. Rozumiem chłopaka, bo ja też przeżyłem przez tę kobietę wiele ciężkich chwil. No, ale ja jestem dorosły. Mogę sobie tylko wyobrazić, jakim szokiem musiała być dla niego utrata młodzieńczych złudzeń. Odwieźcie go do domu, panowie, niech dojdzie do siebie.

Prezenterka odsunęła mówiącego i wsiadła do radiowozu. Błażej siedział nieruchomo ze zwieszoną głową. Był już spokojny.

– Cześć.

Nie odpowiedział.

– Pewnie mnie widziałeś. Jestem z telewizji. Myślę, że jesteś bardzo medialnym człowiekiem, a my takich szukamy. I sądzę, że możemy ci coś znaleźć. Miałbyś ochotę spróbować?

Błażej wyglądał tak, jakby w ogóle jej nie słyszał. Nie zniechęciło jej to jednak.

– Nie lekceważ tego, co mówię. To może być twoja życiowa szansa. Wyrwiesz się z tej wsi, będziesz rozpoznawany, zaczniesz inaczej żyć. Nie można odrzucać takich propozycji, bo mogą się nigdy nie powtórzyć. Niejeden młody człowiek oddałby wiele za taką możliwość. Spróbuj, to nie boli.

Położyła mu wizytówkę na kolanach i wysiadła. Błażej nawet nie drgnął. Policjanci rzucili niedopałki i przydeptali je. Trzasnęły drzwiczki i radiowóz odjechał. Uroczystość dobiegała końca. Ludzie zaczęli powoli rozchodzić się. Jedni szli na cmentarz, inni w stronę

kramów z pamiątkami.

Sławko wyszedł z domu i podszedł do bramy, na której wywiesił regulamin zwiedzania cmentarza i cennik obejmujący kilkanaście pozycji: od biletów wstępu, poprzez noclegi, usługi przewodników, aż po cenę nagrobka.

Przed bramą ekipa telewizyjna rozstawiła wielki namiot z napisem „Talk-show – Cmentarz. Przesłuchania wstępne”.

– Mocną kawę proszę. – Mężczyzna usiadł na barowym stołku, kluczyki rzucił niedbale na ladę. Z kieszeni marynarki wyciągnął papierosy, zapalił i mocno zaciągnął się dymem.

Bar przy stacji benzynowej o tak wczesnej porze świecił jeszcze pustkami. Chłodne październikowe poranki i jesienne mgły nie zachęcały do podróży, więc w trasę wyruszali tylko ci, którzy musieli.

Sprzedawca bez pośpiechu postawił przed gościem plastikową popielniczkę o przypalonych od niedopałków brzegach.

– Z cukrem?

– Bez.

Czekając na kawę, mężczyzna patrzył na ekran ustawionego nad barem telewizora. Powtarzano właśnie talk-show z poprzedniego dnia. Nie interesowało go to zbyt, nie lubił takich programów, patrzył raczej po to, żeby skrócić czas oczekiwania na kawę.

– Widzi pan, to teraz najpopularniejszy program. – Sprzedawca postawił przed nim filiżankę. – A to się tutaj niedaleko nagrywa.

– Tak?

– Nie wiedział pan? Ja to nawet w pierwszej chwili myślałem, że pan może właśnie na cmentarz jechać.

– Na cmentarz?

– To pan nie zna naszego cmentarza na rozstajnych drogach? Telewizji pan nie ogląda? – W głosie sprzedawcy słychać było bezbrzeżne zdumienie.

– Nie bardzo mam kiedy. Wie pan, ciągle w drodze...

– Bywa. To ja panu powiem. Tu chodzi o to, że każdy może opowiedzieć swoją historię, powiedzieć, dlaczego powinien mieć grób na cmentarzu. Potem widzowie głosują i kogo wybiorą, to ma grób za darmo. I to dobry pomysł, bo nie każdego stać, żeby zapłacić.

– To jak? Jak nie zapłaci, to go nie pochowają? Niech pan nie żartuje...

– Nie, to nie to. Chodzi o taki grób przed śmiercią.

– A po co to komu?

– Sam nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. Taka moda. To najpierw jakaś szurnięta artystka zaczęła. Dom tu kupiła i zrobiła cmentarz. I jakoś tak poszło, że teraz każdy chce mieć tu grób. Interes kwitnie, kasa musi być z tego niewąska. Mnie się też polepszyło, odkąd całe wycieczki przyjeżdżają. Każdy się zatrzymuje, żeby zjeść, napić się. No i pieniądze zostawia. Pan to chyba ostatni w kraju, co o tym nie wie.

– To i tej artystce pewnie dobrze się powodzi?

– E, ona to wszystko sprzedała i wyjechała. Już ze cztery miesiące temu. Ja to nie rozumiem, taki biznes z rąk wypuścić. Frajerka, nie?

– Nie wiem, może i tak. – Mężczyzna upił łyk lurowatej kawy. – Miała być mocna.

– I jest. Taką pan chciał. Ale mam jeszcze bardzo mocną. Podać?

– Nie, dzięki. Zaraz muszę jechać.

– Pan pewnie biznesmen, co? Zgadłem? – Sprzedawca uśmiechnął się. – Ja tu siedzę całe dnie, to się na ludziach znam. Wóz ma pan pierwsza klasa, garnitur też nietani.

Mężczyzna odwzajemnił uśmiech.

– Nie, ja jestem tylko kierowcą. – Wziął kluczyki do ręki i okręcił je na palcu. – Szefową do lasu przywozłem i za pół godziny miałem po nią podjechać.

Sprzedawca przyjął do wiadomości swoją pomyłkę i pokiwał ze zrozumieniem głową.

– No to chyba ta pańska szefowa lepiej się na interesach zna niż ta nasza artystka. A w lesie też będzie jakiś biznes robiła?

– A kto ją tam wie! – Kierowca wydał wargi. – Ja tylko jadę tam, gdzie mi każe. Może poszła się do drzew przytulać? Słyszałem, że na szkoleniach dla menedżerów tak im mówią, że niby to uspokaja.

– Czego to ludzie nie wymyślą, patrz pan – zdziwił się sprzedawca.

Mężczyzna dopił kawę, położył na stole kilka monet.

– Na mnie czas. Szefowa nie lubi, kiedy się spóźniam.

– Jakby pan jeszcze kiedyś przejeżdżał, to niech pan zajrzy na nasz cmentarz. Warto zobaczyć, bo drugiego takiego nigdzie nie ma.

– Spytałem szefową, może będzie chciała. Do widzenia.



Kobieta szła wąską leśną ścieżką. Mocno dopasowany elegancki kostium nieco krępował jej ruchy, a obcasy raz po raz zapadały się w miękki grunt. Uparcie szła jednak dalej.

Po przejściu kilkuset metrów z ulgą przyjęła fakt, że ścieżka nieco się poszerzyła. Jeszcze kilkanaście kroków i oczom kobiety ukazała się niewielka polana. Na jej środku rósł rozłożysty dąb.

Kobieta podeszła do drzewa. Zdjęła z ramienia dużą skórzaną torebkę. Wyciągnęła z niej czerwoną chustę i zarzuciła ją na ramiona. Wyjęła spinkę z włosów, które opadły jej na plecy.

Stała tak nieruchoma i milcząca przez kilkanaście minut.

Jędrzeju, myślała, i mnie się nie udało żyć własnym życiem. Widać tak mi było pisane. Już nie wierzę, ale pozostała nadzieja. Nadzieja, że na prochach naszych marzeń wyrosną inne. I że kiedyś, w przyszłości, komuś się uda. Mimo wszystko warto było spróbować, choćby dlatego. Może kiedyś ktoś zrozumie, co chcieliśmy przekazać, podejmie kolejną próbę i zwycięży...

Spokojnymi ruchami związała z powrotem włosy, zdjęła chustę, złożyła ją starannie i odłożyła na bok.

Pochyliła się przy pniu i zaczęła wrywać kępki trawy. Po chwili odłoniła niewielką kamienną płytę. Sięgnęła po torebkę, z której wyjęła czerwoną różę. Kwiat położyła na płycie. Podniosła chustę i włożyła do torebki, dokładnie zaciągając suwak.

Każdy jej ruch zdawał się głęboko przemyślany, z całej sylwetki kobiety emanował spokój.

Drgnęła, gdy z daleka dobiegł ją dźwięk klaksonu. Wyprostowała się i raz jeszcze spojrzała na drzewo i kamienną płytę. Klakson zabrzmiał po raz drugi.

Kobieta odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła w drogę powrotną. Nie obejrzała się już.

Wkrótce gałęzie drzew zasłoniły polanę, rosnący na niej dąb i kamienną tablicę z napisem NADIA u jego stóp.

28 sierpnia 2004

Dwie są bowiem melancholije: jedna jest z mocy,

druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich,

druga kamieniem ludzi topiących się.

J. Słowacki, *Anielli*, r. V, w. 256-258.

POLECAMY RÓWNIEŻ

SERIĘ KAROLINY WILCZYŃSKIEJ

„ROK NA KWIATOWEJ”

Cztery przyjaciółki, różne historie, codzienne sukcesy i problemy - a wszystko pod jednym adresem. Spotkajmy się na Kwiatowej!



„Rok na Kwiatowej” to pełne kobiecych emocji powieści, z którymi zechcesz się zaprzyjaźnić!

Tom 1 i 2 dostępne w sprzedaży, tom 3 w przygotowaniu!

SPIS TREŚCI

I. Rozstaje

1

2

3

4

5

6

7

8

II. Sławko

1

2

3

III. Cmentarz

1

2

3

4

5

IV. ...

1

2

Polecamy również

